

WYDANIE SPECJALNE NA NOWY ROK



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 1/203 8 STYCZNIA 2017

WOJNA Z TERRORYSTAMI
U WRÓT POLSKI



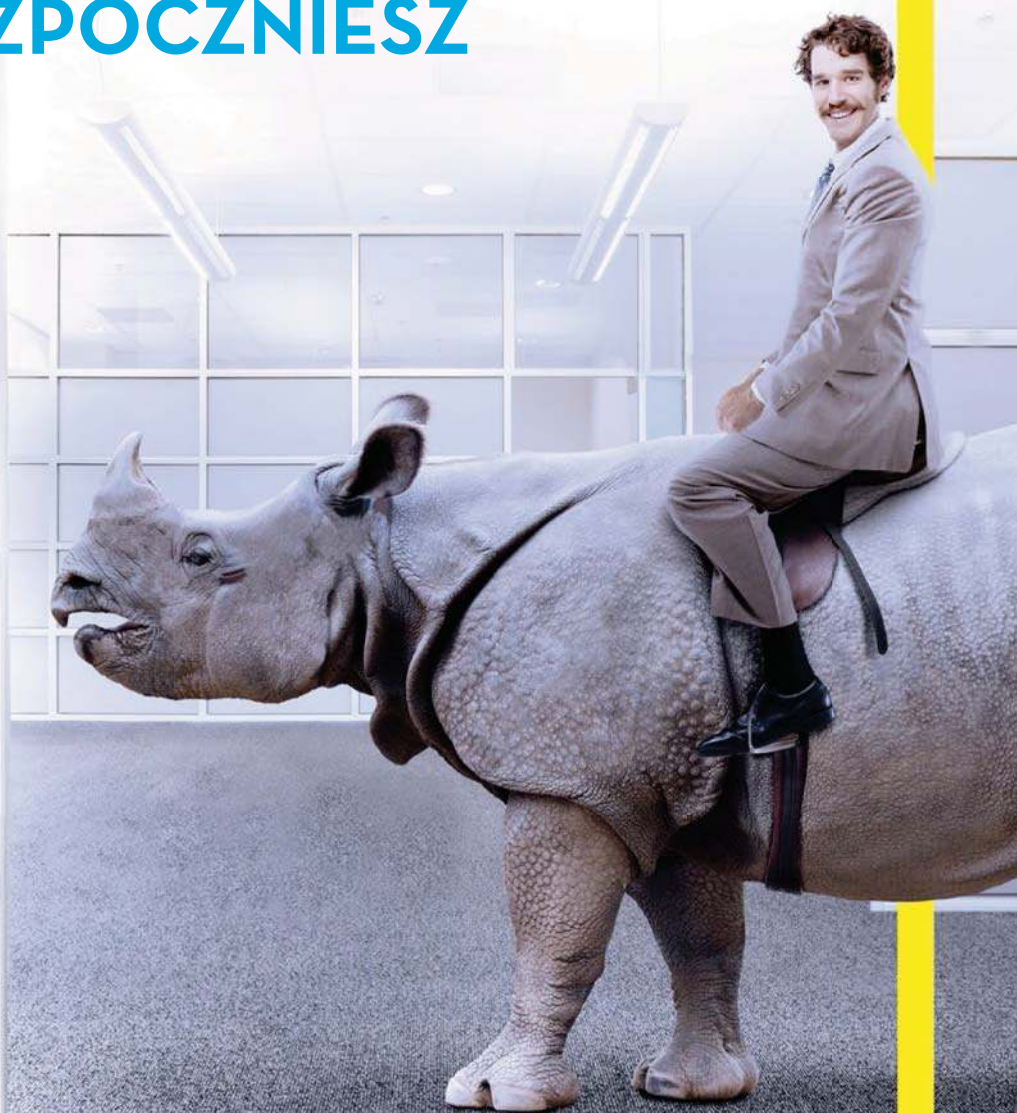
CZY OPOZYCJA ROZPĘTA WOJNĘ DOMOWĄ?

Odpowiadają
Andrzej Nowak, Piotr Semka i Rafał A. Ziemkiewicz

RAPORT „DO RZECZY”: WYZWANIA 2017

Klucz do dobrej polityki zagranicznej – Łukasz Warzecha
Jak ożywić polską gospodarkę – Cezary Kaźmierczak
Co zrobi prezydent Donald Trump – Marek J. Chodakiewicz
Jaka przyszłość czeka Niemcy – Zdzisław Krasnodębski
Czy chrześcijanie przetrwają w Europie – Olivier Bault
Dokąd zmierza papież Franciszek – Grzegorz Kucharczyk
To koniec liberalnej demokracji? – Piotr Gociek

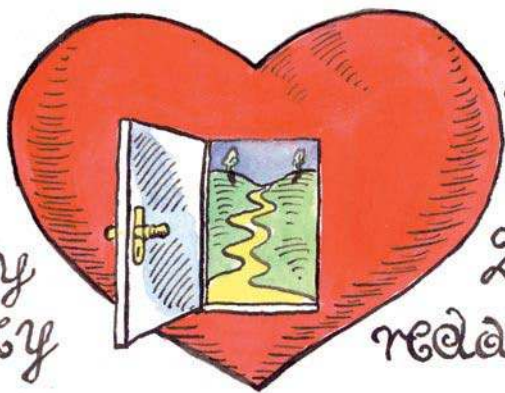
**JEDYNA PODRÓŻ,
KTÓREJ NIE MOŻESZ
ODBYĆ, TO TA, KTÓREJ
NIE ROZPOCZNIESZ**



PHILIP MORRIS INTERNATIONAL

WWW.PMICAREERS.PL

Szczęścia
pracy i
na cały
życie



w rodzinie,
Ojczyźnie
2017 rok ~
redakcja „Do Rzeczy”



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Antypisowski fanatyzm

Mogło się wydawać, że święta Bożego Narodzenia i koniec roku przyniosą, jak to zazwyczaj bywa, uspokojenie nastrojów. Tym razem tak się jednak nie stało. Możliwych jest kilka tłumaczeń tego stanu rzeczy.

Pierwsze i najprostsze mówi o tym, że źródłem nagłego, tak ostrego starcia, które zakończyło się praktycznym zerwaniem prac Sejmu, były emocje, a ściślej – wzajemny posunięty do ostatecznych granic brak zaufania plus osobiste niesnaski między marszałkiem Markiem Kuchcińskim i posłem Michałem Szczerbą. Ten opis wydaje się jednak zbyt prosty i nie tłumaczy trwałości ani głębokości konfliktu.

Być może zatem to, co widzimy, jest skutkiem nie tyle splątania uczuć, ile sprytnego planu? Według rzeczników opozycji za wszystkim skrywa się, jak zwykle, diaboliczny Jarosław Kaczyński. Co miałyby jednak osiągnąć? Dlaczego szef PiS miałyby doprowadzać do wzrostu napięcia, dalibóg nie wiadomo. Oczywiście najmocniej przeświadczeni o jego nikczemnej naturze żadnych wyjaśnień nie potrzebują, dla nich wszystko,

co robi i proponuje prezes PiS, z zasady po prostu jest niegodzliwe i szkodliwe. Zatem na pytanie, dlaczego miałyby dążyć do starcia z opozycją, budować przeciw sobie wspólny front do tej pory zawsze podzielonych mediów i wreszcie dawać pretekst do oskarżeń o zamordyzm, zawsze odpowiedzą to samo: Bo jest zły i dąży do tego, żeby było jeszcze gorzej. Co bardziej przytomni próbują twierdzić, że Kaczyński chce doprowadzić do wcześniejszych wyborów. Po co miałyby to jednak robić?

Nieco inaczej wygląda sprawa z opozycją. Trudno uznać, żeby zerwanie Sejmu, okupacja sali plenarnej i próba uniemożliwienia prac marszałkowi Sejmu były tylko efektem emocjonalnej nadpobudliwości. Nawet jeśli tak, to było dość czasu, żeby ochłonąć i się wycofać. Tak się jednak nie stało. Mając wybór między obroną, być może niesłusznie ukaranego, własnego posła a szacunkiem dla instytucji Sejmu, opozycja wybrała to pierwsze. Doprawdy nie umiem tu dostrzec proporcji. Zerwać Sejm, żeby bronić jednego parlamentarzysty przed wykluczeniem z obrad?

Opozycja musiała też liczyć się z tym, że skutkiem jej protestu

będą wady prawne przyjętych tego dnia ustaw, szczególnie budżetowej. Dlaczego zatem to zrobiła? Jaki zysk osiągnęła? Trudno mi uwierzyć, żeby taka forma demonstracji, do tej pory jeszcze nigdy niestosowana, miała się spotkać z powszechną sympatią Polaków. Nie rozumiem poza tym, jak można powoływać jednego dnia „gabinet cieni” tylko po to, żeby kilka dni później przeprowadzać oszalałą szarżę na przeciwnika.

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że coraz większy wpływ na działanie opozycji mają różnej maści radykałowie, dla których czymś ważniejszym od osiągania pragmatycznych celów jest atak na władzę. Skoro gra nam nie idzie ani karta nie sprzyja – mówią – wywróćmy stół. Doprowadźmy do takiego zwarcia, które w końcu przyniesie przesilenie.

Tak, takie myślenie, ów swoisty antypisowski fanatyzm, dobrze tłumaczyłoby zachowanie liderów PO i Nowoczesnej. Tyle że to najbardziej racjonalne wytłumaczenie ma wyjątkowo pesymistyczny wydźwięk. Rok 2017 nie zaczyna się, delikatnie mówiąc, pod dobrą gwiazdą. ©

Paweł Lisicki

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 9 STYCZNIA 2017 R.



TUDOR
GENEVE

660 ft
WATER RESISTANT

20

10

BLACK BAY DARK

WODOSZCZELNOŚĆ DO 200 M,
MECHANIZM WŁASNY TUDOR.
KOPERTA O ŚREDNICY 41 MM,
WYKONANA ZE STALI SZLACHETNEJ,
POKRYTA CZARNYM PVD.

Do produkcji czarnej koperty
wykorzystano cienkowarstwową
technologię PVD opracowaną
przez NASA. Physical Vapor
Deposition umożliwia zwiążanie
praktycznie dowolnego materiału
nieorganicznego z metalem.



#TUDORWATCH
TUDORWATCH.COM

Mechanizm własny
MT5691 marki
TUDOR zapewnia
70-godzinną
rezerwę chodu
regulowaną przez
oscylator. Posiada
certyfikat COSC.

W.KRUK
1 8 4 0

Salon W.KRUK (Rolex Boutique), Galeria Krakowska,
ul. Pawia 5, Kraków, tel. 691-360-541

Salon W.KRUK, Złote Tarasy,
ul. Złota 59, Warszawa – tel. 661-980-507

wkruk.pl



TUDOR

TEMAT TYGODNIA

20 ANDRZEJ NOWAK
ROZWAŻANIA NAD WOJNĄ DOMOWĄ
Jak wrócić do wspólnej rzeczywistości?

24 PIOTR SEMKA
AŻ DO SKUTKU

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WOJNA NA TOPNIEJĄCEJ KRZĘ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BÓJ TO ICH NIE OSTATNI

30 ROZMOWA
Z PROF. KRYSZTYNĄ PAWŁOWICZ
**POSŁOWIE OPOZYCJI
TO SEJMOWI CHULIGANI**



WYDARZENIE

10 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM LIEDELEM
TERRORYŚCI SZYKUJĄ KRWAWY ROK
Dyrektor Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas ostrzega, że w 2017 r. zamachów może być więcej

WYZWANIA 2017

32 ŁUKASZ WARZECHA
SZEŚĆ CELÓW DLA NASZEJ DYPLMACJI
Polska na świecie

38 CEZARY KAŻMIERCZAK
JAK ZROBIĆ RAJ DLA BIZNESU

44 MAREK JAN CHODAKIEWICZ Z WASZYNGTONU
CO ZROBI TRUMP

47 ZDZIŚŁAW KRASNODĘBSKI
JAKA PRZYSZŁOŚĆ CZEKA NIEMCY

50 OLIVIER BAULT
**MIEDZY CHRYSUSEM
A MAHOMETEM**

52 GRZEGORZ KUCHARCZYK
DOKĄD ZMIERZA PAPIEŻ FRANCISZEK

54 PIOTR GOCIEK
CZY DEMOKRACJA PRZETRWA

KULTURA

56 GRZEGORZ BRZOSZOWICZ
WŁADCY USZU
Kreatorzy czy niszczyli smaku?

60 ANDRZEJ HORUBAŁA
GLOBISZ CIERPIĄCY

NIE PRZEGAP

62 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

68 ROZMOWA Z ALEKSANDREM DUGINEM
**GLOBALIZM I LIBERALIZM
TO CYWILIZACJA ANTYCHRYSTA**
Świat, Europa i Polska widziane oczami rosyjskiego filozofa, doradcy Władimira Putina

HISTORIA

72 JACEK KOMUDA
**JAK DAWNA RZECZPOSPOLITA
ZADZIWIŁA ŚWIAT**
Polska potęga budząca podziw

76 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ZATRWAJĄCO AKTUALNA FATIMA

80 KRZYSZTOF MASŁOŃ
CHMURA NAD WATERLOO

ZDROWIE

86 KATARZYNA PINKOSZ
KIEDY LEPSZE LECZENIE POLAKÓW?
Nowe leki i nowe terapie

STYL

88 MAŁGORZATA WOŁCZYK
**ŚWIĘTO
SZALEŃCÓW**
Między postem a karnawałem



FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (9), WARZECHA (15), GMYZ, GOCIEK (18), POSPIESZALSKI (66), ZALEWSKI, WOLSKI (71), ZYCHOWICZ, KOPER (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Drodzy Czytelnicy,

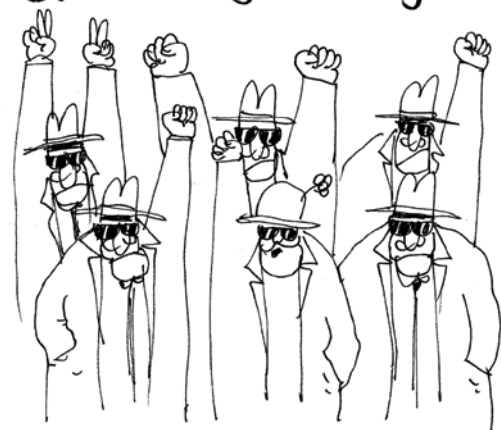
Dziękujemy za wszystkie świąteczne i noworoczne życzenia. W tym wydaniu także w naszej rubryce refleksje o świątach i nadchodzącym nowym roku. Tradycyjnie zapraszamy na naszą odnowioną stronę www.dorzeczy.pl, gdzie znajdą Państwo komentarze naszych publicystów oraz bieżące informacje.

Ubeckie święta

Chciałbym, składając na Wasze ręce życzenia świąteczne, podzielić się refleksją dotyczącą głębokiego podziału naszego narodu.

Pomysł przeciwników PiS, aby okres świąteczny zamiast na rodzinne spotkania i duchową zadumę przeznaczyć na historyczną akcję polityczną i okupowanie

Nieznaki sprawcy demonstrują przeciwko obniżeniu im ciężko wypłacowanych emerytur...



Cezary Krzysztopa blogpublica.com

parlamentu, wystawia świadectwo opozycji, która najwyraźniej za nic ma tradycję i rok liturgiczny.

Trudno powstrzymać się od skojarzeń z Polską ubecką znaną z komedii Sylwestra Chęcińskiego „Rozmowy kontrolowane”, kompletnie wyzutą z narodowego dziedzictwa. KOD-ziarom przyjdzie chyba zamiast „Bóg się rodzi” śpiewać „Podmoskownyje wiecziera”.

Adam Kowalski

Rok 2017 Rokiem gen. Józefa Hallera

W imieniu Komitetu Organizacyjnego Obchodów Roku gen. Józefa Hallera mam zaszczyt i przyjemność zaprezentować Państwu oficjalną stronę internetową: www.general-haller.pl oraz profil na Facebooku: <https://www.facebook.com/generalhaller/>. Na stronie internetowej oraz na Facebooku będą mogli Państwo znaleźć artykuły, analizy, eseje, komentarze, recenzje książek i grafiki popularyzujące postać generała. [...]

Niech nadchodzący rok 2017, który Senat RP uchwalił ogłosił Rokiem gen. Józefa Hallera, będzie przełomem w popularyzacji jednego z najwybitniejszych dowódców w historii polskiego oręża i zyska postać Błękitnego Generała należne mu miejsce w panteonie bohaterów narodowych. Czy ten zamiar się powiedzie, zależy także od Państwa. Między innymi od Waszego zaangażowania w Internecie. W imieniu Komitetu Organizacyjnego Obchodów Roku gen. Józefa Hallera serdecznie zapraszam do odwiedzania strony internetowej i fanpage'a oraz z góry serdecznie dziękuję za wsparcie w popularyzacji postaci i dorobku Błękitnego Generała.

Ksiądz prałat
Józef Roman Maj

Brukselskie debaty

W Brukseli „debatają” nad stanem demokracji w Rzeczypospolitej. Nasz parlament razem z parlamentem Węgry powinny debatować nad

stanem bezpieczeństwa w Europie. Jako że debaty brukselskie to naciski na nasz rząd, nasze debaty (polska i węgierska) powinny obnażyć mierność zachodnio-europejskich polityków. Trzeba nagłośnić fakty: opowiadać o muzałmańskich gattach, do których nie ma wstępu policja, o gwałtach na białych kobietach, o zamachach i zagrożeniach.

J.K. (imię i nazwisko
do wiadomości redakcji)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś, Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska, Jarosław Kalucki, Katarzyna, Krzysztof Kłopotowski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk, Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Irziemiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinińska, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tymand, Paweł Wawrzynski, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cysan, Karol Gac**
Współpracuje: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**

Rysowniki: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa, Mirosław Owczarek**

Okładka: **Shutterstock, opracowanie graficzne: JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Robert Pstrokoński, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 113 tys. egzemplarzy

DRUK: RR DONNELLEY EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynnie w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Między Berlinem a Ankarą

W chwili, gdy piszę te słowa, jasne wydają się dwa ważne aspekty masakry na jarmarku bożonarodzeniowym w Berlinie.

Po pierwsze, niemieckie służby nie były przygotowane na zamach i wszystko wskazuje na to, że nic nie wiedziały o planowaniu go. Oznacza to, że stopień infiltracji środowisk islamistycznych jest wciąż niski.

Po drugie, zwraca uwagę to, że sprawca ataku zdołał zbiec i do chwili, gdy piszę te słowa, nie został złapany. Podobny zamach we francuskiej Nicei z lipca tego roku też zaskoczył policję, ale tam po wjechaniu w tłum i przejechaniu ok. 1800 m policja otworzyła ogień do zamachowca. Tunezyjczyk kierujący ciężarówką został zastrzelony.

W niemieckim Internecie huczy. Zwykli Niemcy wskazują na aspekt sprawy, którego – jeśli tylko mogą – unikają mainstreamowe media. Wysłani do Europy przez ISIS zamachowcy islamscy giną w tłoku w dużych wspólnotach muzułmańskich w Niemczech. A zinfiltrować te środowiska jest niemieckim policjantom niezwykle trudno. Nawet jeśli buduje się siatki wywiadowcze,

to nigdy do końca nie jest jasne, czy przekazują prawdziwe informacje.

Wiele lat temu utkwiała mi w pamięci wypowiedź amerykańskiego specja od wywiadu, który pytany, dlaczego CIA ma takie trudności z wprowadzaniem w szeregi afgańskich talibów swoich ludzi, zdobył się na szczerość: „Do skutecznej misji muszę znaleźć ludzi, którzy są gotowi miesiącami spać na gołej ziemi, nie dojadać i jeszcze nie odróżniać się od Afgańczyków wyglądem, sposobem mówienia i siłą wiary. Myśli pan, że takich ludzi można znaleźć na każdym rogu ulicy?”.

W tym samym dniu, gdy w Berlinie rozpędzona ciężarówka wjechała w tłum, w jednej z galerii fotografii w Ankarze turecki policjant zastrzelił ambasadora Rosji. Jak to się stało, że nikt nie zauważył, iż islamisci przeprali mu mózg? To pokazuje, jak sprawne jest tzw. Państwo Islamskie w manipulowaniu kandydatami na swoich bojowników i jak umiejętnie wprowadza ich do akcji, gdy pada sygnał do ataku.

Coraz wyraźniej widać, że nagły napływ do Niemiec sporej liczby imigrantów to idealny rodzaj środowiska naturalnego dla islamskich

terrorystów. Wiem, że brzmi to jak banał, ale warto powtarzać tę prawdę, gdy za wszelką cenę odwracają się od niej politycy Zachodu. I że tam, gdzie takich dużych skupisk nie ma, terrorystom islamskim trudniej jest działać. Nie wyklucza to na sto procent groźby zamachów, ale znacząco obniża ich prawdopodobieństwo. To dlatego do tragedii doszło w Paryżu, Nicei i Brukseli, a nie w Pradze czy Budapeszcie.

W czasie swojej niedawnej wizyty we Wrocławiu Donald Tusk dziękował „tym wszystkim, którzy gotowi są trwać przy europejskich standardach demokracji”. Mówił: „Jesteście dziś najlepszymi strażnikami polskiej reputacji w Europie i na świecie”.

Ponad rok temu premier Ewa Kopacz i czołówka polityków PO w imię tej reputacji gotowi byli przyjąć „tylu uchodźców, ile się da”. Składali takie deklaracje, mimo że już wówczas było jasne, iż nie istnieją skuteczne procedury pozwalające wykryć w tłumie imigrantów „samotne wilki” pod kontrolą ISIS.

Gdyby to się ziściło, w tegoroczne święta czuliśmy się znacznie mniej bezpiecznie. Tak jak teraz czują się berlińczycy. ©

NOWA PREZES TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

– Chciałbym, by pani uporządkowała sprawę w Trybunale – tymi słowami zwrócił się prezydent Andrzej Duda do Julii Przyłębskiej, nowej prezes Trybunału Konstytucyjnego. – Po drugie i najważniejsze, chciałbym, aby Trybunał zabrał się do dynamicznej pracy – dodał prezydent Duda. Julia Przyłębska, absolwentka prawa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zastąpiła sędziego Andrzeja Rzeplińskiego, prezesa TK od 2010 r. **(jap)**



FOT. WOJCIECH KOSIŃSKI/EST NEWS



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Cała wstecz!

Przecierałem długo oczy na widok świątecznej okładki tygodnika „Polityka”. A potem zająrzałem do tekstu, który okładka reklamuje, i zacząłem przecierać oczy jeszcze mocniej.

Tygodnik „Polityka” odkrył – i z przejściem informuje o tym swych czytelników – że „państwo przejmie Kościół i wiarę”. Nie

Urban już w latach 80., widziałem w „Polityce” i innych pismach tego samego obozu nieskończoną ilość analiz, filipik, lamentacji i elegii o przejmowaniu państwa przez Kościół. Wczoraj Moskwa, ale dziś Watykan. „Czarni” są wszędzie i rządzą wszystkim. Rząd rządzi, Sejm uchwała, a prezydent podpisuje na gwizdek i telefon z episkopatu. Wszystkie nominacje, wszystkie projekty aktów prawnych muszą być akceptowane przez biskupów. Kościół cenzuruje sztukę i kulturę, rządzi mediami. W wersji hard, również nieobcej tygodnikowi, który swym felietonistą uczynił Jana Hartmana: świeckość państwa w ogóle jest fikcją, skoro „czarni” ze swymi gusłami, ze swymi kadzidłami i kropidłami wciskają się na państwowe uroczystości, szerząc ciemnotę, mącąc w głowach i agituując za czarnosecinną prawicę.

Legiony idiotów kolportowały i kolportują te mądrości, których

ukoronowaniem wydaje się obłąd Krzysztofa Pieczyńskiego, a tu nagle „Polityka” występuje w obronie Kościoła, zawłaszczanego przez państwo! W obronie biskupów, którzy nie mogą zajmować się ewangelizowaniem, bo politycy i urzędnicy wchodzą im na głowy, zaprzegając do służby przyziemnym, doczesnym interesom.

To się nazywa przełożenie wachy – ze skrają w skraj! Aż iskry lecą. To KOD już nie będzie KOD-em, tylko KOK-iem, Komitetem Obrony Kościoła? To redaktor Baczyński z redaktorem Jarosławem Kurskim i całą resztą będą teraz żądać oddzielenia Kościoła od państwa z miłości do Ewangelii i jej przekazu, a nie jak dotąd?

Najwyraźniej tak. Stare hasła się nie sprawdziły, trzeba znaleźć inne fronty do obrony. Wielu może nie uwierzy, ale targetowy leming, przynajmniej w ocenie redaktorów „Polityki”, kupi wszystko. ©

To KOD już nie będzie KOD-em, tylko KOK-iem, Komitetem Obrony Kościoła?

jakieś abstrakcyjne państwo oczywiście, ale państwo PiS.

Przejmuje. Nie, nie – nie Kościół państwo, tylko odwrotnie. Właśnie dlatego tak długo przecierałem oczy. Od 27 lat, a właściwie dłużej, bo tę narrację zainicjował Jerzy



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 obrotach sfer niebieskich

Tego jeszcze nie było! Portugalski fiskus będzie ściągał pieniądze za to, że słońce wstaje. Właściciele domów i mieszkań, na które pada słońce, zapłacą za kąpiele słoneczne dwa promile podatku od wyceny nieruchomości. Co pocieszające, mieszkający tam, gdzie słońce nie dochodzi (bez brzydkich skojarzeń, proszę), będą z podatku zwolnieni.

Władze Portugalii, jako pierwsze na świecie, przypisały sobie niejako moc sprawczą zjawisk astronomicznych, a konkretnie obrotów sfer niebieskich, bo biorą za to forszę. Na to nie poważali się Król Słońce ani nawet Lech Wałęsa.

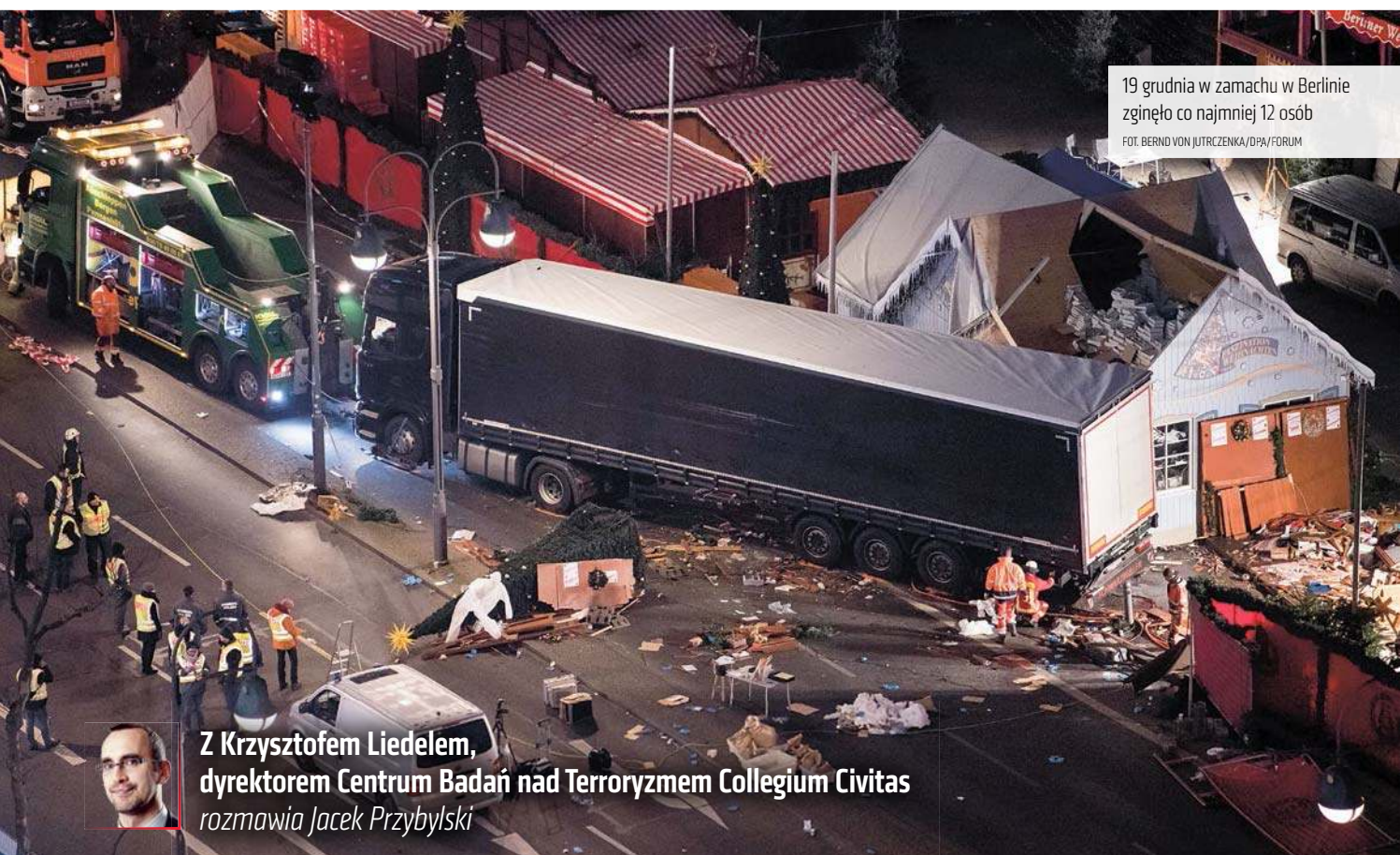
Pomysł portugalskiego fiskusa przyćmiewa to, co wymyśliły obdarzone w tej materii niepospolitą wyobraźnią władze włoskie. Oto co ciekawsze wymyki.

W Italii obowiązuje podatek od wywieszania flagi państwowej, ale flagę Unii można wywieszać za darmo. Wpadlibyście na pomysł, żeby opodatkować bezrobocie? Włosi wpadli. Chcecie w Italii pójść na grzyby? Hola, hola! Trzeba przedtem wykupić licencję. Umrzeć za darmo też nie można. Świadcstwo zgonu kosztuje 35 euro. A gdybyście chcieli oszczędzić na pochówku, kazać się skremować, a proch

rozsyłać, włoski fiskus nie popuści. Potrzeba opatrzonego znaczkiem skarbowym certyfikatu. Na rozsypywanie prochów.

Chociaż trzeba Włochom oddać sprawiedliwość: w jednym przypadku niemal Portugalczykom dorównali. W Conegliano opodatkowali cień. Poważnie. Jeśli prywatna markiza rzuca cień na teren komunalny, to trzeba bulić: 8,40 euro za metr kwadratowy cienia. Nawet w pochmurny dzień, bo wtedy pada cień domniemany.

W nadchodzącym roku P.T. Czytelnikom życzę solidnej, nieopodatkowanej porcji zdrowego śmiechu i uśmiechu. ©



19 grudnia w zamachu w Berlinie
zginęło co najmniej 12 osób
FOT. BERND VON JUTRZENKA/DPA/FORUM

Z Krzysztofem Liedelem,
dyrektorem Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas
rozmawia Jacek Przybylski

Terroryści szykują krwawy rok

JACEK PRZYBYLSKI: Krwawy zamach na bożonarodzeniowy jarmark w Berlinie przywołał tragiczne obrazy z lipca, gdy ciężarówka prowadzona przez mieszkającego we Francji Tunezyjczyka wjechała w tłum ludzi w Nicei. Mohamed Lahouaiej-Bouhlel zabił wówczas niemal 90 osób, a ranił ponad 200. W stolicy Niemiec zginęło co najmniej 12 osób, a 49 zostało rannych. Czy to oznacza, że islamисти trwale zmienili taktykę i teraz zamiast podkładać bomby, będą po prostu rozjeżdżać ludzi?

DR KRZYSZTOF LIEDEL: Ta taktyka wcale nie jest nowa. Ataki z użyciem ciężarówek czy nawet buldożerów miały już miejsce w Izraelu, USA, Kanadzie czy w Chinach. Rzeczywiście, łatwość użycia pojazdów do zamachu sprawia, że możemy się spodziewać, iż tego typu ataków będzie przybywać. Na forach internetowych tzw. Państwa Islamskiego i w ich elektronicznych odezwach jest mnóstwo wezwań, by używać do ataków właśnie pojazdów, ponieważ stosunkowo łatwo je ukraść

i w zasadzie każdy może je prowadzić. Dodatkowo w przeciwieństwie do noży, które znalezione u kogoś mogą wzbudzać podejrzenia, pojazdy podejrzeń nie budzą. Ostatnio mamy bowiem do czynienia głównie z atakami „samotnych wilków” lub, inaczej mówiąc, „soloterrorystów”. Są oni dla służb wyjątkowo trudni do wykrycia, ponieważ to ludzie, którzy samodzielnie planują i przeprowadzają ataki terrorystyczne. Z tego powodu szukają najprostszych, najłatwiejszych do zdobycia narzędzi – przeprowadzają więc zamachy za pomocą noży czy maczet albo przy użyciu samochodów i ciężarówek. Dzięki tego typu narzędziom terroryści nie muszą przechodzić niemal żadnego przeszkolenia poza internetową indoktrynacją.

Co można zrobić, aby zapobiegać takim zamachom? Przecież nie możemy zakazać sprzedaży noży ani wprowadzić całkowitego zakazu wjazdu ciężarówek do miast.

Każdy zamach to lekcja dla służb. Z wydarzeń w Nicei i Berlinie z pewnością zostaną wyciągnięte wnioski. Jedną z rzeczy, które już wprowadza się w zachodnich służbach, to wymiana informacji między policjantami kryminalnymi a antyterrorystami. Dzięki temu, gdy tylko dochodzi do kradzieży jakiejś ciężarówki, bardzo szybko wiedzą o tym również służby, których zadaniem jest zapobieganie zamachom. W przypadku zamachu w Berlinie sprawca celowo nie pozbył się ciała polskiego kierowcy m.in. dlatego, aby nie dawać policji kilku godzin na przygotowanie obławy czy zapobieżenie atakowi. Pod tym względem ten zamach był dobrze zaplanowany.

Sądzę też, że służby antyterrorystyczne i szefowie firm transportowych w Europie będą chcieli wprowadzenia nowych przepisów, nakazujących trzymanie ciężarówek na parkingach strzeżonych. Być może firmy spedycyjne zdecydują się też na dodatkowe szkolenia dla kierowców i własne procedu-



W poniedziałek 19 grudnia zamachowiec zastrzelił w Ankarze rosyjskiego ambasadora w Turcji
FOI, BURHAN OZBILICI/AP/EAST NEWS

ry. Od kilku miesięcy – choćby ze względu na grupy uchodźców we Francji próbujące nielegalnie dostać się do środka pojazdów – mówi się np. o tym, że byłoby bezpieczniej, gdyby ciężarówki jeździły w kolumnach lub z dodatkową ochroną.

Jak to możliwe, że policja po zamachu w Berlinie zatrzymała Pakistańczyka, którego po całonocnym przesłuchaniu zwolniła do domu, a prawdziwy uzbrojony zamachowiec zdołał uciec?

Możliwych jest wiele scenariuszy. Zamach mógł być tak zaplanowany, że Pakistańczyk, uciekając, miał odciągnąć uwagę policji od właściwego sprawcy. Pakistańczyk mógł się też po prostu wystraszyć i zacząć uciekać, a wtedy policjanci podjęli pościg. Zeznania zatrzymanego człowieka trzeba było zaś potwierdzić choćby ze śladami zabezpieczonymi w ciężarówce, takimi jak linie papilarne na kierownicy czy ewentualnie krew. Dopiero wówczas można było wykluczyć, że to nie on.

Może trzeba więc zmienić przepisy dotyczące użycia broni, tak by policjant mógł bez obaw zastrzelić kierowcę ciężarówki zbliżającej się np. do jarmarku świątecznego.

Już obecne przepisy pozwalają na taką reakcję, gdy jest zagrożone życie i zdrowie ludzi. Ich zastosowanie jest jednak bardzo trudne, ponieważ policjant musi błyskawicznie dokonać właściwej oceny sytuacji. Poza tym zamach w Nicei pokazuje, że nawet użycie broni niekoniecznie musi być skuteczne. W przypadku tamtego ataku oddano bowiem wiele strzałów w kierunku kierowcy ciężarówki, a pojazd i tak taranował ludzi.

Spodziewałbym się więc raczej, że Europa pójdzie śladami rozwiązań wprowadzonych w Izraelu, gdzie w miejscach, które są najczęstszymi celami tego typu ataków – np. na przystankach – są montowane specjalne blokady i słupki. Uniemożliwiają one terrorystom wjechać w tłum ludzi czekających na autobus. Takie

fizyczne bariery mogą być też montowane np. przy wjazdach do budynków. Sądzę, że w konsekwencji ostatnich zamachów pojawi się więcej zakazów ruchu ciężarówek w konkretnych częściach miast.

Bardzo ważnym elementem jest edukacja społeczeństwa. Ludzie muszą nauczyć się rozpoznawać potencjalne zagrożenie i poznać sposoby radzenia sobie z nim. Każdy człowiek musi być elementem systemu bezpieczeństwa. I jeśli dzieje się coś nietypowego, to powinien informować służby. W walce z „samotnymi wilkami” ważne jest też działanie na etapie radykalizacji konkretnych osób – jeśli zaobserwujemy, że ktoś zaczął dziwnie się zachowywać, nagle zaczął się bardzo często modlić, to powinniśmy zawiadomić o tym służby.

Przedstawiciele FBI i Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego już w 2010 r. ostrzegali, że terroryści mogą używać ciężarówek, samochodów lub buldożerów jako broni. Kto w Europie zignorował to ostrzeżenie? Służby? Politycy?

Służby nieustannie starają się przewidywać, jakie nowe sposoby ataku mogą wymyślić terroryści. Wszelkie rozwiązania, które mają temu przeciwdziałać, wymagają jednak czasu i wiążą się z nowymi przepisami lub z kosztownymi inwestycjami. Dlatego zanim rzeczywiście terroryści nie użyją jakiegoś narzędzia, mało kto decyduje się na wprowadzanie zmian. Myślę jednak, że po ostatnich zamachach tego typu decyzje będą podejmowane szybciej.

I niegdyś bezpieczna Europa będzie musiała zmienić się w kraj taki jak Izrael, gdzie zamachu można się spodziewać niemal każdego dnia?

Może nie aż tak. Sądzę jednak, że Izrael wyznacza kierunki, reformując standardy bezpieczeństwa. Ze wszystkimi zagrożeniami, z którymi mamy dzisiaj do czynienia, Izrael już dawno bowiem się zetknął. Musiał poradzić sobie z nożownikami czy terrorystami wjeżdżającymi samochodami w ludzi oczekujących na przystankach. Oni przetestowali już rozwiązania chroniące przed zamachami. Dlatego właśnie warto z nich korzystać.

Krytycy polityki migracyjnej wskazują, że zamach w Berlinie jest dowodem na to, że przyjęcie niemal miliona uchodźców istotnie zwiększyło zagrożenie atakami terrorystycznymi. Może zamiast zamieniać Europę w bliskowschodnią twierdzę, rzeczywistość czas skończyć z poprawnością polityczną i przestać przyjmować przybyszów

z Afganistanu, Pakistanu i innych państw, z których pochodzili zamachowcy? Lub wręcz pójść krok dalej i pozwolić zostać w Europie jedynie kobietom i dzieciom?

To teoretycznie najłatwiejsze rozwiązanie. Pozbyć się problemu lub przynajmniej zmniejszyć liczbę ludzi, którzy mogą stanowić potencjalne zagrożenie. Na świecie nie chodzi jednak tylko o zapobieganie zamachom. Nie wolno zapominać, że większość uchodźców to nie bandyci, lecz ludzie, którzy potrzebują naszej pomocy. Nie można więc stawiać znaku równości między terrorystą a uchodźcą, choć jednocześnie nie wolno zapominać, że organizacje terrorystyczne wykorzystują fale uchodźców, by przerzucać do Europy swoich bojowników, a także by radykalizować ludzi, którzy są zmuszeni do ucieczki z rodzinnych domów. Ludźmi, którzy muszą zaczynać życie od nowa, którzy stracili bliskich, łatwiej się bowiem manipuluje.

Moim zdaniem powinniśmy na tyle dobrze się zorganizować, aby móc lepiej kontrolować środowiska imigrantów i nadzorować je operacyjnie. Siły i środki, którymi dysponujemy, byłyby wystarczające, gdyby nie popełniane błędy. Jeżeli tolerujemy to, że unijna granica we Włoszech i w Grecji praktycznie nie istnieje i dziennie kilka tysięcy uchodźców dostaje się na teren Europy bez żadnej kontroli, to potem ponosimy tego konsekwencje. Powinniśmy też lepiej kontrolować służące radykalizacji fora internetowe i portale dżihadystów, a także domy spotkań oraz meczety, w których radykalni imamowie zmieniają uchodźców w kandydatów na terrorystów. W tym zakresie wciąż popełnianych jest wiele błędów.

W Europie uczymy się też polityki informacyjnej. Kraje skandynawskie, aby nie zaogniać nastrojów, w ogóle nie podają narodowości sprawców przestępstw, a np. Niemcy jako jedyny kraj w UE mają przepisy, które pozwalają nakładać embargo na media w przypadku zagrożenia terrorystycznego. To sprawia, że nawet jeśli terroryści uderzą, to efekt psychologiczny, który osiągają, jest mniejszy. Nawet jeśli próbowalibyśmy nie wpuszczać żadnych uchodźców, to i tak nie wyeliminowalibyśmy zagrożenia. Zarówno tzw. Państwo Islamskie, jak i Al-Kaida są bowiem w stanie nielegalnie przerzucić do Europy swoich bojowników, a także radykalizować i rekrutować osoby, które urodziły się i wychowały w Europie.

Holenderski koordynator ds. działań antyterrorystycznych Dick Schoof w wywiadzie dla agencji Associated Press ostrzegł, że tzw. Państwo Islamskie ma w Europie od 60 do 80 zakonspirowanych agentów gotowych do przeprowadzenia ataków. Podobno dżihadysty otrzymali od przywódców ISIS rozkaz, by „nie przyjeżdżali do Syrii i Iraku oraz przygotowali się na ataki na terytorium Europy”. To znaczy, że czeka nas wyjątkowo krwawy 2017 r.?

Nie wiem, czy będzie najkrwawszy, bo trudno powiedzieć, czy terrorystom uda się tak szybko przeorganizować. Państwo Islamskie stworzyło bowiem coś, co jego członkowie nazywają kalifatem i na jego terenie zbudowali zaplecze logistyczne. Gdy zostaną od niego odcięci, muszą przejść w formułę organizacji sieciowej, takiej jak np. Al-Kaida. Nie da się tego zrobić z dnia na dzień.



dr Krzysztof Liedel – dyrektor Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas, prawnik, specjalista na dziedzinie zwalczania międzynarodowego terroryzmu. Pracował w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji

Paradoksalnie rzeczywiście jednak sukces militarny zachodniej koalicji na terenie Syrii może zwiększyć ryzyko zamachów w Europie czy w Stanach Zjednoczonych. Niestety, większość analityków i służb wskazuje bowiem na to, że klęski ISIS w Syrii i Iraku sprawią, że organizacja ta może wysyłać terrorystów, których celem będzie dokonywanie w Europie akcji odwetowych. Poza tym wyparcie tzw. Państwa Islamskiego z zajmowanych przez nie teraz terenów może sprawić, że większość islamskich bojowników powróci do Europy i spróbuje dokonywać zamachów na terenie Starego Kontynentu. Wielu

islamistów już wróciło i jest gotowych do przeprowadzenia ataków. Zagrożeniem są też ci, którzy byli gotowi wyjechać, by walczyć w obronie ISIS, ale zdecydowali się zostać i zaatakować w Europie. Ryzyko jest więc bardzo duże. I w 2017 r. zamachów rzeczywiście może być wiele.

Jednocześnie trzeba pamiętać, że nie ma tygodnia, aby gdzieś na Starym Kontynencie nie rozbito jakiejś komórki terrorystycznej, nie aresztowano kogoś podejrzanego o działalność terrorystyczną. Z pewnością więcej jest zamachów udaremnionych niż tych przeprowadzonych.

Czy wybór ciężarówki na polskich numerach był przypadkowy, czy należy to odczytywać jako sygnał ze strony terrorystów?

Z informacji, które teraz mamy, wynika, że było to zupełnie przypadkowe. Terrorysty bardziej chodziło o rodzaj pojazdu niż o to, w jakim kraju jest zarejestrowany. Na szczęście wydaje się, że Polska nadal jest bezpieczniejsza niż Niemcy, Francja lub Wielka Brytania. Nasz kraj wciąż jest nadal mało atrakcyjny z punktu widzenia organizacji terrorystycznych, a do tego nie mamy mniejszości muzułmańskiej, więc trudniej jest u nas przygotować spektakularny zamach, taki jak np. w Londynie, Madrycie czy Nowym Jorku, lub uzyskać poparcie dla jego organizacji.

Niepokojące z polskiego punktu widzenia jest jednak upowszechnianie taktyki „samotnego wilka”. Organizacje terrorystyczne starają się bowiem radykalizować zwłaszcza osoby chore psychicznie lub członków grup przestępczych, a takie osoby są w każdym kraju, również w Polsce. W takim przypadku ryzyko zamachu w naszym kraju drastycznie wzrasta.

Światem wstrząsnęło też zabójstwo ambasadora Rosji w Ankarze. W Turcji co rusz dochodzi ostatnio do ataków. Czy to oznacza, że w 2017 r. znów będziemy bali się latać na wakacje do Turcji? Strach będzie też wyjeżdżać do Tunezji, Włoch czy Francji?

Trudno sobie wyobrazić, by te kierunki nie były na cenzurowanym. Turcja prowadzi otwarty konflikt z Syrią. Do tego dochodzi konflikt wewnętrzny, czystki po nieudanym puczu, a także problem zarówno z tzw. Państwem Islamskim, jak i z bojownikami kurdyjskimi. Sytuacja w tym kraju jest tak skomplikowana, że jeśli ktoś się łudzi, iż Turcja jest krajem bezpiecznym, to tylko się łudzi. Jeśli chodzi o bezpieczny kraj na wakacje w 2017 r., to najbardziej polecałbym Polskę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Numer (+48) 828 828 828 na ratunek zagubionych kart płatniczych

Już blisko ówczes milion połączeń z bankowym numerem alarmowym 828 828 828 wykonali klienci banków od początku jego uruchomienia w 2014 r. Infolinia w ramach stworzonego przez banki Systemu Zastrzegania Kart działa z myślą o bezpieczeństwie ponad 35 milionów kart płatniczych wydanych w Polsce. Ich użytkownicy, dzięki funkcjonowaniu numeru 828 828 828 mogą dziś z każdego miejsca na świecie, przez 24 godziny na dobę i 7 dni w tygodniu w szybki i skuteczny sposób zastrzec utraconą kartę.

W Polsce co roku ginie ponad milion kart płatniczych, często tworząc przy tym sytuację zagrażającą finansom ich posiadaczy. Niejednokrotnie, przyczyną braku szybkiej reakcji, skutkującej zastrzeżeniem karty, jest brak wiedzy nt. zasad szybkiego postępowania w takim przypadku, w tym przede wszystkim znajomości odpowiedniego numeru telefonu do banku. Rozwiązanie wdrożone przez kilkanaście banków działających w Polsce, pozwala na realne przeciwdziałanie takiej sytuacji.

- Polski system bankowości elektronicznej należy do jednego z najnowocześniejszych i najbezpieczniejszych w Europie. Jednak należy pamiętać, że nawet najlepiej rozwinięta technologia nie może wyłączyć ludzkiego rozsądku i ostrożności przy korzystaniu np. z kart płatniczych. Stąd też, już od ponad dwóch lat klienci, mogą korzystać z funkcjonalności specjalnie uruchomionego bankowego numeru alarmowego – **828 828 828**, pod którym w szybki i skuteczny sposób są w stanie zastrzec zagubioną kartę płatniczą – zarówno debetową, jak i kredytową – **powiedział Wiceprezes Związku Banków Polskich, Mieczysław Groszek.**

Mechanizm infolinii **828 828 828** oparty jest o specjalny komponent rozpoznawania mowy, dzięki któremu ustalana jest nazwa banku, w którym użytkownik ma kartę płatniczą, co następnie skutkuje bezpośrednim przekierowaniem do właściwego konsultanta danego banku.

Dzięki zastosowaniu nowoczesnych technologii, system może rozpoznawać nazwę każdego z partnerów uczestniczących w systemie, odmienioną na różne sposoby – z uwzględnieniem pełnej formy, jej części i skrótów, a dodatkowo w przypadku nazw o niepolskim brzmieniu, umożliwia rozpoznawanie jej w oryginalnym języku.

Według danych, w tym roku odnotowano m.in. rekordową miesięczną liczbę połączeń z infolinią – miało to miejsce w październiku br., kiedy to zarejestrowano ich aż 14528. Niezależnie od znajomości numeru **828 828 828**, ZBP od wielu lat apeluje o przestrzeganie podstawowych reguł bezpieczeństwa przy korzystaniu z kart bankowych jak np. używanie jej wyłącznie przez właściciela i nieprzechowywanie w portfelu razem z kodem PIN.

Więcej informacji nt. numeru (+48) 828 828 828:

www.zastrzegam.pl



zastrzegam.pl
SYSTEM ZASTRZEGANIA KART



ZWIĄZEK BANKÓW POLSKICH

System powstał dzięki zaangażowaniu:



Narodowy Bank Polski

Partner:



Koniec starego roku i początek nowego to czas podsumowań oraz podziękowań. Jak co roku dziękujemy celebrytom, gwiazdom, gwiazdeczkom za nieoceniony wkład w powstawanie rubryki „Na próżno”. Dziękujemy za każdy wywiad i każdą wypowiedź, których ochoczo udzielają plotkarskim portalom i tabloidom.

Dla nas to nieocenione pole poszukiwań tych najcenniejszych złotych myśli, które specjalnie dla naszych Czytelników wyławiamy i opisujemy. Nieustannie prosimy o więcej! Kto w minionym roku zasłużył sobie na specjalne wyróżnienie?

KRZYSZTOF GOJDŹ

To był jego rok! Gojdz to znany chirurg gwiazd, który w pewnym momencie sam został celebrytą. Najpierw był ekspertem, zapraszany do telewizji śniadaniowych, aż w końcu dostał własny program w TVN. Ostatnio pojawiły się co prawda informacje, że ma go stracić, ale co zyskał sławy, to jego. Ilu wywiadów udzielił, do ilu zdjęć zapozował, na ilu imprezach wystąpił! Każda jego wypowiedź była prawdziwą perełką. Nam najbardziej zapadło w pamięć, gdy opowiadał, jak wyglądają jego pierwsze konsultacje medyczne z klientkami. – Na początek patrzę na twarz i przez chwilę milczymy. Ludzie wylewają na mnie emocje. Ja jestem megaemocjonalnym facetem. Często płacemy razem, ale nie poddajemy się – opowiadał z przejęciem. Prawda, że ładnie podsumował urodę swoich klientek? Zwłaszcza że wiele z nich to – co sam lubi podkreślać – celebrytki z pierwszych stron gazet! Nic, tylko sięgnąć i płakać. Ze śmiechu też.

ROZWÓD KAZA I ISABEL

Początek roku 2016 przyniósł ostateczne rozstrzygnięcie w sprawie rozwodu Kaza i Isabel Marcinkiewiczów! Ach, co to był za rozwód, prawie tak spektakularny jak ślub. Skończyło się tym, że Isabel nie dostała tak wysokich alimentów, jak chciała. Walczyła jak lwica. Argumentowała, że z powodu wypadku samochodowego nie jest w stanie pracować. O wypadek obwiniała Kaza. Jak donosiły kolorowe media, chciała, by Kaz w ramach rekompensaty wypłacał jej 12 tys. zł. miesięcznie. Sąd przyznał jej „tylko” 5 tys. zł. W ramach podziału majątku dostała także mieszkanie w stolicy. Isabel czując się pokrzywdzona,

chciała jeszcze, aby były małżonek sfinansował jej operację barku. W niemieckiej klinice, koszt 80 tys. – Nie miała wyboru i poprosiła go o pomoc finansową – opowiadał tabloidowi jej znajomy. Kaz, delikatnie rzecz ujmując, nie bardzo się do tego rwał. Stwierdził, że nie ma oszczędności i musiałby wziąć kredyt, więc nic z tego. Cóż, rozwód rozwodem, a Kaz jeszcze długo będzie mógł mówić o Isabel per „najdroższa”!

EWA MINGE

Projektantka Ewa Minge bardzo polubiła show-biznes. Uwielbia udzielać wywiadów i opowiadać – głównie o sobie. Uwierzyła, że skoro dziennikarze pytają ją nawet o najbardziej pierdołowe szczegóły z jej życia, to znaczy, że naprawdę ich to interesuje. Nie będziemy wyprowadzać jej z błędu, że generalnie ci zadający te wszystkie miłe pytania tylko czekają na to, by gwiazdki i gwiazdeczki palnęły przy okazji coś głupkowatego. To się zazwyczaj udaje. W tym sensie Ewa Minge okazała się być łatwą i wdzięczną ofiarą. – Będąc bardzo młodą osobą, miałam proste marzenia. Marzyłam, żeby mieć superfurę. Właściciele hurtowni, do której przyjeżdżałam po tkaniny, mieli supersamochody; ona w jednym kolorze, on w drugim. Niesamowite pieniądze. W końcu sama takie kupiłam. Dalej to moja słabość te drogie auta – opowiadała ze swadą w jednym z wywiadów. Po czym, jakby nigdy nic, dodała: – Ten świat wielkiego show-biznesu to nie jest mój świat. Ja jestem w nim przypadkowo – podkreśliła. Wywiadu udzieliła oczywiście też przypadkowo. I przypadkowo wydała książkę o swoim życiu. Od razu widać, że przypadki chodzą po ludziach.

CELEBRYCI W AZJI

Hitem telewizyjnym minionego roku był program „Azja Express”, w którym polscy celebryci udawali biedaków, jeżdżąc po Azji i mając na przeżycie jednego dolara dziennie. Program zaowocował nową przyjaźnią Hanny Lis, Małgorzaty Rozenek i Agnieszki Szulim, której uwięzieniem była wspólna sesja zdjęciowa i okładka jednego z kobiecych pism. Wnioski z tej „podróży życia”, do jakich doszły nasze gwiazdy, były odkrywcze i jakże niebanalne! – Nie oszukujmy się, że bez pieniędzy można żyć. Ludzie w Azji wiedzieli, kim jesteśmy i że bierzemy udział w programie. Żyliśmy przez miesiąc bez pieniędzy, są ludzie, którzy bez pieniędzy żyją całe życie. To był program, a życie to jest życie. Widzieliśmy ludzi żyjących w biedzie. Wyruszyliśmy na ekstremalną wyprawę – zwierzała się Hanna Lis. Widok biedy jako zdarzenie ekstremalne? Wierzymy, że w przypadku Lis, Rozenek czy Szulim mogło tak być. A nic tak nie zbliża jak wspólne ekstremalne przeżycia! ☺☺



FOT. PAWEŁ GROMADA



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Nie pucz, ale kabaret

Ciemnawa, pusta sala plenarna polskiego Sejmu. Na jednym z foteli siedzi samotnie poseł Krystyna Szumilas, była minister edukacji, i patrzy z nieokreśloną trwogą w obiektyw. Przed nią otwarty komputer, na ekranie TVN24. „Rodzice. Jesteśmy z Wami. W Sejmie protestujemy, również przeciw reformie edukacji” – oznajmia obok zdjęcia pani poseł na Twitterze.

Ubrana w sweterek młoda bohaterka z PO Kinga Gajewska skarży się, że siedzi na sali obrad już 50 godzin i będzie siedzieć aż do skutku. Czyli być może nawet do Sześciu Króli. Jednak za to wyposażyła się w krótkofalówkę, dzięki której może kontaktować się z bohaterami demonstrującymi na zewnątrz. Jak może brzmieć korespondencja radiowa? „Halo,

tu Brzoza, jak mnie słyszysz? Odbiór”. „Tu Jesion. Słyszę cię dobrze. Co u was? Odbiór”. „Zamówiliśmy pizzę, z szynką. Odbiór”.

Takich obrazków z Sejmu można w mediach społecznościowych znaleźć mnóstwo. I tu zarysowują się dwa możliwe podejścia do protestu posłów PO i Nowoczesnej.

Podejście pierwsze polega na tym, żeby straszyć, że to wstęp do wojny domowej, destabilizacja państwa, warchołstwo, targowica, że zaraz na pomoc opozycji przyjdzie niemiecka Antifa i wszystkich zje. Taką retorykę stosują niektóre media sprzyjające rządowi. Nie dostrzegają przy tym, że temu w gruncie rzeczy dość lokalnemu wydarzeniu – które sondażowo prawdopodobnie odbije się opozycji czkawką – nadają w ten

sposób rangę, na której protestującym ogromnie zależy, bo sami muszą mieć przykre poczucie, iż biorą udział w czymś z gruntu niepoważnym.

Podejście drugie zawiera się w określeniu, nie wiadomo, kto wymyślił, ale przyjęło się błyskawicznie, a nawiązuje do wyrażanej przez niektórych tęsknoty za polskim antypisowskim Majdanem: ciamajdan. Okupujący (rotacyjnie) salę plenarną posłowie są w swoim rewolucyjnym zapale poważni jak Louis de Funès w roli żandarma Cruchota.

Czy ciamajdan mógłby obalić choćby wójta w Pcimiu Mniejszym? Wątpię. A co dopiero legalnie wybrany rząd z ogromnym poparciem. Ot, taki amatorski kabaret. Nazywanie go puczem, targowicą, próbą przewrotu jest równie śmieszne jak on sam. © ©

BĘDĄ DEGRADACJE KOMUNISTYCZNYCH GENERAŁÓW?

13 grudnia Antoni Macierewicz zapowiedział, że doprowadzi do degradacji generałów: Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka. MON już przygotowało ustawę umożliwiającą odebranie stopni wojskowych za służbę na rzecz totalitarnego państwa. Do tej pory degradacja żołnierza możliwa była dopiero wyrokiem sądu orzekanego za przestępstwo umyślne.

Nowelizacja przygotowana przez MON wprowadza możliwość degradacji żołnierza za: „popętnienie czynu świadczącego o utracie wymaganych wartości moralnych”, „służbę na rzecz totalitarnego państwa”, „dokonania czynu uwłaczającego godności posiadanego stopnia wojskowego”. O pozbawieniu stopnia generałów lub admirałów decydować ma prezydent RP na wniosek szefa MON, a o odebraniu stopni oficerskich lub podoficerskich wyłącznie minister obrony narodowej.



FOT. DAREK NOWAK/REPORTER

– Pomysł jest dobry, ale diabeł tkwi w szczegółach. Trzeba rozliczyć stan wojenny i ukarać ludzi, którzy służyli komunistom przeciwko niepodległej Polsce. Jednak każdy przypadek powinien być oddzielnie zbadany i uprawomocniony decyzją sądu, by nie pojawiały się wątpliwości, czy to nie jest tylko polityczna zemsta. Ten projekt zbyt dużo zostawia w rękach polityków – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” gen. Roman Polko.

Zastanawia się też, czy pośmiertne odbieranie tytułów generalskich ma sens, bo – jak podkreśla – degradacja ma być sprawiedliwą karą, a zmarli już jej nie odczują.

– Może lepiej, tak jak proponuje prof. Cenciekiewicz, zawsze, gdy mówimy, piszemy o ubekach czy generałach stanu wojennego, podkreślać, kim byli, aby młode pokolenia wiedziały, że służyli Moskwie, a nie Polsce – uważa gen. Polko.

Pozbawienie stopnia wojskowego ma nastąpić na drodze postanowienia, od którego przysługiwać będzie odwołanie do sądu wojskowego. Do tej pory degradacja zależała wyłącznie od decyzji sądu, który zgodnie z przepisami art. 324 części wojskowej Kodeksu karnego, mógł orzec ją w razie skazania za przestępstwo umyślne, jeśli uznał, że sprawca utracił w ten sposób przymioty niezbędne do bycia polskim żołnierzem. Degradacja następuje też w przypadku zrzeczenia się obywatelstwa polskiego. Podobnie jest w ABW, gdzie stopień można stracić w przypadku utraty polskiego obywatelstwa, pozbawienia praw publicznych lub skazania wyrokiem sądu za przestępstwo zasługujące na szczególne potępienie. Tylko w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego i Służbie Wywiadu Wojskowego o degradacji decyduje szef służby po postępowaniu dyscyplinarnym. © ©

Wojciech Wybranowski



MŁODZI WYKSZTAŁCENI

Kochani, przed nami nowy rok i nadzieja na zmiany w tym kraju. Z tej okazji przygotowaliśmy dla Was zestaw naszych noworocznych przewidywań, iż skoro niemal każdy może snuć swoje własne, niesprawdzające się wizje przyszłości i nadal być znanym ekonomistą/politologiem/socjologiem zapraszającym do telewizji, to nam też powinno być wolno. Staraliśmy się myśleć pozytywnie i wzbudzić w sobie oczekiwanie na powrót demokracji, ale niestety zostaliśmy przytłoczeni przez trudną rzeczywistość i nie będziemy wam ściemniać – może w przyszłym roku nadal być trudno.

AMBER GOLD – komisja śledcza co prawda nie zbliży się do wyjaśnienia sprawy, ale jej obrady trafią do ramówki telewizji w ramach piątkowego pasma kabaretowego.

AMERYKA – w związku z objęciem prezydentury przez Donalda Trumpa Ameryka stanie o krok przed przepaścią. Dodatkowym problemem dla obrońców demokracji w Ameryce może być to, iż nie ma tam jurysdykcji Komisja Wenecka, a arogancki Trump zapewne nie stawi się na debacie nad praworządnością w USA organizowanej przez Parlament Europejski. W związku z tym pozbawiona kontroli, demokracji i unijnego przewodnictwa Ameryka może niebezpiecznie podryfować w kierunku tego kraju, stając się tamtym krajem.

CBA – naloty siepaczy reżimu będą oczywiście kontynuowane, ale z powodu postępującej fali terroru i rosnącej liczby aresztowań CBA nie będzie przychodziło o godz. 6 rano, ale też o godz. 6 wieczorem, a w dni parzyste dodatkowo w południe, iżby wyrobić się z normami.

DEMOKRACJA – z jednej strony obawiamy się, iż będzie po staremu i nadal będą krępowane nasze prawa, przywileje i wolności (nieważne, jakie konkretnie!!!11 ważne, że tak się czujemy!!!!111), ale z drugiej strony mamy nadzieję, iż brukselskie Guye i rodzimi demokraci doprowadzą do radykalnej zmiany dyskursu o respektowaniu praw suwerena, czyli w końcu naszych!!!!111

DONALD TUSK – wyczekiwany przez nas niczym osoboksiążę, który wjedzie do tego kraju na białym osoborunku

i wreszcie zrobi tu porządek. Wszyscy bowiem pamiętamy spokojne i dostatnie lata, kiedy pan Premier był premierem i chociaż przez chwilę nie było się trzeba wstydzić za ten kraj.

FEJSIK – sądzimy, iż po tym, jak kaczystowska dyktatura zabierze nam do reszty wolności obywatelskiej, zabierze się wówczas do fejsika, na którym zlikwiduje najważniejsze strony opozycyjne, a pozostawi jedynie słuszne.

GIMNAZJA – czeka nas przełomowy rok w edukacji tego kraju, iż nie nastąpi rekrutacja do gimnazjów, co powoduje tragicznym spadkiem poziomu nauczania i rzeszą zagubionych mentalnych osobogimbusów, którzy będą musieli nadal chodzić do szkoły podstawowej. Likwidacja gimnazjów zdziesiątkuje także naturalny elektorat Korwina Krula i spowoduje poważne braki kadrowe w jego partii, której aktualnej nazwy nie podejmujemy się podawać.

INTERNOWANIA – iż przecież sytuacja w tym kraju do złudzenia przypomina stan wojenny, w końcu musi rozpocząć się cykl internowań najważniejszych polityków, dziennikarzy i autorytetów związanych z opozycją. Dlatego też co wieczór będziemy zasypiać ze spakowanym na wypadek nagłego przewiezienia w miejsce odosobnienia plecakiem, ale mamy nadzieję, że już tam na miejscu życzliwi agenci CBA będą nam bez przeszkód donosić, pardon – dostarczać hipsterską colę, waniliowe wkłady do e-papierosów, jarmużowe latte i piwko ze sprajtem.

JEDNOLITA DANINA – w wyniku pogłębianych rządowych refleksji nad ustawą wprowadzającą jednolity podatek dojdzie do rewolucyjnych zmian w systemie podatkowym. Otóż jednolita danina na rzecz państwa zastąpi pensje wypłacane pracownikom przez pracodawców. Z jednolitej daniny będą oczywiście zwolnieni wszyscy posłowie (tzn. poza posłami opozycji of kors) oraz przedstawiciele rządu.

KACZAFI – tylko w tym roku zdążył zniszczyć demokrację, zdelegalizować opozycję, zmusić do emigracji kolejne 100 tys. osób LGBTQWERTY, zawłaszczyć historię, zlikwidować herstorię, zniszczyć reputację tego kraju na arenie

międzynarodowej, podporządkować sobie rząd i prezydenta, dyskurs publiczny, a zapewne i episkopat tego kraju, podzielić i upokorzyć mieszkańców tego kraju o innym światopoglądzie, więc naprawdę trudno nam wymyślić, co jeszcze mógłby strasznego w przyszłym roku zrobić, ale Kaczafi jak to Kaczafi, na pewno coś następnego wymyśli.

KOD – iż ludzie w tym kraju wreszcie się przebudzą i zobaczą, gdzie żyją, każda kolejna manifestacja KOD będzie przyrastała o następne pół miliona członków. Dzięki temu średnia wieku uczestników tych manifestacji wreszcie spadnie poniżej przeciętnej liczby uczestników. W ten sposób KOD pokaże, iż jest młody, witalny oraz sprawny, i będzie w stanie obalić reżim.

LAJKI – nie spodziewamy się, iżby było inaczej i lajki pod śmiesznymi obrazkami z Kaczafimi nadal będą naszym głównym orężem w walce z reżimem. Lajkami wykopimy również kolejne studnie w Afryce, zatrzymamy pana Putina i będziemy wyrażać solidarność z różnymi prześladowanymi społecznościami na całym świecie.

MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI – znowu się odbędzie i znów będzie festiwalem ignorowania innych ras, religii i kultur. Jak pamiętacie, w kończącym się roku Jacek Hugo-Bader przebrał się na marsz za osobo-Murzyna, ale został zignorowany przez paradujących fashystów. W przyszłej edycji marszu możemy zatem spodziewać się nie tylko reporterów „GW” pociągniętych pastą do butów, lecz także innych dziennikarzy z opozycyjnych mediów przebranych za osobo-Romów, osobo-Indian i osobo-Inuitów. Niestety, istnieje prawdopodobieństwo, że fortel po raz kolejny się nie powiedzie.

OSOBOIMIGRACI – wygląda na to, iż wciąż będziemy się smucić w tenkrajowym monokulturalizmie, iż nie ma co się łudzić, że pisowski rząd wpuści do tego kraju potrzebujących socjalnego wsparcia osobomuzułmanów.

PATRIOTYZM KINEMATOGRAFICZNY – w ramach zapowiadanej przez rząd kręcenia superprodukcji o historii tego kraju rząd zapewne zatwierdzi scenariusz o sobie samym. Jeśli jednak nie, to w najlepszym razie będzie to film

I Z WIELKICH OŚRODKÓW

biograficzny o Jarosławie Kaczyńskim. A potem będzie płacz, że nie ma Oscara, żeby nie było, że nie ostrzegaliśmy.

RYSZARD PETRU – umocni się na pozycji lidera i legendy opozycji antykaczystowskiej w tym kraju. W kolejnych sondażach będzie osiągał poparcie przekraczające 100 proc., a widząc takie społeczne nastroje, reżim za wszelką cenę będzie unikał przeprowadzenia jakichkolwiek wyborów.

RZĄD – najważniejsze: pozostanie ten sam, czyli pisowski, chociaż Kaczafi, jako złowieszczy (choć, nie zapominajmy, niski) demiurg być może zechce wymienić część swoich marionetek. Niestety, nie ma szans na to, iżby w tym kraju nastąpiła zmiana na wzór kanadyjski, z licznymi i interesującymi parytetami dla różnych społeczności w składzie rządu. Zamiast mniejszości narodowych, seksualnych i wyznaniowych nadal będziemy mieć różnych Waszczykowski i Błaszczaków, a nie tego, oj nie tego Europa od nas oczekuje...

STAN WOJENNY – wszyscy dowiedzieliśmy się, iż sytuacja w tym kraju przypomina stan wojenny, tylko więc czekać, aż Kaczafi oficjalnie ogłosi go w wiadomościach, a my wówczas będziemy mogli przejść do podziemnych działań konspiracyjnych.

UNIA EUROPEJSKA – po Brexicie obawiamy się kolejnych exitów ze strony państw członkowskich zniesmaczonych sytuacją w tym kraju, którym nie będzie się przecież zawsze podobało, iż są z nim w jednej Unii.

WAKACJE – obawiamy się, iż najazd Januszy nad Bałtyk, jaki widzieliśmy w 2016 r., to tylko złowieszcze preludium do scen, które rozegrają się latem 2017 r. Wicie, Janusze i grażyny pobierali „500+” przez dłuższy czas, odkładali i teraz przyjadą na dłużej, wypiją więcej piwa, zjedzą więcej osoboryb, przywiozą więcej osobodzięci, które zrobią więcej kupy na wydmach. Celebryci nie nadążą z pisaniem pełnych oburzenia postów na fejsiku, a postępową prasę będzie do jednego wydania musiała szykować kil-

ka okładek, żeby zmieścić gdzieś pokłady świeckiego oburzenia na robiących siarę mieszkańców tego kraju.

WYBORY – niestety, kolejny rok nie jest rokiem wyborczym, a jak wiadomo, wybory to święto demokracji (o ile wybieramy tak, jak oczekują tego od nas autorytety). Wygląda więc na to, iż w kolejnym roku będziemy musieli nadal znosić kaczystowski terror i możemy zapomnieć o zmianie dobrej zmiany.

I to by było na tyle. Of kors nie miejcie do nas pretensji, jeśli nasze przewidywania się nie sprawdzą, ani tym bardziej, jeśli jednak by się sprawdziły. A tymczasem życzymy wam udanego osobosylwestra!

Do siego roku!!!111*

* Sorki, Nowy z Tarnowa dorwał się do klawiatury xD, my też nie wiemy, co to znaczy xD ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

REKLAMA

Już od **264 PLN** za dobę – pokój Standard ze śniadaniem

+48 91 40 40 400

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™



Marine Hotel****
& Ultra Marine



Diune Hotel****
& Resort



Sand Hotel****



Jantar Hotel***
& SPA



Boulevard
Ustronie Morskie



Baltic Park Moło
Apartments



Cristal Resort
Szklarska Poręba

Zmuszeni jesteśmy zdementować doniesienia, jakoby w obozie koduchów nastroje były coraz radośniejsze. Mamy dowód. Jeszcze latem śpiewali oni na demonstracjach piosnkę: „Choć przyjdzie się zalać krwią, myśli nasze wolne są”. Pod Sejmem w grudniu było to już: „To jest nasz dla ciebie na własnym pogrzebie walc, czarny walc”.

W autopogrzebowym walcu KOD były także elementy wybitnie humorystyczne, jak np. refren z zawołaniami: „Strach, strach rany boskie” i „Stop, stop rany boskie”. Zawsze to zabawne, jak ateusze wzywają imię Pańskie nadaremno.

Przyłączamy się do opozycji w dziele wyszukiwania podobieństw między grudniem 1981 a grudniem 2016 r. Na przykład i wtedy, i teraz wypadł najkrótszy dzień w roku. Oras sylwester. Szkol Dyktatura. To się w głowie nie mieści.

Podobnie jak nie mieści nam się w głowie, że pod Sejmem dziennikarzy TVP Info atakował znany demokratą Jacek Kozłowski z PeŁo. Te zdjęcia to musi być fejk! Człowiek, który jako wojewoda mazowiecki przez osiem lat odpowiadał na Mazowszu za policję, nigdy w życiu nie brały udziału w nielegalnej zadymie i nie przeszkadzałyby dziennikarzom w wykonywaniu obowiązków. To chyba oczywiste. Internet kłamie! Czytajcie tygodniki!

Tak dla porządku, bo jesteśmy pytani o nasze stanowisko. Otóż my, dziennikarze z rubryki „Dwaj panowie G.” wcale nie chcemy mieć dostępu do Sejmu. Powiemy więcej: im dalej od niego, tym lepiej.

W całym tym zamieszaniu przed Bożym Narodzeniem rozegrało się kilka ciekawych wydarzeń, o których niniejszym uprzejmie donosimy. Na przykład w kancelarii znanego adwokata Lejba Fogelmana odbyło się spotkanie wigilijne. A na nim opłatkiem łamali się m.in. wicemarszałek Adam Bielan, nadpremier Mateusz Morawiecki oraz premier in spe Ryszard Petru. Bielan i Morawiecki mają usprawiedliwienie: Lejb chodził do jednej szkoły z Jarosławem Kaczyńskim. Jednak jak się wy tłumaczy Rysiek?

Apropos Ryśka Petru-Swetru – dostał na Gwiazdkę piękny prezent. Zbyszek Jagiełło, druh serdeczny Ryśka oraz przypadkowo szef banku PKO BP, zrestrukturyzował kredyt udzielony Nowoczesnej. Kredyt był na kampanię, zwrot miał nastąpić z dotacji partyjnej, ale dotację zabrali siepacze z PKW. Tymczasem kredyt był krótkoterminowy. Ale już nie jest. Podzielono go na piękne, nieinwazyjne raty. Magia świat.

Dalej o Ryśku. Zasyłane w Sejmie, jeszcze przed okupacją. Rysiek Petru ekspresyjnie miota się po sali i antypisowsko drze paszczę. Marek Jakubiak (kukista narodowy): „Rysiek, weź się uspokój”. A wtedy Rysiek: „Oj, bo cię nie wezmę do mojego rządu!”. Na co Jakubiak: „Rysiu, rząd to nie jest piaskownica!”. Kurtyna.

Pprzed świętami zawitał do Warszawy Rudolph Giuliani, wysłannik dobrego Donalda z USA (zły Donald pozostaje, jak wiecie, w Brukseli). Było więcej niż ciekawie. Na spotkaniu z udziałem Kaczora-Dyktatora i nadpremiera Morawieckiego Rudolph mówił, że dobremu amerykańskiemu Donaldowi najbardziej zależy na dobrym klimacie dla amerykańskich inwestycji w Polsce

i że całość relacji Polska – USA zależy od relacji gospodarczych. O KOD i Trybunale jakoś nie mówił.

Ciekawa rzecz – w spotkaniu z wysłannikiem dobrego Donalda brała też udział cyberminister Anka Streżyńska. Okazało się, że miała o czym pogadać z Rudolphem. Tak się bowiem składa, że Giuliani ma bzika na punkcie cyberbezpieczeństwa. Wyszło na to, że bzik jest wspólny, bo rozmaite pomysły resortu Anki okazały się mniej więcej takie same jak te amerykańskie. I znowu o KOD i Trybunale nie rozmawiano. Ot, uroki państwa autorytarnego.

Najciekawsze na koniec – Rudolph, wysłannik dobrego Donalda, przyleciał do Polski samolotem Zygmunta „Polsat” Solorza. W nagrodę sam Zygmunt też wziął udział w spotkaniu. I kto powiedział, że dobra zmiana nie wspomaga polskich przedsiębiorców?

Jeszcze przed świętami, na opłatkowym spotkaniu PiS, Kaczor-Dyktator zapowiedział, że priorytetem rządu w roku 2017 jest reforma ochrony zdrowia. Obawiamy się, że nadpremier Mateusz Morawiecki o tym nie wie. Bo gdyby wiedział, to chyba dzieląc budżet, zastosowałby inne proporcje niż: „Dorzucę resortowi Gowina 400 melonów, Glińskiego 300 melonów, a Radziwiłła tylko 100”?

Tymczasem w Warszawie. Oto mijają już trzy miesiące od wejścia w życie ustawy zmieniającej AON w Akademii Sztuki Wojennej, a oznakowanie przystanków i komunikaty w autobusach pozostają niezmiennione. Hanka Warszawianka, jak może, walczy o dobre imię dawnej ulubionej uczelni Bronka Komorowskiego i Staszka Kozieja. Jest w tym pewna metafora mówiąca co nieco o PeŁo – proszę zauważyć, że jest to walka o dobre imię minione.

Atak w ogóle to ogłaszamy alarm dla miasta Warszawy! Jakbyśmy pracowali w ratuszu dla Hanki Warszawianki, to – z chałupy bez szczoteczki do zębów byśmy się nie ruszali. Zresztą nie tylko dla Hanki. W ogóle praca dla Platformy, a zwłaszcza bycie w Platformie, to ostatnio zajęcie dla tych, którzy lubią chodzić po krawędzi. Tak przynajmniej mówią źli ludzie z CBA. A my tradycyjnie dementujemy.

dwaj panowie G



FOT. ROBERT CAROZINIG

Bigły koń, na którym Tuś
triumfalnie wtóci do Polski...



cezarzety ktyj2topa blogpodlubi2.com

Apropos więziennictwa. Reżim kaczykowski nie zna umiaru. Informowaliśmy już o tym, że więźniowie zmuszani są do pracy, i to czasem przy tak poniżających czynnościach jak obieranie krewetek. Jest jednak gorzej. Niektórych Ziobro skierował do Ministerstwa Sprawiedliwości, by harowali przy jego remoncie (ministerstwa, nie Ziobry). Znamy tylko jednego równie okrutnego satrapę w historii: szachinszach Kserkses, rzeźnik z Termopil.

Dementujemy ohydne plotki, jakoby Józefa „Legendę” Piniora czekały nowe kłopoty. A już szczególnie dementujemy plotki, jakoby w owe kłopoty wpędziła go kobieta, a konkretnie pewna wrocławska dziennikarka, przez którą Józef potrzebował pieniędzy, żeby błysnąć i żyć nieco ponad stan. Nie dementujemy natomiast faktu, że to historia stara jak świat.

Ohydnych plotek ciąg dalszy. Jak donoszą wiewiórki, zanim Pinior został senatorem PeŁo, musiał uzbierać 3 tys. podpisów pod swoją kandydaturą, co się niestety nie powiodło. Z jakichś powodów ludzie nie chcieli w wystarczającej liczbie udzielić „Legendzie” poparcia. Od czego

jednak są przyjaciele. Zaprzyjaźniony biznesmen przekazał Józefowi listę klientów. Jednak bez adresów i PESEL. Dane wpisano więc z tzw. czapki, a PKW to tyknęła. Nie wierzymy. Wszyscy wszak popierają Józefa i takie kłopoty są nie do wyobrażenia.

Nowe fakty z życia naszego ulubionego harcerza, założyciela opozycyjnych Czerwonych Szeregów. Pułkownik Mazguła Adam to zapalony myśliwy, podobnie jak poprzedni idol KOD, Komorowski Bronek. Biorąc pod uwagę to, jak wielu wokół ruchu ojca Mateusza Kijowskiego jest wege-śmege, eko-śmeko, animal rescue działaczy, jesteśmy dumni, że jest możliwe tak piękne porozumienie ponad podziałami.

Apropos zwierząt. Zabawna rzecz – w Parlamentarnym Zespole Przyjaciół Zwierząt jest dwóch Suskich.

Paweł z PeŁo i Marek z PiS. Marek się uparł, by udowodnić, że są rodziną, i grzebie w drzewach genealogicznych. Podobno jest na tropie. Chociaż Marek jest z Grójca, a Paweł z Wącza, nie jest wykluczone, że łączy ich pewien prawuż z Kujaw.

Niewybaczalny błąd popełnił, wręczając tydzień temu różgi i prezenty! Marszałek Senatu Stanisław Karczewski nie dostał od nas winylowej płyty Led Zeppelin! A przecież powinien, bo dał taką w prezencie przewodniczącemu estońskiego parlamentu podczas kurtuazyjnej wizyty. Pewnie swojej już nie ma.

Jeszcze gorzej z Pawłem Kukizem – też go pominęliśmy, pakując prezenty. Już naprawiamy ten błąd. Otóż Pawłowi chcemy podarować sobowtóra Janka Borysewicz. Bo oryginał nie nadał za Pawłem, przez co premiera nowej płyty Kukiz & Borysewicz ciągle się oddala. Niestety, podczas prac nad sobowtorem Borysewicz coś poszło nie tak i wyszedł nam Borusewicz. Ten prezent musimy dać więc komuś innemu. Karczewskiemu? Nie, on jednego Borusewicz już ma. ©©

REKLAMA

Już od **319 PLN** za dobę – pokój Standard ze śniadaniem

rezerwacja@zdrojowahotels.pl

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™



Marine Hotel*****
& Ultra Marine



Diune Hotel*****
& Resort



Sand Hotel****



Jantar Hotel***
& SPA



Boulevard
Ustronie Morskie



Baltic Park Moło
Apartments



Cristal Resort
Szklarska Poręba

Tuż przed świętami opozycja i KOD zbierali się na antyrządowych manifestacjach (z lewej), a do stolicy przyjechali też ludzie demonstrujący poparcie dla PiS (z prawej) FOT. ŁUKASZ KAMIŃSKI/FORUM, WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

Rozważania nad



Andrzej Nowak

Bunt polskich pacjentów przeciw oświeconym terapeutom okazał się drobnym, choć ważnym odcinkiem światowej wojny domowej

Chamy się zbuntowały. Były porządek i hierarchia, a grozi nam chaos. „Ach, strach, strach, rany boskie” – jak śpiewał w „Balladzie z trupem” Bronisław Pawlik. Dzisiaj tę melodię Kabaretu Starszych Panów nuć przedstawiciele elit, które uznały się za wyłącznych właścicieli rozumu i w związku z tym naturalnego prawa do panowania nad nierozgarniętym (zacofanym) ludem. Nad polską hołotą. Tak jak bohater owej piosenki zostały zaskoczone „zdradą” – nie małżonki, ale owego ludu elektoratu, który miał ich wielbić, a przynajmniej biernie przyzywać na odgórne reformowanie swojego życia i umysłu, na dobroczynne cywilizowanie. Kapryśny i prymitywny lud wybrał sobie jednak nowego ko-

chanka: kogoś, kto mówi mu, że nie jest taki prymitywny ani obrzydliwy, że nie musi porzucać swoich tradycji, swojej tożsamości, że nie musi uwierzyć w to, iż np. polskość to „nienormalność”.

Z szafy „pożycia małżeńskiego” liberalnych elit z zarządzanym przez nie społeczeństwem wypada trup. Bardzo patriarchalne było to pożycie. Elity pouczały, dyrygowały, zakazywały, nakazywały, meblowały wyobraźnię społeczeństwa. Usta pełne frazesów o potrzebie walki z wszelkim „patriarchalizmem”, o wolności, o równości (czasem) układają się dzisiaj w wielkie „O”, pełne zadziwienia: Dlaczego nas dalej nie chcą słuchać? Dlaczego ci prymitywni ludzie nie chcą się wyzwolić od siebie samych? Dlaczego nie chcą zrozumieć, że „prawdziwa równość” polega na uznaniu naszej, elit, wyższości? Dlaczego nas, swoich wychowawców, zdradzają?

Zaraz, ale jakie elity? Skąd one się wzięły? Te akurat skonstruowano na wymordowaniu poprzednich, tych z głębszej polskiej historii. Wymordowaniu i skudleniu części tych, którzy przeżyli oraz dali się kupić na przywieziony z Moskwy dwór właścicieli nowej Polski – PRL. Potem – niektórzy od października 1956,

inni od grudnia 1981 r. – zaczęli gryźć rękę, która ich na salony wprowadziła. Zapamiętali tylko ów akt buntu, nie zapamiętali wieloletniej wiernej służby. I tę zmistyfikowaną, wybiórczą pamięć wyryli na tablicach swojej gazety, z której miała być odczytywana (z drobnymi korektami wynikającymi z kolejnych zakrętów „posthistorii”) do końca świata. To pamięć, która ma wyrabiać nawyk posłuchu u „braci mniejszych”, u ludu, u tych – jak to zgrabnie ujął salonowy nonkonformista – którzy „swoją wiedzę o świecie opierają na tym, że w dupie byli i gównu widzieli”.

WIZJA RZECZYWISTOŚCI

To oczywiście jest także wybiórcza i zmistyfikowana, a na pewno bardzo uproszczona wizja rzeczywistości. Rzeczywistości polskiej wojny domowej. Te wizje oraz lęki, które je napędzają, zderzają się bowiem coraz mocniej. Zderzają się w domach i na ulicach. Tak jak choćby ostatniego 13 grudnia. Uczestnicy demonstracji Komitetu Obrony Demokracji przechodzili obok pikiet organizowanej przez Związek Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym. Ci ostatni witali marsz KOD okrzykami: „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje”,



wojną domową

„Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, „Byłeś w ZOMO, jesteś w KOD-zie, zawsze będziesz siedział w smrodzie”. Demonstranci KOD bili w bębny i skandowali pod adresem swoich adwersarzy: „Misiewiczze, Piotrowicze”, „Wolność, równość, demokracja”, „Precz z komuną”. To na razie tylko słowa. Ktoś spalił kukłę Jarosława Kaczyńskiego pod Sejmem – zaraz po tym, jak poseł Nowoczesnej zapewniał w tymże Sejmie, że to Jarosław Kaczyński spalił kiedyś kukłę Żyda, to jest Lecha Wałęsy... Reprezentant Platformy Obywatelskiej w Brukseli oburza się, że Parlament Europejski patrzy na Aleppo zamiast na Warszawę. Mówi to w dniu, w którym rzecznik ONZ oświadczył, że „człowieczeństwo w Aleppo przestało istnieć”, i poinformował o rozstrzelaniu w tym mieście co najmniej 82 osób, w tym kobiet i dzieci, w egzekucjach zarządzonych przez wspieraną z Rosji armię rządową. W Polsce egzekucji nie ma, ale płoną słowa, płoną kukły, płoną złe fantazje.

Czy to już jest wojna domowa? Czy musimy czekać, aż poleje się krew? No cóż, przypomnijmy – ona już została przelana 19 października 2010 r. Człowiek oszalały z nienawiści, jaką naszą

czył go media porównujące Jarosława Kaczyńskiego do Hitlera, zabił drugiego człowieka – Marka Rosiaka, pracownika Biura Poselskiego Prawa i Sprawiedliwości. Morderca wyznał, że chciał zabić prezesa PiS. W oświadczeniu odczytanym przed sądem napisał m.in.: „To Lech Kaczyński jest największym mordercą polskim [...] Ciemny lud buduje mordercy pomniki. Na pomniki zasługuje tylko generał Jaruzelski, który rządził Polską w trudnych czasach komunizmu, gdy byliśmy pod okupacją Związku Radzieckiego. [...] Polska to dziki kraj, w którym nie respektuje się prawa, łamana jest konstytucja...”. Czy nie ma dziś wielu naszych współobywateli, którzy nie tylko myślą, lecz także wyrażają publicznie takie poglądy? Może niektórymi z nich powodują już podobne emocje, które powodowały mordercą Marka Rosiaka? Wezwani przez sąd biegli orzekli, że tegoż mordercę „cechuje postawa egocentryczna”, „nie akceptuje odmiennych poglądów”, „jego procesy charakteryzują się dużą dozą prymitywizmu”. Czy to jest diagnoza jednostkowa czy społeczna? Obie strony polskiej wojny domowej odnajdą z pewnością mnóstwo podobnych przypadków – naturalnie u przeciwników.

Czy jest to jednak jakaś polska „specyfika”? Wzajemna agresja? Wieczna wojna domowa? Akurat w mijającym roku mieliśmy kilka okazji historycznych, by się nad tymi pytaniami zastanowić. Obchodziliśmy hucznie, i słusznie, 1050-lecie chrztu Polski i zarazem dziejów naszej wspólnoty.

GEPOLITYCZNY KONTEKST

Tak się jednak złożyło, że dokładnie w dwóch trzecich tej imponującej odległości, jaką nasza wspólnota przeżyła dotąd przez dzieje, 13 lipca 1666 r., a więc 350 lat temu, rozegrała się największa z bitew w polskiej wojnie domowej. Stoczona została nad Notecią, tuż obok Inowrocławia, między wsiami o niepokojąco brzmiących nazwach: Mątwy i Tupadły. To był smutny epilog czasów, które część z nas utrwaliła w pamięci kulturowej poprzez karty stronicy Sienkiewiczowskiego „Potopu”. Król Jan Kazimierz i jego ambitna małżonka, Ludwika Maria Gonzaga, realizując plan zaakceptowany w Wersalu przez króla Francji, Ludwika XIV, pragnęli zmienić ustrój Rzeczypospolitej. Chcieli ograniczyć wolną elekcję. Zamierzali osadzić za życia Jana Kazimierza jego następcę na tronie – księcia d'Enghien. Najbardziej, obok Stefana Czarnieckiego, zasłużony w walce ze

■ szwedzko-moskiewskim potopem książę Jerzy Lubomirski, przeciwstawiając się tym planom, został z inicjatywy pary królewskiej skazany na karę śmierci, pozbawienie dóbr i tytułów. Większość szlachty stanęła przy Lubomirskim, przy „złotej wolności”, przeciw „francuskim” reformom. Lubomirski w polu wygrał, właśnie pod Mławami. Pobił tam na głowę swego ucznia, Jana Sobieskiego, który ledwo uszedł z życiem. Rokoszeźnicy wyróżnili na polu bitwy blisko 4 tys. żołnierzy wojsk królewskich. Potem przyszło opamiętanie. Chociaż Lubomirski zwyciężył w bitwie, to postanowił zrezygnować z dalszej walki, ukorzył się przed królem i udał na emigrację, król zaś zrezygnował z reform. Kto miał rację w tamtej wojnie domowej? Król i jego pomysły zatwierdzonej w Paryżu reformy? Czy raczej obrońcy „polskiej anarchii”? Historycy nie przestają się spierać.

Tak jak nie przestajemy się spierać – tu już w szerszym kręgu, nie tylko w gronie historyków – kto miał rację w innej polskiej wojnie domowej, w przewrocie majowym Piłsudskiego, którego 90. rocznicę także właśnie obchodziliśmy. W tamtym starciu też połała się krew. W toczonych na terenie Warszawy między 12 a 15 maja 1926 r. starciach zginęło 215 żołnierzy i 164 cywili. Tragiczny bilans. Czy usprawiedliwia go przekonanie Marszałka, że on jeden mógł uratować wtedy Polskę przed upadkiem?

Nie zamierzam tu rozwodzić się nad tym. Chodzi mi raczej o przywołanie tych dwóch przykładów polskich wojen domowych, z XVII i XX w., by zastanowić się, czy w tej skali oraz intensywności można je uznać za jakiś straszliwy wyjątek na tle europejskim, za polską patologię? Odpowiedź jest prosta: nie. Na pewno nie. Jeśli przypomnimy sobie skalę barbarzyństwa i masowych mordów, jakie towarzyszyły angielskiej wojnie domowej w wieku XVII, francuskim wojnom domowym, od nocy św. Bartłomieja, Frondy, do zdżyczenia kolejnych rewolucji francuskich (zwłaszcza tej pierwszej, z lat 1789–1799, a także tzw. Komuny Paryskiej), niemieckiej wojnie 30-letniej w XVII w. i potwornościom hiszpańskich wojen domowych, z ostatnią z lat 1937–1939 na czele, to już nie musimy nawet sięgać do przykładu rosyjskich wojen domowych, by przekonać się, że nasze wewnętrzne podziały nie są bynajmniej niczym specjalnym. Jeśli czymś się wyróżniają, to chyba względną łagodnością.

Jest jednak wszakże pewien szczególny kontekst (geo)polityczny, który naszym

wojnom domowym nadaje groźniejszy sens. To ich uwikłanie w rozgrywki sąsiednich mocarstw, od XVII w. gotowych konflikty wewnętrzne w Polsce rozdmuchiwać cierpliwie do rozmiarów, które gwarantują paraliż naszego państwa i możliwość jego zwasalizowania, a nawet rozbioru.

Nierzadko nasze wojny domowe okazują się nie domowymi bynajmniej, ale zarządzanymi z zewnątrz technikami podporządkowania i podboju. Tak jest przecież na pewno np. z konfederacją targowicką i tak jest z tzw. wojną domową, a w istocie sowieckim sposobem na rozbięcie polskiego oporu po wkroczeniu Armii Czerwonej na przełomie lat 1944–1945 na nasze ziemie. Kapitan Jaruzelski i rtm. Pilecki to nie są dwaj bohaterowie tragicznej wojny domowej, tylko jeden jest narzędziem imperialnego podboju przez Moskwę, a drugi przed tym próbuje Polski bronić. Przecież po „utrwaleniu władzy ludowej” jej stabilizacja opiera się nie tylko na moskiewskich bagnietach, lecz także na (również imperialnej) technice przyciągania do współpracy, a raczej do służby najpierw części elit, a potem tysięcy, w końcu milionów zwykłych ludzi, chcących po prostu przeżyć życie we względnym spokoju i zarazem bez obrzydzenia do siebie. Część jednak tego spokoju nie szuka, ale się opiera, buntuje. Najdzielniejsi giną niemal bez śladu (odkopuje ich dzisiaj ekipa prof. Szwaagrzyka), nieco mniej dzielni – jakoś przeżyli, niektórzy nawet doczekali się medali.

Oni (i ich dzieci) nie chcą zgodzić się na logikę zgody, zgodnie z którą racje trzeba rozłożyć równo między tych, którzy strzelali (w oparciu o Moskwę), i tych, do których strzelano. Podejrzanie o zdradę, któremu przeciwstawia się „rozum polityczny” nakazujący kolaborację z silniejszym (sąsiadem/panem), powraca zawsze, kiedy odżywa atmosfera polskiej wojny domowej. Tak jak odżyło w czasie sporu o Okrągły Stół, a jeszcze intensywniej od 10 kwietnia 2010 r., kiedy z całą okrutną mocą ujawnił się znowu moskiewski, imperialny aspekt wojny polsko-polskiej.

WALKA O WARTOŚCI

To część naszej specyfiki. Jednak czy całość? Kiedy przypominałem rokosz Lubomirskiego, zrobiłem to nie dla samej okrągłej jego rocznicy, ale dlatego także, że wprowadza on pewien nowy wątek do naszych podziałów i kompleksów. Oto

mamy program reformy, która przychodzi do nas w stroju francuskim i ogłasza, że to, co stare, polskie, jest złe, jest do wyrzucenia. Zamiast podgolonego łba, z polskim kołtunem (Plica polonica) na czubku, ma być teraz upudrowana peruka (pod nią – przynajmniej – wszy też nie brakuje). Oświeceni – z Zachodu – przychodzą nauczać niewdzięcznych tłumoków, rodzimych ciemniaków.

To jest linia podziału najbardziej bezwzględna, bo jedni przypisują w niej sobie rolę nauczycieli, a drudzy mają być uczniami. Część potencjalnych uczniów broni się przed takim ubezwłasnowolnieniem i buntuje przeciw nakazowi porzucenia starej (uznanej za niebezpieczny przeżytek) tożsamości. I oskarża o zdradę tejsze, niegdyś wspólnej, tożsamości strojących się w zachodnie piórka nauczycieli.

Konflikt nasila się w XVIII stuleciu, wraz z mocniejszymi prądami oświecenia, wraz z coraz bardziej dramatyczną sytuacją samej Rzeczypospolitej. „Polskę z niewoli nierządu i nieświadomości wyprowadzić [...] rozum weseląc, oświecać i umysłem do rozszerzenia się pole dać” – to jest program stanisławowskiego „Monitora” (nr 1 z marca 1765 r.). Jego misja to „komunikacja refleksyjnej rozumniejszej patryjotów do mniej rozumnie konwersujących” („Monitor”, nr 46/1765). Całkiem jak cytowany wyżej Andrzej Stasiuk w roku 2016, tylko bez chamstwa. Istota rzeczy pozostaje jednak ta sama. W wieku zaborów koryguje ją niekiedy element współpracy między patriotami rozumniejszymi i mniej rozumnie konwersującymi przeciwko wspólnemu wrogowi, zwłaszcza kiedy jest tym wrogiem Imperium Rosyjskie, w naszej wyobraźni kulturowej niekojarzące się z oświeceniem.

Od kiedy jednak rozdzony na Zachodzie marksizm załagał się w Europie Wschodniej, także się okazało, że większą moc wydobędzie z Rosji aniżeli z jej polskiej prowincji, wówczas – paradoksalnie nieco – patos oświecenielskiej misji wobec swojskiej ciemnoty połączy się już nie z francuską peruką ani fraczkiem, ale z czerwoną gwiazdą na ruskiej papasze. „Modernizatorzy” ze Wschodu podbijają Polskę w roku 1945. Część wyznawców idei postępu, obsadzając siebie w roli jego nauczycieli na niewdzięcznej nadwiślańskiej ziemi, uzna za pokorą tę zmianę geopolitycznego centrum swych nadziei. Tak jak Tadeusz Kroński będzie chciał

teraz wybijać kolbami sowieckich bagnów „alienację” z polskich zakutych łbów. Niektórzy, tak jak uczeń Krońskiego, Czesław Miłosz i jak Maria Dąbrowska, będą się czas jakiś wahać, ale w końcu uznają, że światło oświecenia ze Wschodu nie świeci i, z pewnymi obawami, przejdą na stronę pogardzanego wcześniej „człowieka prostego”, Polaka zniewolonego, w świecie niebywałego. Nastąpiły piękne czasy – lata 70., 80., z wyborem Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, z Solidarnością, z jej 10 mln członków. Kompleks Zachodu i związany z tym front walki wewnętrznej o sens lub bezsens polskie go dziedzictwa jakby się cofnął nieco.

AWANSOWAĆ DO EUROPY

Wrócił jednak, w nową, zastrzeżoną jeszcze postaci od czasu, kiedy okazało się, że nas gen. Jaruzelski skutecznie zmęczył stanem wojennym, że nadziei na dobrą zmianę mamy szukać najpierw w łasce ze Wschodu, w „pierestrojce”, a potem, już na stałe, tylko z Zachodu, z wzorów liberalnej gospodarki, z obietnicy Fukuyamy, że historia się skończyła i wygrał na zawsze model postmodernistycznej wolności, jaką opisu-

jest już zmęczony, że już nie chce się poszerzać. Nie rozwija się, tylko się zwija – w najprostszym, materialnym sensie. Przyszłość przestała nęcić obietnicą.

Kapłanka nowej europejskiej pamięci, niemiecka prof. Aleida Assmann, zauważyła już wtedy, dokładnie w roku 2006, że przyszłość straciła swoją zdolność do integrowania Europy. I wysnuła z tej prawdziwej obserwacji fałszywy wniosek: skoro nie możemy tworzyć nowego człowieka na podstawie utopii przyszłości, bo już nikt w nią nie wierzy, to trzeba z tym większą energią zabrać się do przeszłości, do starych tożsamości, które muszą być zniszczone, zmienione. Stara, narodowa pamięć wyparta być musi przez nową, postnarodową, postnowoczesną utopię utrzymania status quo, w którym nauczyciele-terapeuci utrzymają swoją pozycję wobec wciąż chorych społeczeństw. Europäische Leitkultur (wiodąca kultura europejska), dyktowana przez „postępowe elity”, miała wciąż zawstydzać ciemniactwo. Nie tylko w Polsce, choć oczywiście najchętniej i najłatwiej czyniła to wobec krajów „nowej”, „młodszej” Europy, ze starym

bronie swojej godności, nie dać się zepchnąć na śmietnik historii. Przyszłedt Brexit, potem Trump, teraz są wybory we Włoszech. We Francji socjalistyczny kandydat może liczyć na 2 proc. poparcia w wyborach prezydenckich, a rywalizacja o najwyższy urząd rozstrzygnie się między ortodoksyjnym katolikiem a radykalną putinistką.

Polska wojna domowa, bunt polskich pacjentów przeciw terapeutom z „Gazety Wyborczej” i Parlamentu Europejskiego, okazały się tylko drobnym, choć ważnym odcinkiem wielkiej światowej wojny domowej.

Ta sytuacja zaczyna być rozpoznawana nawet przez wytrwałych dotąd rzeczników wojny liberalnej kasty wychowawców z polską ciemnotą. Janusz Majcherek pisze np. w tejsze „Gazecie” ze zdumieniem: „Polska ma się pozbyć swojego zacofania, ale przyjąć zacofanie obce; poniechać zabobonnej i dewocyjnej religijności katolickiej, otwierając się na jeszcze bardziej zabobonną i dewocyjną religijność islamską; wyrzec się ciemnych stron kultury własnej, ale przyjmować kulturę cudzą z jej najciemniejszymi stronami; tworzyć społeczeństwo otwarte – ale otwarte także na wpływ obcych żyjących w zamkniętych enklawach” („GW”, 12 grudnia 2016 r.)... Inny, zachowujący bliższy kontakt z rzeczywistością reprezentant tej samej strony, prof. Jan Ziolkonka z Oksfordu, zauważa nie mniej trafnie, że „trzeba upaść na mózg”, żeby wierzyć, iż takie „ikony” postępu i rozumu, jak premier Kopacz i przewodniczący Juncker, mogą zapewnić liberalnemu projektowi „dobrej zmiany” sukces.

Nauczyciele-terapeuci stracili swój autorytet. Uczniowie-pacjenci się zbuntowali. Chcą bronić swojej godności, swojej rodziny, swojej ojczyzny, swojej tradycji, swojej religii, swoich przyzwyczajęń przed tym, co uznają za zagrożenie dla tego wszystkiego, co stanowi o ich tożsamości. Nie chcą słyszeć o „płynnej ponowoczesności”. Nie czują się gotowi, by w niej pływać tak rześko, jak Zygmunt Bauman nakazuje.

Co będzie dalej? Czy przyjdzie doktor (gazownictwa) Władimir Putin i nas wszystkich razem – terapeutów i pacjentów – wyleczyć? To byłoby jakieś rozwiązanie. Strasznie nim jednak nie wystarczy, by z naszej wojny domowej wyjść bez rozbiórów. Trzeba czegoś więcej. Może powrotu do wspólnej rzeczywistości?

Kiedy w Europie wybuchła bomba z tzw. uchodźcami, obywatele poddani dyktaturze politycznej poprawności usłyszeli, że mają się bardziej „otworzyć”. Wtedy coś pękło

ją nowi mędrzy z Harvardu czy Leeds. Że trzeba odrzucić „polski garb”, żeby się do tego posthistorycznego raju dostać, żeby awansować do Europy. I tak dochodzimy do punktu wyjścia naszych rozważań, do odtworzenia w znanej nam już postaci tej linii podziału, w której po jednej stronie jest nauczyciel, a nawet terapeuta, a po drugiej ma być ustawiony uczeń, a nawet pacjent, do wyleczenia.

To działało, względnie skutecznie, kiedy widać było gołym okiem ogromny dystans cywilizacyjno-materialny dzielący znędzniała w latach 80. Polskę od zachodniej Europy. Chcieliśmy się TAM dostać, na drugi, lepszy brzeg. I przyjmowaliśmy dyrektywy, które ogłaszali nasi nauczyciele-terapeuci.

Tak było, mniej więcej, do roku 2004, kiedy wreszcie znaleźliśmy się na drugim brzegu, na jego skrawku przynajmniej, jako nowo przyjęci członkowie Unii Europejskiej. Tutaj się jednak zaczęły kłopoty. Zaczęliśmy bowiem dostrzegać, że Zachód

przyzwyczajeni niemieckich (i nie tylko, oświeceniowych po prostu) Kulturträgerów. To samo jednak miało dotyczyć zacofańców we Francji, w Niemczech, Holandii, Wielkiej Brytanii... Kultura politycznej poprawności, zabierająca coraz agresywniej wolność, arogancja klasy „wychowawców” zaczęły także nużyć amerykańskich pacjentów administracji Baracka Obamy i Hillary Clinton, stacji CNN, „New York Timesa”, potężnego liberalnego establishmentu.

PEKNIĘCIE

Kiedy w Europie wybuchła bomba z tzw. uchodźcami, poddani dyktaturze politycznej terapii obywatele usłyszeli, że mają się bardziej „otworzyć”. Wtedy coś pękło. Nie w Polsce, ale w Anglii, we Francji, w Holandii, Niemczech, we Włoszech, w końcu także w Ameryce, gdzie miliony nazywanych „białymi śmieciami” obywateli postanowili rozpaczliwie



Piotr Semka

Grudniowe protesty Platformy oraz Nowoczesnej były groteskowe i wyśmiewane, ale kolejny raz przesunęły granice nieprzekraczalne dotąd w sporze politycznym w III RP

„Nie wypuszczamy po prostu pisierskich pedałów z Sejmu” – mówił jeden z demonstrujących pod Sejmem (na zdjęciu z lewej)

FOT. YOUTUBE

Aż do skutku

Gdy piszę ten tekst, wydaje się, że impet „operacji grudniowej” opozycji wygasa. Odwołanie planów wprowadzenia zmian w dostępie dziennikarzy do Sejmu wyträciło opozycji chwytliwe hasło obrony wolności mediów. Okupowanie sali sejmowej przez posłów Platformy i Nowoczesnej staje się coraz bardziej groteskowe, ale politycy opozycji przekonują, że będą na sali „aż do skutku”.

Pravicowy Twitter rozładowuje napięcie dwóch grudniowych tygodni złośliwym określeniem akcji opozycji – „ciamajdanem”. Istotnie, w działaniach opozycji nie brakowało groteski – od nieudanego udawania ofiary przez jednego z demonstrantów do tweetów posłanki Nowoczesnej chwalejącej się poparciem jednej z pizzerii.

Te wszystkie elementy politycznej burleski nie zmieniają jednak jednego – blok przeciwników PiS przesunął kolejny raz granice tego, na co pozwalano sobie w sporach politycznych po 1989 r.

GAZ DO DECHY

Opozycja zaplanowała na okres przed 13 grudnia i po nim bardzo przemyślany plan politycznego trzęsienia ziemi. Widać wyraźny podział na role. Blokade miesięcznicy smoleńskiej 10 grudnia wzięła na siebie grupa Obywatele RP na czele z Pawłem Kaspzakiem – postacią przypominającą słynnego Dominika Tarasa, organizatora awantur w sierpniu 2010 r. przy krzyżu przy Krakowskim Przedmieściu. Ratusz

zarejestrował pikietę, której celem było już nie tyle demonstrowanie na trasie pochodu – tak jak przy wcześniejszych miesięcznicach – ile jego zablokowanie. Tylko sprawność policji zapobiegła większej awanturze. Potem opozycja postanowiła zrobić to, za co sama rzucała niegdyś gromy na PiS – wykorzystać datę 13 grudnia do bieżącej polityki.

Szybkiemu nagłośnieniu na całą Europę ewentualnych starć z policją miała służyć planowana na 13 grudnia, a potem przesunięta na 14 grudnia debata w Strasburgu o stanie demokracji w Polsce. Dzisiaj z perspektywy czasu widać, że kulminację całotygodniowego wzmacniania napięcia zaplanowano na piątek 16 grudnia, co ogólnikowo zdradził rankiem tego dnia w telewizyjnym studiu poseł PSL Eugeniusz Kłopotek, wieszcząc tajemniczo: „Pan zobaczy, co będzie”. PO i Nowoczesna przyjęły tamtego dnia taktykę „rozpoznania bojem”. Początkowo planowano jedynie blokowanie uchwalenia budżetu wystąpieniami kolejnych posłów opozycji pod hasłem obrony wolności mediów. Gdy jednak marszałek Marek Kuchciński stracił nerwy i – jak się zdaje – zbyt pochopnie wykluczył posła PO Michała Szczęrbę z obrad, błyskawicznie wykorzystano okazję i rozpoczęto okupację sali sejmowej. To pchnęło Kuchcińskiego do kolejnej nerwowej reakcji – przeniesienia głosowania nad budżetem do Sali Kolumnowej. PO i tym razem chwyciła szansę

w lot – rzucono hasło protestów przeciw nielegalnemu uchwaleniu budżetu. Zwraca uwagę niezwykle szybkie zmobilizowanie ok. 2 tys. sympatyków KOD, którzy tym razem działali agresywnie, podejmując próbę blokady Sejmu.

I znów, tak jak w przypadku próby zbojkotowania miesięcznicy smoleńskiej, niektóre z nagrań pokazują demonstrantów do złudzenia przypominających typ ludzi atakujących modlących się pod krzyżem w 2010 r. „Nie wypuszczamy po prostu pisierskich pedałów z Sejmu” – tak o stylu zachowania tzw. dresiarzy mówił na nagraniu wideo z 16 grudnia jeden z pewnych siebie mężczyzn ok. trzydziestki. Wydarzenia z tamtego dnia pokazały, że podobnie jak przy czarnym poniedziałku 3 października dodatkowym wsparciem demonstracji PO, Nowoczesnej i KOD mogą być aktywiści Razem i lewicowcy. Słynne już położenie się na ziemi Wojciecha Diduszki, męża publicystki „Krytyki Politycznej”, pokazuje, jaki jest potencjał wykreowania na użytek światowych mediów newsa o „pierwszych ofiarach PiS”.

Na ile realne były plany zajęcia Sejmu przez demonstrantów i okupacji budynku? Posłowie opozycji już okupowali salę plenarną, więc gdyby demonstranci masowo wdarli się do Sejmu, mogliby zacząć okupować budynek i zrobić z parlamentu „polski Majdan”. Zwracał uwagę zestaw bardzo szczegółowych rad, jak utworzyć Majdan na wzór Kijowa, którymi dzielił się

na Facebooku inny prominentny uczestnik demonstracji KOD, szef magazynu „Forbes” Michał Broniatowski.

O tym, że posłowie opozycji nie mieliby nic przeciwko akcji zajęcia Sejmu przez demonstrantów, może świadczyć ich zachowanie po spotkaniu dziennikarzy z marszałkiem Senatu 19 grudnia. Zachęcali wtedy ludzi mediów, by złamali rozporządzenie marszałka Sejmu i już nie opuszczali budynku.

Charakterystyczna jest też ewolucja zachowań części posłanek i posłów PO oraz Nowoczesnej. To styl bycia posła Nitrasa, który odnalazł w sobie powołanie dziennikarza, filmując spotkania ludzi mediów z marszałkiem Senatu, oraz rewolucyjna gorączka posłanek Kamili Gasiuk-Pihowicz i Agnieszki Pomaski. Czymś nowym jest też pochwała upokarzania posłanki PiS, którą wyraził Bronisław Komorowski, kpiąc z posłanki Pawłowicz, którą podczas opuszczania Sejmu musiała chronić policja. Z kolei gdy demonstranci KOD próbowali uniemożliwić Jarosławowi Kaczyńskiemu wjazd na Wawel, posłanka PO Agnieszka Pomaska oraz aktywista KOD Waldemar Kuczyński publicznie usprawiedliwiali takie formy protestów.

W tej sytuacji nikogo nie zaskoczyła już szarpanina aktywistów KOD z minister Anną Zalewską w Jeleniej Górze 19 grudnia. Za każdym razem testowana jest odporność psychiczną policji. Gdy władza nie reaguje, można ogłaszać jej słabość. Gdy odpowie kiedyś siłą, będzie można nałożyć kostium ofiary.

ŚWIAT MYSZEK-AGRESOREK

Sprawnej inżynierii socjopolitycznej opozycji i KOD sprzyja jeszcze jedna okoliczność.

Wszelkie obserwacje bardzo przemysłowej organizacji ofensywy przeciw PiS wywołują u obrońców opozycji nerwowe i hałaśliwe porównania do propagandy PRL. Natychmiast pojawiają się sugestie, że kopiuje się tezy komunistycznej propagandy o ukrytej inspiracji spontanicznych protestów. Gdy w jednym z programów daleki od sympatii do PiS dziennikarz Andrzej Stankiewicz zwrócił uwagę na koordynację działań opozycji, natychmiast spotkał się z oburzeniem innych publicystów. Przenoszenie jednak takich analogii na obecne czasy „wojen hybrydowych” jest śmieszne. Sam Grzegorz Schetyna na nagraniu z zamkniętego posiedzenia PO z początku roku jasno mówił o używaniu w walce z PiS zarówno „ulicy, jak i zagranicy”.

To zjawisko tym groźniejsze, że media obozu lewicy liberalnej prawie nie wykazują chęci przestrzegania opozycji przed łamaniem kolejnych tabu. KOD otrzymuje medialną licencję na przesuwanie granic w agresji. Symbolem takiej synergii znanych publicystów z lewa i kandydatów na nowe gwiazdy ulicznej polityki była rozmowa z 9 grudnia w Radiu TOK FM Jacka Żakowskiego z Pawłem Kaspzakiem, w której ten ostatni chwalił się przed zachwyconym gospodarzem audycji, że „zajmie krzyż” i „stanie tam, gdzie poseł Kaczyński”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że organizatorzy takich działań dość cynicznie liczą na to, że jeśli PiS wykaże bezradność i pozwoli na takie akcje, to będzie kompromitował się bezradnością. Jeśli użyje siły, to w świat pójdą wybrane obrazki spod Sejmu i będzie można krzyczeć o „rządach faszyzmu” w Polsce.

JAK BUDUJE SIĘ DWUWŁADZĘ?

Ostatnie wydarzenia przywodzą na myśl konflikt PO z PiS ze stycznia 2006 r., gdy prezydent Lech Kaczyński rozważał możliwość rozwiązania Sejmu z racji opóźnień przy przygotowywaniu budżetu. Już wtedy w kręgu polityków PO pojawił się pomysł zwołania kadłubowego kontr-Sejmu w auli Politechniki Warszawskiej. Prezydent Lech Kaczyński, obawiając się kryzysu konstytucyjnego o potencjalnie bardzo poważnych skutkach, cofnął się i do przyspieszonych wyborów nie doszło. Drugi raz w Sejmie zapanowała aura rokoszu 26 września 2006 r., gdy w TVN wyemitowano nagranie z „ustawki” przygotowanej przez dziennikarzy tej stacji: Andrzeja Morozowskiego i Tomasza Sekielskiego, w ramach której posłanka Renata Beger zachęcała polityka PiS Adama Lipińskiego do rejestrowanych negocjacji w sprawie jej przejścia do klubu partii rządzącej. Opozycja była doskonale przygotowana do wykorzystania tego medialnego wydarzenia. Politycy Platformy zorganizowali nocą specjalną konferencję prasową, żądając zwołania na następny dzień nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu. Jednocześnie tej samej nocy w okolicach Sejmu założono miasteczko namiotowe, które otwarcie nawiązywało do wzorców ukraińskiej pomarańczowej rewolucji. Tylko determinacja ówczesnego marszałka Sejmu Marka Jurka, który odmówił zwołania nadzwyczajnego posiedzenia izby, zablokowała rewolucyjny plan opozycji.

W obu przypadkach PO brała pod uwagę scenariusz szybkiego rozhuśtania na-

strojów i stosowania faktów dokonanych. Dzisiaj, gdy PiS ma większość w Sejmie, jest to trudniejsze, ale może oznaczać tworzenie polityki gremiów alternatywnych. Pierwszym polem takich działań może być Trybunał Konstytucyjny po odejściu prezesa Andrzeja Rzeplińskiego.

Na sympatyzującym z KOD portalu Wiadomo.co wspierającym opozycję konstytucjonalista prof. Marek Chmaj kreśli scenariusz, który może przyjąć opozycja: „W Trybunale będzie ryzyko dwuwładzy. Będziemy mieli wiceprezesa, działającego na podstawie konstytucji, i najprawdopodobniej osobę wykonującą obowiązki prezesa, działającą na podstawie ustawy. Może być sytuacja dwuwładzy i Trybunał może się podzielić na dwa Trybunały”.

Zjawisko dzielenia się organów państwa na wzajemnie rywalizujące jest bardzo niebezpieczne. W krajach o słabej demokracji dochodzi wtedy do bezpośredniej walki o władzę. W państwach o silniejszych tradycjach demokratycznych znajdują się zwykle osoby lub środowiska zdolne do podjęcia mediacji. Problem w tym, że w Polsce nie widać już osób zdolnych do rozładowania podobnego napięcia.

Wiele takich postaci, np. były pierwszy sędzia Sądu Najwyższego Adam Strzembosz i przedstawiciele środowiska prawniczego, już dawno zaangażowali się w spór po stronie przeciwników PiS. Kościół katolicki ani nie pali się do mediacji, ani nie byłby zapewne akceptowany w takiej roli np. przez lewicę. Prezydent Andrzej Duda jest członkiem jednego z dwóch obozów politycznych i jego mediacja może sięgać tylko pewnych granic.

Problem w tym, że cała ta postępująca polaryzacja dzieli nasz kraj w momencie rosnącej destabilizacji sceny międzynarodowej, której symbolami były niedawne tragedie w Berlinie, Ankarze i Zurychu.

Mój redakcyjny kolega – Rafał A. Ziemkiewicz – w epoce Donalda Tuska lubił żartować, że ma dla swoich czytelników dwie wiadomości: jedną złą, a drugą dobrą. Złą, że Polską rządzi gang, a dobrą, że jest to „gang Olsena”. Ci, którzy żartują dziś z „ciamajdanu”, powinni pamiętać, że w te próby „rozhuśtania polskiej łodzi” łatwo może wejść czynnik zewnętrzny i to wcale nie „ciamajdowo”.

To, że tragedia w Berlinie nie skłoniła posłów opozycji do honorowego zakończenia protestu w Sejmie, pokazuje, iż opozycja nie rozumie powagi sytuacji.

Wojna na topniejącej krze



Rafał A. Ziemkiewicz

Grzegorz Schetyna i Ryszard Petru walczą o dominację tylko nad częścią opozycji. Jest przecież i ta, która domaga się jeszcze radykalniejszych posunięć PiS

O peretkowy „ciamajdan” – jak nazwał Internet przedświąteczną okupację sali plenarnej Sejmu i towarzyszące jej manifestacje KOD – dał politykom PO, Nowoczesnej i mniejszych partii lewicowych okazję do występowania pod szyldem „zjednoczonej opozycji”. Jednak – poza być może najbardziej zajadłymi wrogami PiS, skłonniymi brać swe marzenia za rzeczywistość – nikt nie wierzy, żeby ta jedność mogła trwać długo. Kandydatów do przywództwa nad obozem broniącym dziedzictwa Okrągłego Stołu i dorobku ćwierćwiecza III RP jest zbyt wielu i żaden z głównych pretendentów nie ma ochoty dzielić się władzą.

Nieco przypomina to sytuację sprzed 20 lat, kiedy to w podobnym rozbiciu była centroprawica. Kto pamięta jeszcze te „Przymierza dla Polski”, „Porozumienia 11 listopada” i „Prawice Razem”, pozorujące przed domagającym się jednej reprezentacji prawicowym elektoratem, że liderzy oczekiwania te rozumieją i pracują nad ich spełnieniem? Wszystkie służyły tylko dotrwananiu do momentu rozpoczęcia walki o to, która partia wystąpi w wyborach jako ta ciesząca się w sondażach największym poparciem.

Tamta skłócona centroprawica była w korzystniejszej sytuacji, niż dziś są PO i Nowoczesna. Była opozycją rozdrobnioną, ale jedyną – w obowiązującym wów-

czas „podziale postkomunistycznym” nie było miejsca na znaczącą „trzecią siłę”. Walka toczyła się więc według stosunkowo prostej reguły: kto przelicytuje wszystkich w antykomunizmie i, nazwijmy to, antymichnikowości.

PRZY ŚCIANIE

Dzisiaj „opozycja totalna”, kontestująca „dobrą zmianę” z pozycji „żeby było, jak już było”, konkurować musi z opozycją lokującą się po przeciwnej stronie władzy, na prawo od PiS, atakującą rząd nie za to, że idzie w złym kierunku, ale że idzie za wolno i nie dość daleko. Mimo powtarzanych od roku zapowiedzi, że klub Kukiz'15 już za chwilę się rozpadnie, a sam Paweł Kukiz straci poparcie, opozycja na prawo od PiS utrzymuje mocny przyczółek – Kukiz'15 we wszystkich sondażach przekracza próg wyborczy, a razem z mniejszymi ugrupowaniami prawicowymi liczyć może na co najmniej 10 proc. głosów.

„Opozycja totalna” dotąd tę konkurencję lekceważyła, przekonana, że nie ma ona żadnego dostępu do serc jej antypisowskiego elektoratu. Jeśli potwierdzą się pierwsze sondaże przeprowadzone tuż po blokowaniu sejmowej mównicy i okupacji sali plenarnej, to może się to okazać błędnym zapatrywaniem. Nad niechęcią do Kaczyńskiego przeważać może bowiem niechęć umiarkowanego wyborcy do politycznych awantur i radykalizmu. W takiej sytuacji Kukiz, który nie zaburza bezpieczeństwa elektoratu, a ostro skrytykował obie główne partie jako współwinne eskalowania drobnego regulaminowego sporu do absurdałnych rozmiarów, okaże się największym beneficjentem parlamentarnej obstrukcji.

Na takie niebezpieczeństwo Platforma i Nowoczesna nie są przygotowane ani nie mają odpowiedzi. Dotychczas i Petru, i Schetyna działają na przekona-



niu, że wygra ten z nich, który pokaże się jako bardziej zdeterminowany i bardziej radykalny pogromca PiS. To właśnie zaprowadziło ich w rejony radykalizmu graniczącego z absurdem. Trudno bowiem sobie wyobrazić, czym jeszcze może jeden przebić drugiego, gdy padły już hasła o wypowiedzeniu posłuszeństwa państwu i zapowiedzi walki „do skutku”, bez określenia – bo w sumie nikt sobie tego nie wyobraża – jaki miałyby to być skutek. Co jeszcze można zrobić po próbie sparaliżowania parlamentu, podczas której z góry odrzucono jakąkolwiek możliwość kompromisu? Blokować drogi? Rozkręcać szyny? Podkładać bomby?



FOT. ADAM GHESTOWSKI/FORUM

Zarówno Grzegorz Schetyna, jak i Ryszard Petru skupili się na obsłudze emocji najbardziej skrajnego, antypisowskiego elektoratu. Ponieważ jednak w Polsce nie ma nastrojów rewolucyjnych, a sprawy decydujące o politycznych wyborach nie są przez przeciętnego Polaka oceniane źle, sprawia to, że cały elektorat „zjednoczonej opozycji” stopniowo się zmniejsza, tak jak topniejąca kra.

PETRU GÓRA

Na tej krze walkę o przywództwo zdaje się wygrywać Ryszard Petru. Dlatego to on pierwszy rzucił jako hasło bojowe żądanie przyspieszenia wyborów. Schetyna został w ten sposób zagoniony

do narożnika – nie może tego hasła otwarcie odrzucić, gdyż wtedy zostanie bezlitośnie zniszczony przez antypisowskie media (które już od pewnego czasu są zdecydowanie przeciwko niemu), choć jest oczywiste, że przyspieszone wybory, jakkolwiek byliby ich wynik, dla PO oznaczać by musiały katastrofę. Jej klub w Sejmie zmalałby mniej więcej o połowę na korzyść Nowoczesnej, niekojarzonej z ośmioleciem źle przez wyborców ocenionych rządów PO-PSL. A także na rzecz SLD, którego niezbyt liczny, ale wierny elektorat będzie znaczyć tym więcej, im dalej zajdzie radykalizacja i im bardziej kra przez to stopnieje – na co wyraźnie liczy i nad czym pracuje Włodzimierz Czarzasty.

Pomińmy to, że przyspieszone wybory odbyć się mogą tylko z woli PiS, ale żeby miały one z punktu widzenia lewicowo-liberalnej opozycji jakiś sens, spełnionych musiałoby zostać kilka warunków. Po pierwsze, preferencje wyborców musiałoby pozostać niezmienione, tak jak przez ostatni rok, a akcja zmierzająca do siłowego skrócenia kadencji wyraźnie na nie wpływa. Po drugie, PO, Nowoczesna, PSL i SLD musiałoby wystawić wspólną listę, co jest w obecnej chwili niewyobrażalne.

Siłą, która przymusi liderów wspomnianych formacji do upchnięcia się na jednej ławce, miał być – w zamyśle architektów tego przedsięwzięcia – KOD. Wielki ruch społeczny wyprowadzający na ulice miliony protestujących, kierowany przez ponadpartyjne autorytety, po prostu niepozostawiający politykom swobody manewru – który z nich sprzeciwiłby się uosobionej przez KOD woli ludu, popełniłby samobójstwo. Po roku istnienia KOD tamte wizje można jednak przywoływać tylko dla śmiechu. Mateusz Kijowski w politycznej grze nie liczy się w ogóle, w sondażach zaufania, z wynikiem 14 proc., lokuje się na szarym końcu stawki, gdzieś obok Palikota. Tajemnicą poliszynela są przymiarki do jego wymiany, ale nie wydaje się, by którykolwiek z pretendentów – czy to mało znany Polakom Radomir Szumelda, czy z kolei znany im już za dobrze Władysław Frasyniuk – mógł tchnąć w „wielki ruch społeczny” nieco życia.

Ryszard Petru wygrywa z Grzegorzem Schetyną w oczach radykalnie antypisowskiego elektoratu, ale nawet ta wygrana może się okazać sukcesem bardzo nietrwałym. Chociaż nieudolna polityka

Schetyny skutecznie tę przewagę PO niweluje, to Nowoczesna jest partią wirtualną, bytem medialnym, praktycznie bez struktur i wpływów na dole, a utrata budżetowych pieniędzy nie daje szans na ich zbudowanie.

TUSK? RZEPLIŃSKI?

Dlatego prawdziwie oczekiwanym w antypisie mesjaszem i wybawicielem nie jest Petru, postrzegany raczej jako „mniej zły” niż „lepszy” od Schetyny, ale Donald Tusk. Lewicowo-liberalna opozycja marzy, że wróci z Brukseli i raz jeszcze, tak jak kiedyś, zdobędzie serca większości Polaków.

Oba punkty są wątpliwe. Po pierwsze, na razie nie widać, żeby był zdecydowany wracać. Jego przemówienie we Wrocławiu, w dniach sejmowej awantury, wskazuje, że nie chce sobie zamykać do tego drogi, ale wciąż liczy na drugą kadencję. Niby atakował PiS, ale miękko, aluzyjnie. Jeśli jednak podejmie decyzję o powrocie, to będzie musiał przede wszystkim stworzyć nową formację, włączając do niej i PO, i Nowoczesną. Nie będzie to łatwe. Tym bardziej że wcale nie jest pewne, czy Polacy przywitają go z otwartymi ramionami. Opozycja nie chce dziś pamiętać, że ucieczka do Brukseli nastąpiła właśnie w momencie, kiedy i popularność PO, i osobista popularność Tuska się załamywały.

Chętnych do przywództwa jest oczywiście wielu, ale wart wymienienia jest jeszcze chyba tylko prof. Rzepliński. Najwyraźniej pociąga go rola zbawcy demokracji i chętnie by ją przyjął, tyle że nie bardzo nadaje się na polityka. Z wielkim poczuciem własnej wartości i godności, apetytem na hołdy i niewielkimi zdolnościami byłby powtórką z Bronisława Komorowskiego i nabytkiem równie niewiele opozycji dającym. Tym bardziej że sam Komorowski wcale się nie wyrzekł ambicji odegrania w walce z PiS znaczącej roli.

Kto w nadchodzącym roku wysunie się na czoło lewicowo-liberalnej opozycji: Schetyna czy Petru? Być może obaj pozostaną, tak jak teraz, szczepieniem walczące jelenie, każdy za słaby, by wygrać, i za silny, by się poddać. Nawet jednak jeśli pojedynek się rozstrzygnie, zwycięzca długo będzie zbyt poobijany, żeby skutecznie stanąć do walki o niezdecydowany elektorat, decydujący o przyszłym sukcesie lub klęsce.

Przez ponad rok opozycji (skłóconej, podzielonej, niepotrafiącej wyłonić ze swojego grona charzmatycznego lidera) nie udało się znaleźć sposobu na podjęcie walki z partią Kaczyńskiego. I to mimo wpadek PiS. Ostatnie wydarzenia wskazują, że opozycja uznała, iż jedynym sposobem na odzyskanie władzy jest kryterium uliczne i obalenie rządu. Uderzające, że włączyła się w tę próbę grupa lewicowych dziennikarzy, z mediów, które po zmianie władzy straciły dofinansowanie ze strony spółek Skarbu Państwa. Dla nich również dziennikarski postulat – swobodnego wykonywania zawodu – okazał się środkiem, a nie celem.

KRYTERIUM ULICZNE

Piątkowy wieczór, 16 grudnia, Warszawa, ulica Wiejska. Kilkutysięczny tłum sympatyków opozycji: KOD, Nowoczesnej, PO i niszowych ugrupowań napiera na policjantów chroniących wejścia do budynków parlamentu. Atmosfera jest gorąca, nie tylko na zewnątrz. Opozycyjni posłowie blokują mównicę sejmową, uniemożliwiając prowadzenie obrad. PiS przenosi prace Sejmu do Sali Kolumnowej. Dochodzi do utarczek słownych, a nawet przepychanek między posłami Markiem Suskim (PiS) i Pawłem Olszewskim (PO).

Wszystko dzieje się pod pretekstem obrony „wolności mediów”, czyli poruszenia wywołanego przez marszałka Marka Kuchcińskiego (PiS). Zapowiedział on nowy regulamin pracy dziennikarzy w Sejmie, który ograniczał pole pracy mediów. Przeciwno pomysłowi Kuchcińskiego zaprotestowało, w liście SDP kilkudziesięciu dziennikarzy politycznych, list protestacyjny wystosowało również 25 redaktorów naczelnych najważniejszych mediów w Polsce, w tym Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”.

Jednak na ulicy, przed parlamentem, na tej niezbyt spontanicznej – bo zarejestrowanej wcześniej – manifestacji wyraźnie dało się odczuć, że sprawa „wolności mediów” to tylko pretekst. Mało mówi się o mediach, a dużo po prostu o obaleniu rządu Beaty Szydło i zmuszeniu do ustąpienia prezydenta Andrzeja Dudy.

„Możliwe, że spór jest tak ostry, że trzeba rozmawiać, czy PiS ma jeszcze mandat społeczny by rządzić” – napisze kilka godzin później poseł Kamila Gasiuk-Pihowicz z Nowoczesnej.



Wojciech Wybranowski

Próba wywołania Majdanu w Polsce i sprowokowania wydarzeń, które zmusiłyby władzę do ustąpienia, się nie powiodła. Jednak wzbudziła ogromne emocje społeczne i pokusę kolejnych prób ich wykorzystania

Bój to ich nie ostatni

Gdy z Sejmu docierają informacje, że PiS przegłosował ustawę budżetową i ustawę dezubekizacyjną, atmosfera gęstnieje. Tłum skanduje m.in.: „Weekend w Sejmie!”, „Wyłaż, tchórz!”. Demonstranci napierają na funkcjonariuszy, zaczyna się szarpanina. Sytuację próbuje uspokoić Mateusz Kijowski, lider KOD, zostaje jednak wygwizdany przez swoich dotychczasowych sympatyków. Do fizycznej blokady parlamentu

nawołuje Tomasz Lis. „Czy mi się wydaje, że pan Kijowski próbuje odblokować Sejm?! Blokujemy!” – wzywa na Twitterze redaktor naczelny „Newsweeka”. To właśnie twitterowe wpisy są najpopularniejszym środkiem komunikacji osób zainteresowanych polityką, pozwalającym na błyskawiczne organizowanie swoich sympatyków. „To początek końca tej władzy” – gorączkuje się poseł Cezary Tomczyk (PO), były rzecznik rządu Ewy



raz już będziesz musiała chować się za policję” – napisał do posłanki PiS Joanny Lichockiej.

MIAŁ BYĆ MAJDAN...

Odsunięci od władzy politycy i dziennikarze mediów bliskich koalicji PO-PSL od dawna nie ukrywali, że widzą przewrót zorganizowany na wzór kijowskiego Majdanu jako sposób na odsunięcie PiS od władzy. Już jesienią ubiegłego roku Tomasz Lis zapowiadał na Twitterze: „W Warszawie będzie Majdan”. Trzy miesiące później lider PO Grzegorz Schetyna przekonywał w rozmowie z RMF: – Jeśli nie znajdziemy rozwiązania tego konfliktu [w sprawie Trybunału Konstytucyjnego – przyp. red.], to wszystko będzie nas prowadzić na ulicę. A jeżeli przeniesiemy wszystkie aktywności na ulicę, to będziemy mogli mówić o Majdanie w Warszawie.

Kilka godzin po piątkowych zamieszkach przed Sejmem redaktor naczelny magazynu „Forbes”, sympatyk KOD Michał Broniatowski, na swoim facebookowym profilu umieścił ośmiopunktową instrukcję: „Jak zorganizować Majdan”. Krytykowany później za to, że prowokuje do rozlewu krwi, bronił się, że opisał jedynie spostrzeżenia z Kijowa. Jednak jego instrukcja zawiera wyraźne odniesienia do Warszawy. Píše, że potrzebny jest duży plac w centrum miasta. „Plac Defilad się nie nadaje, bo nie ma go jak obronić”.

Następnego dnia po sejmowej awanturze podczas manifestacji przed Pałacem Prezydenckim politycy i działacze opozycji dają do zrozumienia, że w gruncie rzeczy chodzi im po prostu o obalenie rządu PiS. – Oni nie reprezentują już narodu. Zrobimy wszystko, aby ta władza padła na kolana – wołał Ryszard Petru, lider Nowoczesnej. Obecny w tych dniach we Wrocławiu Donald Tusk ostro skrytykował polski rząd oraz podziękował opozycji i demonstrantom.

A demonstrujący w Warszawie szybko zapomnieli, że miało chodzić o wolność mediów. Dziennikarze TVP relacjonujący protest byli szarpani, popychani, opluwani, uniemożliwiano im pracę. Agresja była tak duża, że w pewnym momencie poseł Borys Budka (PO) i kilku innych zaczęło apelować do tłumu, by nie atakował reporterów.

– Obserwując to, co działo się przed Sejmem, te ataki na posłów, napaść pod Wawelem na Kaczyńskiego, jestem przekonany, że była to celowa prowokacja

– mówi „Do Rzeczy” Paweł Kukiz, lider Kukiz’15. – Media posłużyły jako kolejny, po sprawie Trybunału Konstytucyjnego i aborcji, pretekst do agresywnych działań mających na celu powrót do zła.

... WYSZEDŁ #CIAMAJDAN

Do agresywnych zachowań doszło też bowiem w Krakowie. Tam grupa bojówkarzy KOD usiłowała zablokować wjazd Jarosława Kaczyńskiego na Wawel, gdzie prezes PiS chciał złożyć kwiaty na grobie brata. Jego samochód obrzucili jajkami, interweniowała policja.

W Jeleniej Górze grupa sympatyków KOD zaatakowała minister Annę Zalewską, gdy ta opuściła budynek Karłowskiej Państwowej Szkoły Wyższej. Szarpana i wyzywana minister schroniła się w samochodzie.

Próba wywołania Majdanu w Polsce na razie się nie opozycji nie powiodła. Na kolejne demonstracje przed Sejmem w poniedziałek i we wtorek przyszło już niewielu „obrońców demokracji”. Atmosferę nieco rozładowały mediacje podjęte przez prezydenta Andrzeja Dudę i rozmowy z dziennikarzami, jakie na polecenie Kaczyńskiego podjął marszałek Senatu Stanisław Karczewski (choć opozycja i część mediów nawoływały, by w nich nie uczestniczyć). Okupacja Sejmu przez grupę polityków PO i Nowoczesnej, którzy postanowili pozostać na sali sejmowej, wywołała raczej falę kpín młodych ludzi, którzy w Internecie warszawski „Majdan” ochrzczili „Ciamajdanem”.

Petru nie udało się zwołać „alternatywnego Sejmu” ani nawet spotkania opozycji. Portal DoRzeczy.pl pierwszy ujawnił, że PSL i Kukiz’15 odrzucili propozycję szefa Nowoczesnej. – PSL nie będzie uczestniczyć w żadnych alternatywnych Sejmach – mówi „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, szef ludowców.

Rozłam nastąpił też we wspólnym proteście. Ludowcy ogłosili, że skoro dziennikarze wracają do Sejmu, to dalsze protestowanie nie ma sensu.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy”, na sali sejmowej koczowała jeszcze grupka posłów PO i Nowoczesnej, która zmieniła żądania. Nie chodzi im już o „wolne media”, teraz chcą powtórzenia głosowania nad budżetem, na które opozycja nie chciała przyjść po przeniesieniu posiedzenia Sejmu do Sali Kolumnowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopacz, jego klubowy kolega Jan Grabiec raduje się: „Szczury uciekają z okrętu”.

Lis daje tam upust emocjom: „To co, panie prezydencie Duda? Niech Pan się odwoła do »patriotycznych środowisk kibicowskich«”.

Emocje podsycają dziennikarze „Gazety Wyborczej”, którzy w sieci puszczaają plotki o rzekomym zamknięciu nieba nad Warszawą. „Tłum na ul. Górnośląskiej czeka na posłów PiS. Atmosfera rewo-lucyj-na!” – zachwyca się Jarosław Kurski, zastępca redaktora naczelnego „GW”. Dodaje: „Emocje, wściekłość, coś w narodzie pęka. Rządzący mają powód się bać”.

Rzeczywiście mają. Gdy posłowie PiS opuszczają budynek Sejmu, są wyzywani przez demonstrantów, szarpani, zady-miarze nie odpuszczają nawet kobiecie – posłance Krystynie Pawłowicz.

– Miałem wczoraj satysfakcję, oglądając jedną ze znanych pań posłankę partii rządzącej, gdy czmychała z polskiego Sejmu pod eskortą policji – skomentował to następnego dnia Bronisław Komorowski, były prezydent. Satysfakcji nie krył też publicysta „GW” Paweł Wroński: „Te-

KAMILA BARANOWSKA: Demonstracje przed Sejmem, awantura w Sejmie i opozycja okupująca salę plenarną. Patrząc z perspektywy czasu, po co to wszystko wam było?

PROF. KRYSZYNA PAWŁOWICZ: Dlaczego nam? Przecież to nie PiS wywołał awanturę.

Zaczęło się od pomysłów marszałka Marka Kuchcińskiego, który chciał ograniczyć obecność dziennikarzy w Sejmie.

Pomysły pana marszałka posłużyły jedynie jako pretekst. Zresztą to były wstępne plany, które jeszcze miały być dyskutowane.

Sprzeciw dziennikarzy brał się stąd, że pan marszałek nie chciał niczego konsultować. Dopiero gdy sytuacja się zaogniła, doszło do pierwszych rozmów.

Sprawa została już rozwiązana i te pomysły za sprawą pana marszałka, a także prezydenta i prezesa partii zostały już wycofane. Nie można jednak z jednej strony oskarżać marszałka o błąd, a z drugiej – nie widzieć tego, że otworzono tym pretekstem drzwi do niebywałego skandalu parlamentarno-ustrojowego. Tego nie da się w ogóle porównać, reakcja była zupełnie nieadekwatna do sytuacji, nie ma tu żadnych proporcji. Zwłaszcza że realnie nigdy nie doszło do żadnego wykluczenia mediów w Sejmie, poruszaliśmy się w sferze zapowiedzi. W odpowiedzi mieliśmy zaś sejmowy pucz Platformy i Nowoczesnej.

Może marszałek Kuchciński niepotrzebnie wykluczył z obrad posła PO Michała Szczębę? Tylko podgrzał i tak już gorące emocje.

Byłam wtedy na sali i uważam, że marszałek i tak wykazał ogromną tolerancję wobec posła Szczęby, który ostentacyjnie pokazywał, że nie zamierza szanować zarządzeń porządkowych marszałka, czuł się bezkarny i cały czas prowokował. Nie chodziło o jeden wybryk i słowa: „Panie marszałku kochany”, jak teraz twierdzą niektórzy, lecz o to, że już wcześniej sześć, siedem razy wchodził na mównicę i zachowywał się w sposób, który urąga prestiżowi izby. Marszałek najpierw wyłączał mu mikrofon, a gdy to nie pomagało, zgodnie z procedurą wykluczył go z obrad. Słusznie, bo patrząc na to, czułam się osobiście upokorzona takim traktowaniem marszałka, a więc i Sejmu, przez posła, który od początku działał w interesie organizatorów całego zamieszania.

Kto był organizatorem?

Najogólniej rzecz ujmując, wszyscy ci, którzy nie mogą się pogodzić z utratą



Z prof. Krystyną Pawłowicz, posłanką PiS
rozmawia Kamila Baranowska

Posłowie opozycji to sejmowi chuligani



władzy i wpływów. Jest wiele środowisk, którym zależy dziś na destabilizacji sytuacji w Polsce. Wszystko zostało bardzo dobrze zaplanowane, bo trudno uwierzyć w tyle nagłych zbiegów okoliczności. Dziwnym trafem Donald Tusk przyjeżdża z Brukseli, pouczając rząd i wspierając protestujących, dziwnym trafem Emitel przestaje nadawać sygnał telewizji publicznej, manifestacje zostały wcześniej oficjalnie zgłoszone w ratuszu, pani poseł Scheuring-Wielgus próbowała rano wnieść megafon na posiedzenie Sejmu, a poseł Kłopotek sugerował swoimi wypowiedziami, że coś się może stać.

Zaskoczyła panią skala emocji towarzyszących wydarzeniom w Sejmie?

Zaskoczyła. I wydaje mi się, że częściowo wynikało to z frustracji posłów opozycji, że im się ten pucz nie udał. My, przenosząc obrady do Sali Kolumnowej, zesłaliśmy z linii strzału, oni zaś cały czas próbowali sprowokować jakąś sytuację, którą można byłoby efektywnie sprzedać opinii publicznej – blokowali całą gromadą przejście marszałkowi Kuchcińskiemu, poseł Pomaska i poseł Nitras, cała młodzieżówka z Platformy biegali w jakimś podnieceniu z telefonami, filmując wszystko i podtykając je nam pod nos, tworząc pewną fikcję, że ktoś ich zaraz pobije. Naprawdę wołałabym, aby posłowie RP zachowywali się poważnie.

Posłowie opozycji dokumentowali – jak twierdzą – łamanie prawa. Ich zdaniem bowiem głosowanie nad ustawą budżetową w Sali Kolumnowej było nielegalne.

Dlaczego miałyby być nielegalne?

Ponieważ panował chaos. Nie wiadomo, ilu posłów głosowało, nie wiadomo, czy było kworum, i nie rozpatrzono wszystkich poprawek.

To wszystko nieprawda. Przeniesienie obrad do Sali Kolumnowej było uprawnione na podstawie art. 10 Regulaminu Sejmu, bo jeśli oni uniemożliwiali prowadzenie obrad, to jest taka możliwość. Zwłaszcza że marszałek Kuchciński wiele razy próbował kontynuować posiedzenie na sali plenarnej, ale nie dało się w tym wrzasku. Apelowaliśmy do szefów klubów o uspokojenie, ale nic to nie dało. Wtedy podjął decyzję o przeniesieniu obrad, o czym wszyscy posłowie zostali poinformowani, także SMS-em. Każdy mógł przyjść i wziąć udział w obradach, ale im nie na tym zależało. Teraz słyszę od posłów opozycji, że chcieli składać wnioski formalne i nie mogli. Gdy-

by chcieli je składać i normalnie pracować, to nie blokowałiby mównicy i fotela marszałka. Pan marszałek zarządził też blokowe głosowanie kilkuset poprawek. I miał do tego prawo. Liczenie głosów było zaś ręczne i na wyniki oraz protokoły trzeba było poczekać. Wszystkie pojawiające się wobec nas zarzuty są kłamliwe, ale łatwo jest je stawiać, bo wiadomo, że nie wszyscy ludzie muszą znać zasady pracy posła.

A może dla ostudzenia emocji warto byłoby, jak chce opozycja, dokonać reasumpcji głosowania nad budżetem i raz na zawsze zamknąć sprawę?

Nie można tego głosowania powtórzyć. Przede wszystkim z powodów prawnych, ponieważ głosowanie było całkowicie legalne. Gdybyśmy teraz zgodzili się na jego powtórzenie, to tak, jakbyśmy się przyznawali do zorganizowania wadliwego głosowania. A to nieprawda, bo procedura od początku do końca była zgodna z Regulaminem Sejmu. Poza tym, zgadzając się na reasumpcję głosowania, w tym przypadku dalibyśmy sygnał, że na przyszłość otwieramy furtkę dla tupania, zaburzania kolejnych głosowań. Przy takiej postawie opozycji należałoby się spodziewać, że przy każdej kolejnej ustawie jej przedstawiciele tupaliby, blokowali mównicę i kazali potem powtarzać głosowania. Niech wrócą do ław oraz normalnej pracy i następnym razem pilnują swoich spraw – poprawek i wniosków formalnych. Nie będziemy powtarzać legalnego głosowania tylko dlatego, że jacyś chuligani sejmowi nam czymś grożą.

Chuligani sejmowi?

Tak od dziś nazywam posłów opozycji. Taki Sejm, jaki był, już się skończył. Nie wyobrażam już sobie traktowania tych wszystkich puczystów jak posłów. Muszę ich tolerować, bo formalnie są posłami, ale na każdym zebraniu zamierzam siadać jak najdalej z głęboką obawą, że mogą znów dokonać jakiegoś ataku albo innej prowokacji, łącznie ze zrobieniem nam krzywdy. Dla mnie coś się skończyło.

I co teraz?

Uważam, że powinniśmy zmienić ustawę o wykonywaniu mandatu posła i senatora, a potem regulamin, tak by móc nakładać na posłów blokujących w sposób siłowy prace parlamentu kary finansowe. Do tego zakaz wnoszenia przedmiotów, które w sposób oczywisty służą do zakłócania prac, takich jak trąbki, tablice z hasłami czy bannery.

Jaki będzie dalszy rozwój wypadków?

Główny pretekst, czyli sprawa dziennikarzy, został rozwiązany, więc teraz powodem blokowania Sejmu nagle stał się budżet. Wydawać by się mogło, że wiecznie taka sytuacja nie może trwać, ale widzę po tamtej stronie ogromną determinację, by przedłużać to w nieskończoność. Nawet święta Bożego Narodzenia nie są dla nich świętością. Niech dobrze się Polacy przyglądają, może zobaczą trochę prawdy, bo to wszystko działa na niekorzyść tych wszystkich obrońców postkomuny. Prowokacji pewnie będzie coraz więcej, musimy dać im odpór. Jeśli oni wszyscy myślą, że my się teraz cofniemy czy wystraszymy, to są w błędzie. Nas cała ta sytuacja wzmocniła. Bez przerwy dzwonią i piszą do mnie ludzie, ale z ogromnymi wyrazami poparcia. To nas bardzo mobilizuje, dlatego po świętach, w styczniu, mam nadzieję na pokazanie, jakim społecznym poparciem dysponujemy.

Niektórzy twierdzą, że najlepszym rozwiązaniem obecnego kryzysu politycznego byłyby wcześniejsze wybory.

To typowe myślenie życzeniowe naszych przeciwników. Po co mielibyśmy robić wcześniejsze wybory? Przecież były niedawno. Mamy większość parlamentarną, realizujemy nasz program, mamy stabilne poparcie w sondażach i w terenie, bo gdziekolwiek się pojedzie, to jest to zauważalne. Nie ma najmniejszego powodu politycznego ani prawnego, ani jakiegokolwiek innego, by robić dziś wybory. Wiemy, że opozycja nie chce czekać do wyborów i próbuje zmienić władzę siłą, ale nic z tego nie będzie. Poczekaćcie, pracujcie przez kolejne lata, może kiedyś wyborcy to docenią.

Słyszała pani, jak Bronisław Komorowski na wiecu mówił, że czuł satysfakcję, oglądając, jak pani „czmychała z polskiego Sejmu pod eskortą policji”?

Znam te słowa. Pokazał swoją klasę i każdy może sobie ocenić, czy takie słowa w stosunku do kobiety przystoją byłemu prezydentowi, czy nie. Sam wystawił sobie świadectwo. Ja pod adresem byłego prezydenta mojego państwa nie będę mówiła o swojej satysfakcji, gdy spotka na swojej drodze tłum rozwścieczonych osób, które chcą go skrzywdzić. Powiem za to, że po 1989 r. poza Lechem Kaczyńskim i teraz Andrzejem Dudą nie mieliśmy szczęścia do prezydentów.



Łukasz Warzecha

Rok 2016 był jednym z najburzliwszych – jeśli nie najbardziej burzliwym – od pozornego końca historii na początku lat 90. Referendum w sprawie Brexitu przypieczętowało krach dotychczasowego kształtu Unii Europejskiej i zapowiada zmianę układu sił w UE, nawet jeśli część elit uparcie temu zaprzecza. Wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA może – choć nie musi – oznaczać poważną rewizję stosunków transatlantyckich. Sukcesy ugrupowań antysystemowych, takich jak AfD w Niemczech i Front Narodowy we Francji, każą postawić pytanie, czy wkrótce zawali się cały dotychczasowy model polityczny. Trwający wciąż kryzys migracyjny pogłębia podział między Europą Zachodnią a Europą Środkową. Ciągnie się konflikt na Ukrainie, w Turcji Erdoğan przykręca mocno śrubę, a na Bliskim Wschodzie trwa chaos, w którym wyraźnie widać rosyjski wkład.

Wyzwań dla polskiej dyplomacji na rok 2017 nie brakuje. Jakie są najważniejsze z nich i jakie kryją się za nimi niebezpieczeństwa?

PO PIERWSZE – bezpieczeństwo. Ta sfera łączy się z niemal wszystkimi innymi kierunkami polskiej polityki zagranicznej, choć przede wszystkim z kierunkiem transatlantyckim. W 2017 r. powinny zostać przez naszych sojuszników z NATO wykonane nie tylko zobowiązania podjęte podczas szczytu sojuszu w lipcu 2016 r. w Warszawie, lecz także te ze szczytu w Walii we wrześniu 2014 r. dotyczące „szpicy” NATO. Realizacja tych postanowień oznaczałaby, że w Polsce przebywałoby momentami nawet kilkanaście tysięcy żołnierzy sojuszniczych armii, a to nie mało w relacji do całego potencjału polskiego wojska. Zapewnienie bezpieczeństwa będzie ważne zarówno strategicznie, jak i wizerunkowo, bo przecież zgodnie z narracją opozycji rząd PiS ściąga na Polskę rozliczne zagrożenia.

Czy jednak nowa amerykańska administracja wywiąże się ze swoich zobowiązań? Wielu zaniepokoiło uderzające w izolacjonistyczną nutę kampanijne deklaracje Donalda Trumpa. Jak jednak zapewnia mnie minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski, Polska nie otrzymała żadnych sygnałów, aby

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Waszyngton miał się wycofać z podjętych zobowiązań po przejściu władzy przez Trumpa, co nastąpi 20 stycznia.

Tego samego zdania jest analityk spraw amerykańskich prof. Zbigniew Lewicki. „Nie ma sygnałów, że mogłoby nastąpić wycofanie się Waszyngtonu ze zobowiązań – mówi. – Trzeba też pamiętać, że Trump właśnie za taką decyzję krytykował w czasie kampanii Baracka Obamę”.

PO DRUGIE – relacje transatlantyckie. Niewywiązanie się z podjętych przez administrację Obamę zobowiązań nie oznacza jednak, że relacje z USA rządzone przez Trumpa nie będą wyzwaniem. Profesor Lewicki, który odwiedził Waszyngton już po wyborach, opowiadał, jak ekipa prezydenta elekta naruszyła wszystkie dotychczasowe utarte obyczaje, dotyczące okresu przed wprowadzeniem się do Białego Domu. Na przykład rozmowy telefoniczne z zagranicznymi przywódcami prowadzono bez pośrednictwa – nawet organizacyjnego – Departamentu Stanu, co wywołało tam głęboką konfuzję. Czy faktycznie wyniknie z tego bardzo głęboki przewrót instytucjonalny i polityczny – dopiero zobaczymy. Pierwsze wystąpienie State of the Union, zawierające

także wątek polityki zagranicznej, Trump wygłosi w Kongresie najprawdopodobniej w lutym (w ciągu ostatnich dwóch dekad taki był termin wystąpień nowo wybranych lokatorów Białego Domu). Kluczowe będzie, rzecz jasna, obsadzenie stanowisk związanych z polityką zagraniczną i wojskowością.

Nad Warszawą wciąż wisi widmo niezbyt optymistycznych dla nas wypowiedzi Trumpa z okresu kampanii, choć w tym czasie Trump znalazł czas na dwa spotkania z Polonią, jego zachowanie jako elekta pokazuje zaś, że oddzieli on okres stosowania kampanijnej retoryki od czasu przygotowania do sprawowania władzy.

Z polskiego punktu widzenia kluczowe będą dwie kwestie. Po pierwsze – relacje amerykańsko-rosyjskie. Obawiamy się nadmiernej bliskości, ale być może niepotrzebnie. Profesor Lewicki twierdzi, że dla Trumpa istotne są dobre relacje, także osobiste, z najważniejszymi graczami, a dla Polski przyzwoite stosunki amerykańsko-rosyjskie nie muszą oznaczać kłopotów. W podobnym tonie wypowiada się Witold Waszczykowski, wskazując, że stabilne i dobre stosunki Waszyngtonu z Moskwą mogą być wręcz w naszym interesie.

Możliwy jest jednak znacznie dla nas gorszy scenariusz strategicznej gry Waszyngtonu z Moskwą i Chinami ponad naszymi głowami, bez uwzględniania naszych interesów. Jest zbyt wcześnie, aby powiedzieć, jak rozwinie się sytuacja.

Tym ważniejsza wydaje się kwestia druga – nasz pomysł na dwustronne stosunki. Wiadomo, że nie gramy w tej samej lidze co USA, a nawet Wielka Brytania i Niemcy. Dlatego powinniśmy mieć gotowe dwa lub trzy tematy, które nasze wzajemne relacje będą napędzać. Jednym z pomysłów obecnego rządu jest, jak się zdaje, współpraca wojskowa.

PO TRZECIE – sytuacja wewnątrz Unii ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec. Tutaj łatwo nie będzie. Z jednej strony formalne kontakty między Warszawą a Berlinem są poprawne, nawet intensywne, ale z drugiej – nie wykraczają poza to, co niezbędne, i są przesyczone wzajemną nieufnością. W kręgach władzy panuje przekonanie, że Niemcy chcą wobec rządu PiS zastosować podobną taktykę jak w latach 2005–2007, czyli przeczekać władzę dla nich trudną i swoje interesy załatwiać z następcami. Może być w tym sporo prawdy, jednak to polska strona

REKLAMA

KRYSTYNA
CHYBÓWNA

MIROSŁAW
ZBROJEWICZ

DAWID
OGRODNIK

ANTONI
PAWLICKI

ROBERT
JAROCIŃSKI

2001:
ODYSEJA KOSMICZNA
ARTHUR C. CLARKE

AUDIOBOOK TYLKO NA:
audioteka.pl

■ wstrzymywała się przez kilka miesięcy z wizytą premier Szydło w stolicy Niemiec. Doszło do niej dopiero w lutym 2016 r., mimo wielokrotnych dyskretnych sygnałów od Niemców, że chcieliby spotkać się jak najszybciej. Berlin odebrał to jako potwierdzenie obaw, że ma do czynienia z nieżyczliwą władzą.

Współpraca w sprawach zasadniczych daje mieszany obraz. Z jednej strony w sprawie sankcji wobec Rosji w związku z wojną z Ukrainą Berlin zajmuje stanowisko bliskie Warszawie. Z drugiej – ciągnie się spór o Nord Stream II, przy wyraźnym uporze części niemieckiej elity politycznej.

Trudno jednak nie zwrócić uwagi na zmianę tonu w wypowiedziach polityków PiS o Angeli Merkel, która właśnie po raz kolejny została wybrana na liderkę CDU i ma wielkie szanse zostać kanclerzem na kolejną kadencję po wyborach w 2017 r. Jarosław Kaczyński mówi, że byłby to dla Polski najlepszy wybór. Wtórą mu inni członkowie partii rządzącej.

Ta zmiana tonu wynika zapewne z konsekwencji referendum w sprawie wystąpienia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, co mocno zmieni układ sił. Na tapecie może się na nowo pojawić kwestia imigrantów oraz nowego traktatu, co gorsza zaś – jak wskazuje Krzysztof Rak, analityk spraw międzynarodowych – może zacząć się gra o wywrócenie dotychczasowego porządku przepływów finansowych. Kraje biednego południa UE z Grecją na czele nie będą bowiem w stanie spłacić swoich długów i w związku z tym państwa zainteresowane utrzymaniem spójności UE z jednej strony, a swoich w niej wpływów z drugiej (na południe spogląda ze szczególną uwagą Francja) rozważają wprowadzenie mechanizmu stałych transferów finansowych dla potrzebujących. Co oczywiście musiałoby uderzyć w dotychczasowy podział wspólnej kasy i sposób wspierania mniej zamożnych krajów „nowej” Unii.

Kolejnym groźnym dla Polaków pomysłem byłoby ograniczenie na szczeblu unijnym wsparcia socjalnego dla wewnątrzunijnych migrantów. Takie rozwiązanie, o którym mówi się w Berlinie, oznaczałoby skokowe pogorszenie się sytuacji wielu naszych rodaków żyjących poza Polską, w krajach UE. Tutaj rząd może mieć poważny problem, bo dla wszystkich jest jasne, że dotychczasowa hojna pomoc, udzielana w niektórych krajach UE, przyciąga tam imigrantów z wewnątrz UE i jest to sytuacja nie do utrzymania. Zarazem

jest to wizerunkowy problem dla każdego polskiego rządu, który stanie przed tym wyzwaniem – o Polaków w innych krajach UE trzeba się upominać, ale zarazem trudno się przyznać, że ważną motywacją dla emigracji jest obfity socjał.

Jest wreszcie problem miejsca Polski w samej UE. Mamy tutaj do czynienia ze swego rodzaju rozdwojeniem jaźni, będącym lustrzanym odbiciem sytuacji w czasach PO. Wówczas Radosław Sikorski lubił podkreślać, jak ważnym krajem jesteśmy, żeby zarazem w sprawach dla nas kluczowych stwierdzać, że musimy podążyć z głównym nurtem, bo jesteśmy za słabi, aby forsować własne stanowisko. Dzisiaj od rządzących słyszymy, że Polska jest państwem odzyskującym samodzielność i pozbywającym się kompleksów, a zarazem ci sami politycy wykazują się zadziwiającą wrażliwością na rytualne i mało znaczące połajanki, kierowane pod adresem Polski w związku z rzekomymi zbrodniami „reżimu”. Państwo niemające kompleksów powinno nad tym przełazić do porządku dziennego.

Żaden z naszych środkoeuropejskich partnerów nie chce się trwale ani mocno konfrontować z Berlinem

PO CZWARTE – region. Jego konsolidacja pod nieformalnym polskim przywództwem może w jakimś stopniu zrównoważyć niekorzystne dla nas trendy, opisane wyżej. Oczywiście między krajami Grupy Wyszehradzkiej, z Bałtami i Rumunią oraz Bułgarią na dokładkę, istnieją spore różnice dotyczące przede wszystkim interesów prowadzonych z Rosją, ale również relacji z Niemcami. Żaden z naszych środkoeuropejskich partnerów nie chce się trwale ani mocno konfrontować z Berlinem, a co dopiero z Moskwą. Jeśli zatem chcemy stworzyć grupę, która będzie pilnować wspólnych interesów tam, gdzie je mamy, musimy przekonać innych członków V4, że naszym celem nie jest wywołanie w UE czegoś na kształt zimnej wojny z Niemcami. O tym, że jednak pilnowanie wspólnych interesów, nawet wbrew stanowisku Berlina, jest możliwe, najlepiej świadczy sprawa polityki migracyjnej. Oczywiście budowanie spójności regionu na podsta-

wie tylko jednego tematu nie jest dobrym pomysłem. Wyzwaniem będzie zatem poszukiwanie lub wzmacnianie kolejnych wspólnych punktów, takich jak projekty infrastrukturalne. Paliwem dla takich działań jest ewidentny polityczny i ekonomiczny kryzys „starej” Unii. Ta sytuacja może skłaniać rządy regionu do poszukiwania może nie alternatywy dla UE, ale solidnego regionalnego oparcia wewnątrz niej na czasy zamętu.

PO PIĄTE – sięganie poza Europę. Jest duża szansa, że odniesiemy sukces w staraniach o miejsce niestałego członka w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, co daje pewne możliwości oddziaływania w skali globalnej. Rzecz jasna, przy pełnej świadomości, że nie zwiększa to trwale ani automatycznie znaczenia Polski.

Rząd ma też ambicje poszukiwania partnerów, głównie gospodarczych, daleko na Wschodzie. Stąd podróże prezydenta do Chin i Witolda Waszczykowskiego do Korei Południowej.

PO SZÓSTE – Rosja. Tutaj jednak niewiele zależy od Polski. Możemy jedynie wykazywać się wstrzemięźliwością i rozsądkiem. To strona rosyjska doprowadziła do praktycznej martwoty wzajemnych relacji i bez jej dobrej woli nie może być mowy o ich odmrożeniu, choćby na poziomie czysto praktycznym.

Pozostaje wreszcie kwestia głównego wykonawcy polskiej polityki zagranicznej, którym – oprócz głowy państwa – jest minister spraw zagranicznych. Witold Waszczykowski jest chyba najczęściej odwoływanym przez media ministrem. Informacje o jego rzekomo rychłym odejściu i niezadowoleniu Jarosława Kaczyńskiego ze sposobu, w jaki sprawuje urząd, są niemal równie liczne co wpadki Ryszarda Petru. Najnowszym powodem do niezadowolenia ma być zatrudnienie przez Waszczykowskiego na stanowisku rzeczniczki Joanny Wajdy, kiedyś dziennikarki TVP, bynajmniej niekojarzonej z twardą linią partii. Waszczykowski bywa też często krytykowany za ostre, publicystyczne wypowiedzi, ale ten sposób komunikowania się przestał z czasem razić. Szef MSZ ma po prostu taki styl i, trzeba uczciwie powiedzieć, nie jest w tym odosobniony, a przy personach takich jak Boris Johnson wydaje się wręcz nad miarę stateczny.

Nie można oczywiście wykluczyć, że lista priorytetów zmieni się znacząco w ciągu roku. Jedno bowiem tylko jest dzisiaj pewne – że żyjemy w bardzo niepewnych czasach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Witamy w Nowym Roku.
Pełnym podróży.
Pełnym prezentów.
Pełnym radości.**

Od zawsze Wasz program VITAY.



Najbliżej



Ekspertki biją na alarm: proponowane przez Unię Europejską uregulowania mają na celu preferowanie paliwa gazowego w energetyce, zahamowanie polskiego górnictwa i ograniczenie wytwarzania energii w elektrowniach konwencjonalnych. Zagrożeniem jest uzależnienie polskiej gospodarki od dostawców paliwa energetycznego (gazu), a także strumień „taniej wschodniej energii”.

NIEZALEŻNOŚĆ Z PRĄDEM

Bezpieczeństwo energetyczne już na początku tworzenia polskiej energetyki było priorytetem. Prawie sto lat temu, po odzyskaniu niepodległości, istotne było dążenie do zapewnienia niezależności i innowacyjności gospodarki opartej na energii. Warto wspomnieć, że aktywność gospodarcza w dziedzinie elektryfikacji kraju zaczęła się od powołania spółki akcyjnej Siła i Światło (w 1918 r.). Już wówczas pionierzy energetyki mieli na względzie niezależność energetyczną. Chodziło o przejmowanie i wykup firm energetycznych kontrolowanych przez kapitał zagraniczny. A jak jest teraz, po odzyskaniu suwerenności?

– Obecnie Grupa Energa, jako silna, nowoczesna organizacja biznesowa, oparta na polskim kapitale, ma także na względzie te istotne priorytety: bezpieczeństwo energetyczne kraju, innowacyjność, wdrażanie najnowocześniejszych rozwiązań technologicznych – mówił Dariusz Kaśków, prezes Energa SA, prezentując Strategię Rozwoju Grupy Energa na lata 2016–2025. – Naszym zadaniem jest niezawodne dostarczanie energii elektrycznej milionom klientów – indywidualnych i biznesowych. Jednak chcemy także, realizując rentowną inwestycję w Ostrołęce, czyli budując nowy blok węglowy, dołożyć kolejne moce do Krajowego Systemu Elektroenergetycznego. Obecnie wytwarzamy już energię w kilkudziesięciu elektrowniach wodnych, kilku farmach wiatrowych i fotowoltaicznych, zmodernizowanej elektrowni konwencjonalnej.

Do najbardziej perspektywicznych z wdrażanych przez Energa kierunków rozwoju energetyki należą: projekty sieci inteligentnych (do 2025 r. wszyscy odbiorcy mają korzystać ze zdalnie odczytywanych liczników), mobilność elektryczna czy nowe technologie z zakresu niezawodnej sieci dystrybucji energii i źródeł wytwórczych. Energa jest liderem w zarządzaniu popytem na energię elektryczną (DSR).



Napięcia energetyczne – z brukselskim progiem zaporowym

Gra toczy się o wielką stawkę. Chodzi o bezpieczeństwo energetyczne kraju. Unia Europejska chce postawić polskiej energetyce warunki progowe – wysokie limity spalania CO₂, w efekcie – ograniczenia na rynku mocy i paraliż w nowych inwestycjach energetycznych bazujących na węglu. W tej grze jest Energa – jeden z głównych dostawców energii elektrycznej w Polsce

Priorytetem natomiast jest modernizacja linii przesyłowych z jej pełną informatyzacją.

– W strategii Energi do 2025 r. znalazła się także budowa elektrowni wodnej na drugim stopniu na Wiśle, która wpisuje się w ideę zwiększania mocy wytwórczych, znajdujących się w polskich rękach – mówi wiceprezes ds. strategii rozwoju Energa SA Przemysław Piesiewicz. – Obecnie w naszej strukturze wytwarzania energii OZE stanowi około 40%, co daje nam pozycję lidera, którą chcemy utrzymać – dodaje.

To wszystko brzmi optymistycznie. Jednakże są sprawy zasadnicze, dotyczące

zapewnienia niezawodności i ciągłości dostaw energii. Chodzi o cel strategiczny. Czy są warunki do zagwarantowania bezpieczeństwa energetycznego kraju?

POD POLITYCZNYM NAPIĘCIEM

Energa może być narzędziem szantażu politycznego. Czego można się obawiać? Ekspertki ostrzegają, że jeszcze w tej dekadzie mogą na rynek polski być skierowane duże wolumeny energii z Białorusi i Rosji. Zagrożenie energetyczne ze Wschodu nie jest jedynie straszakiem. Rosjanie mają w zanadrzu plany budowy elektrowni węglowych i gazowych (m.in. w rejonie



FOT. MATERIAŁ PRASOWY ENERGA SA

Kaliningradu). Mówi się, że nowe moce (ponad 1000 MW) będą chcieli wyeksportować do państw bałtyckich i do Polski (poprzez LitPol Link). W Polsce już działa spółka córka Inter Rao – IRL Polska zajmująca się dystrybucją energii, postrzegana jako zagrożenie dla niezależności polskiej energetyki. Nic dziwnego w tym, że strona polska ostrożnie podchodzi do pomysłu rozbudowy mostu energetycznego z Litwą, którym także Rosjanie mogliby dostarczać swoją „tanią, polityczną energię”.

Nie jest tajemnicą, że na odmrożeniu czeka w obwodzie kaliningradzkim także projekt budowy elektrowni atomowej (z zamiarem eksportu energii do Polski, Niemiec i krajów bałtyckich). Kilka lat temu Rosjanie już próbowali utworzyć most energetyczny z Polską – z tanim prądem. Czy to nie byłoby kolejne, po gazie, narzędzie w grze politycznej?

Nie może więc dziwić, że rząd wspiera działania mające na celu maksymalne uniezależnienie się w dziedzinie energetyki. Powrót do projektu budowy elektrowni w Ostrołęce jest z tego punktu czytelny.

ENERGA GOTOWA NA OBRONĘ PRZED BLACKOUTEM

Zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego – zarówno w zakresie jakości dostaw, jak i źródeł energii – to kluczowe zadanie stojące przed sektorem energetycznym. To powinno być jednym z priorytetów nie tylko rządzących, lecz także wytwórców energii.

W wariantcie pesymistycznym w Polsce trzeba będzie wyłączyć wyeksploatowane bloki o mocy blisko 6 GW, a w latach 2021–

2035 – ponad połowę obecnie zainstalowanych mocy. To może grozić blackoutem.

– Aby uniknąć tego ryzyka, powinniśmy przede wszystkim zapewniać energię z własnych, pewnych źródeł, a dopiero potem połączeniami transgranicznymi – uważa prezes Dariusz Kaśków. – Dopóki nie ma magazynów energii, dopóty także odnawialne źródła energii nie są tak stabilne w całej sieci energetycznej jak bloki wykorzystujące paliwa konwencjonalne. Przez długie lata podstawą wytwarzania energii w Polsce będzie węgiel – dodaje.

Dla powodzenia planów konieczne jest wyprowadzenie na północy Polski mocy z nowego bloku w Ostrołęce. Zaledwie kilka dni temu ogłoszono przetarg na generalnego wykonawcę tej inwestycji, której zakończenie planowane jest na 2023 r. – Elektrownia Ostrołęka C znalazła się w naszej strategii na lata 2016–2025. 8 grudnia Energa podpisała umowę inwestycyjną z Eneą (firmą z doświadczeniem w budowie nowoczesnej elektrowni węglowej Kozienice) na wspólne przygotowanie, budowę i eksploatację nowego bloku energetycznego opalanego węglem kamiennym o mocy ok. 1000 MW. Konsekwentnie realizujemy więc plan ustalony już wiosną 2016 r. – mówi wiceprezes Przemysław Piesiewicz.

W celu optymalizacji kosztów eksploatacyjnych nowego bloku Energa podpisała 22 grudnia umowę z Polską Grupą Górniczą zapewniającą długoterminową, stabilną dostawę węgla do elektrowni (2 mln ton rocznie).

Natomiast koszty paliwa będą powiązane z poziomem rentowności elektrowni.

– Z dużą nadzieją oczekujemy na ustawę o rynku mocy, która będzie realnym wsparciem dla rentowności naszej inwestycji – mówi prezes Kaśków.

Jednakże w tym przedsięwzięciu wiele zależy od sprzyjających warunków w otoczeniu – w polityce, nie tylko gospodarczej..

„Pakiem zimowym” w polski węgiel

Jednym z narzędzi wsparcia nowych inwestycji energetycznych, w tym Elektrowni Ostrołęka, ma być wprowadzenie w Polsce mechanizmów ekonomicznych tzw. rynku mocy. Jednakże Komisja Europejska nie sprzyja tym planom. Planuje wprowadzić wymóg emisyjności dla jednostek uczestniczących w rynku mocy na poziomie 550 kg/MWh. Przy obecnie możliwych do zastosowania technologiach wytwarzania energii z węgla, ten rygorystyczny pułap może ograniczyć plany rozwoju energetyki opartej na węglu. Jednak jeśli w ogóle, to takie regulacje mają szansę na realizację nie wcześniej niż od 2018 r. Polski Komitet Energii Elektrycznej uznał, że minimalna emisyjność bloków węglowych wynosi 750 kg/MWh więc proponowany przez Komisję pułap eliminuje możliwość ich wsparcia. Natomiast minister energetyki Krzysztof Tchórzewski twardo oświadczył, że hasło „550 g CO₂ na kilowatogodzinę” wprowadza granicę, która faworyzuje gaz, eliminując w tworzeniu rynku mocy węgiel. Zapewnił, że „rynek mocy zostanie w Polsce stworzony i bezpieczeństwo energetyczne będzie zapewnione”. Tego rodzaju forma wsparcia dla elektrowni konwencjonalnych ma bowiem wzmocnić bezpieczeństwo energetyczne państwa oraz ma być bodźcem dla inwestorów.

Jest determinacja w Polsce w tworzeniu warunków dla rozwoju energetyki wykorzystującym węgiel. Nieoficjalnie mówi się, że w przepisach o rynku mocy może być także wprowadzony dla elektrowni konwencjonalnych mechanizm „rezerwy mocy”.

Jak zrobić raj dla biznesu



Cezary Kaźmierczak

Nie mamy szans w wyścigu o fabryki, ale możemy się ścigać o prawo, które przyciągnie do Polski ludzi przedsiębiorczych. Czasu na taki krok jest niewiele

Przez lata obowiązywał w Polsce pogląd, że skoro znajdujemy się już w wielkiej europejskiej rodzinie, to konkurencja między narodami ustała, kapitał nie ma narodowości, a egoizmy narodowe pozostały na boiskach piłkarskich itp. W gabinetach tych, którym było to na rękę, budziło to uśmiech politowania, ale byliśmy w tym przekonaniu jak najmocniej wzmacniani. Równocześnie inne kraje często dość brutalnie realizowały swoje interesy ekonomiczne.

Rzeczywistość jest taka, że bogate kraje wojnę zastąpiły rywalizacją ekonomiczną, biedne dalej mają wojny, a dla ludu są rozgrywki sportowe.

Warto zastanowić się nad tym, czym, w czym i jak konkurować z innymi narodami w tych gospodarczych mistrzostwach świata.

PUŁAPKA PRZECIĘTNOŚCI

Strategia konkurencji według Portera mówi, że wybór właściwej strategii konkurencji jest udaną kombinacją następujących czynników: rodzaju posiadanych przez nas i przez konkurentów zasobów, wyboru obszarów, w których możemy być lepsi i poprawnej identyfikacji czynników, które mogą zapewnić istotną przewagę. Kluczowe pytanie nie brzmi: „W czym jesteś dobry?”, tylko:

„W czym możemy wygrać?”. I tylko wtedy tworzenie strategii ma sens.

Dotychczas Polska konkurowała głównie tanią siłą roboczą oraz de facto brakiem polityki ekonomicznej, co doktrynalnie było uzasadniane: „Brak polityki ekonomicznej jest najlepszą polityką ekonomiczną”. Powtarzam – po cichu, żeby się nie wydało, śmieli się z nas. I wpadliśmy w pułapkę przeciętności. Mateusz Morawiecki nazywa to „pułapką średniego dochodu”, ale to finansista i wszystko kojarzy mu się z pieniędzmi, a sprawa jest znacznie szersza. My wszystko mamy przeciętne. Mamy przeciętne prawo gospodarcze (z wyjątkiem podatkowego i inwestycyjnego, które są absolutnie beznadziejne). Lepsze niż w Rosji i Uzbekistanie, ale gorsze niż w większości krajów Europy. Mamy przeciętne dochody – wyższe niż w Mołdawii, ale znacznie niższe niż w zachodniej Europie. Mamy przeciętne instytucje i system polityczny – lepsze niż w Tadżykistanie oraz Bułgarii, ale znacznie gorsze niż w Niemczech i Anglii. Wszystko mamy przeciętne, niestety.

Czy będąc przeciętnym, mamy szansę na sukces? Przyjmijmy, że sukcesem jest dogonienie Niemiec w PKB per capita (teraz mamy 55 proc. niemieckiego). Otóż nie mamy z całą pewnością i nie będziemy mieli, jeśli trafnie nie określimy

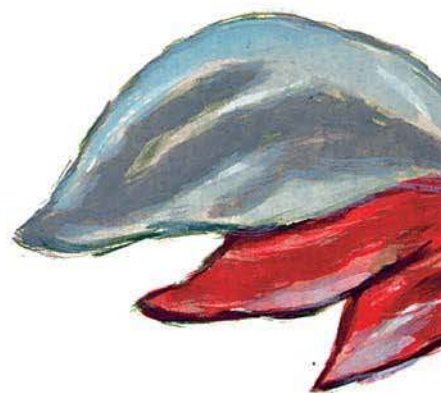
kluczowych obszarów konkurencji i konfrontacji ani nie podejmiemy działań adekwatnych do wyzwania wyrwania się z przeciętności. Jeśli nie określimy krótkiej listy priorytetów i nie będziemy umieli ich zaplanować ani wdrożyć. Nie określimy, w czym i czym możemy wygrać. Przeciętności nie pokonamy likwidacją REGON (choć to pozytywne). Trzeba wielkiego wyzwania narodowego, wielkiego zuchwałego celu, narodowej zgody i współpracy.

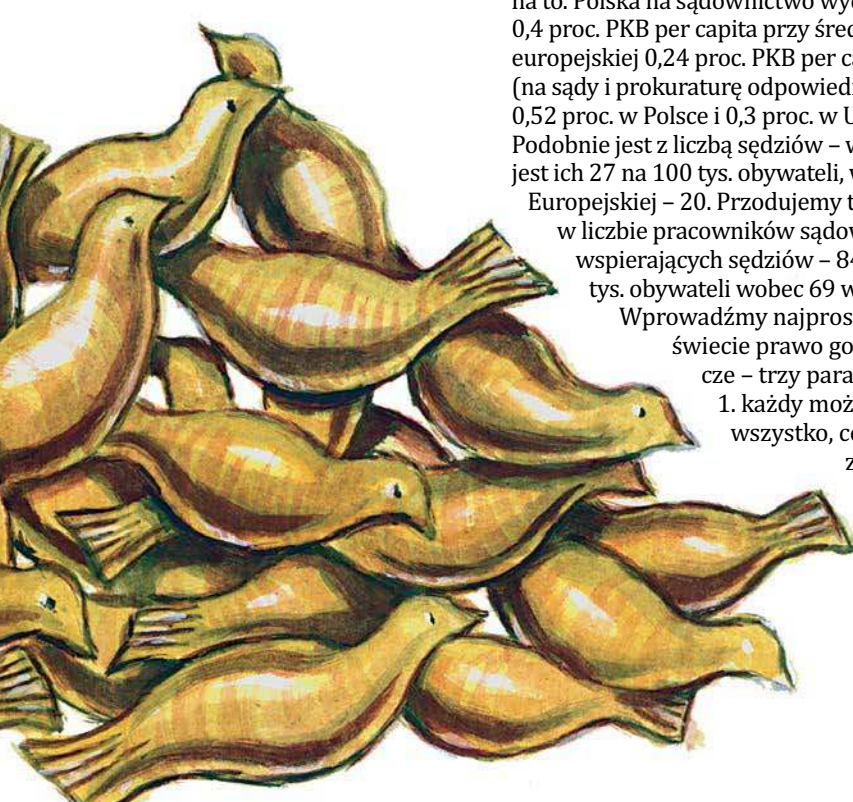
Oto moim zdaniem trzy kluczowe zadania:

KONKURENCJA PRAWNO-INSTYTUCJONALNA

Nie możemy konkurować kapitałem, bo go nie mamy – gdy inni akumulowali kapitał, my zarabialiśmy 15 dol. miesięcznie w PRL. Nie możemy systemowo konkurować wynalazkami ani technologiami, bo pierwsza polska uczelnia znajduje się w okolicach 500. miejsca na liście szanghajskiej. W biznesowym know-how mamy 50-letnią przerwę w ciągłości w stosunku do Zachodu.

Konkurujemy więc prawem





i instytucjami. Do tego trzeba jedynie woli i mózgu. Tym bardziej że świat ewidentnie zwariował. Reguluje się wszystko. Rocznie w każdym kraju tworzy się dziesiątki tysięcy stron nowych aktów prawnych. Nikt już się w tym do końca nie orientuje. I w innych krajach nie jest lepiej.

Wydajmy Europie Zachodniej ekonomiczną wojnę na tym polu. Rozpalimy pod pałacem Stalina w Warszawie wielkie ognisko i spalimy w nim większość polskich ustaw. Ustawy zastąpimy sądami – szybkim rozstrzyganiem sporów. Udręką polskich obywateli (ale i europejskich) jest przewlekłość postępowań sądowych. Średnio na świecie trzeba na to 609 dni. U nas aż 830. Nikt przy zdrowych zmysłach nie liczy na to, że jakkolwiek spór da się w Polsce rozwiązać w sądzie. Dlatego pisze się tyle tak szczegółowych ustaw, a umowa na budowę altanki ogrodowej liczy 30 stron. Po wprowadzeniu procedur szybkiego rozstrzygania sporów ustawa zamiast 30 stron będzie mogła liczyć dwie.

Zajmijmy się naprawą sądów. Stać nas na to. Polska na sądownictwo wydaje aż 0,4 proc. PKB per capita przy średniej europejskiej 0,24 proc. PKB per capita (na sądy i prokuraturę odpowiednio 0,52 proc. w Polsce i 0,3 proc. w UE). Podobnie jest z liczbą sędziów – w Polsce jest ich 27 na 100 tys. obywateli, w Unii Europejskiej – 20. Przodujemy też w liczbie pracowników sądowych wspierających sędziów – 84 na 100 tys. obywateli wobec 69 w UE.

Wprowadźmy najprostsze na świecie prawo gospodarcze – trzy paragrafy:

1. każdy może robić wszystko, co nie jest zakazane;

2. produkt musi być podpisany;
3. nie wolno oszukiwać. Wprowadźmy najprostszy na świecie system podatkowy – wzorem niech będzie podatek rolny czy podatek Belki, a nie brednie prawników i doradców podatkowych, którzy na polskim systemie podatkowym urządzili sobie intratne żerowisko i z wielkim sukcesem dalej go komplikują, żeby jeszcze więcej zarabiać.

Osiągniemy dwa zasadnicze cele. Pierwszy to wybuch przedsiębiorczości w skali podobnej do rewolucji Wilczka i wieloletni wzrost gospodarczy w granicach 7 proc., drugi – złączą do nas uciekać przedsiębiorcy Niemcy, Anglicy i Francuzi mający dość biurokracji oraz przybyszów z Afryki Północnej, których muszą utrzymywać. Przywiozą swoje majątki i otworzą firmy. Powinniśmy postawić sobie zuchwały cel – ściągnięcia do Polski w przeciągu pięciu lat co najmniej 1 mln firm z sektora MSP z Europy Zachodniej.

Zaczniemy realnie gonić Niemcy.

KONKURENCJA DEMOGRAFICZNA

Zajmujemy 216. miejsce na świecie pod względem dzietności z wynikiem 1,3 dziecka na jedną kobietę, w 2050 r. będzie 30 mln Polaków. Na szczęście zaczynamy coś z tym robić. Mamy jednak niewłaściwe strategie, wszystkie mówią bowiem o „powstrzymaniu”. Nikt w biznesie na taką strategię by nie postawił, chyba że chodzi o produkt schyłkowy i chcemy jeszcze wycisnąć, ile się da.

Spójrzmy na to jak na szansę i postawmy sobie zuchwały cel: w 2050 r. – 50 mln obywateli polskich i rezydentów oczekujących na obywatelstwo. Jeśli temu celowi podporządkujemy jedną trzecią zasobów, to mamy realną szansę go osiągnąć.

Po pierwsze, ważna jest maksymalnie agresywna polityka prorodzinna, której celem jest standardowy model rodziny 2+2. Ostre promowanie finansowe drugiego dziecka i bardzo agresywne trzeciego. Dyskryminacja podatkowa osób bezdzietnych – obciążenie ich dodatkowymi podatkami. Do tego cały wielki system ubezpieczeń dla matek, żeby zyskały poczucie bezpieczeństwa w każdej sytuacji. Cała infrastruktura usługowa państwa musi zostać przestawiona na potrzeby matek (żłobki, przedszkola, szkoły, przychodnie zdrowia).

Będzie to zarazem kolejna zachęta do emigracji do Polski przedsiębiorczych ludzi Europy Zachodniej (w tym Polaków, którzy wyjechali), którzy przyjadą do

nas, bo mamy najlepsze na świecie prawo gospodarcze i podatkowe oraz nie mamy przybyszów z Afryki Północnej. Po rewolucji prawnej i sądowej (bo muszą odbyć się równocześnie, inaczej nic z tego nie będzie) powinniśmy zacząć prowadzić agresywne działania propagandowe i informacyjne w tym zakresie. Z tego strumienia powinniśmy pozyskać do 2050 r. co najmniej 5 mln ludzi (w tym ok. 1–1,5 mln Polaków, którzy wrócą).

Następny strumień – już mocno sprawdzony i bardzo pewny – który powinien zapewnić nam kolejne 5 mln ludzi, to zachęcenie do zamieszkania w Polsce do 2050 r. Białorusinów, Wietnamczyków i Ukraińców. Nacje owe są dobrze sprawdzone w kraju: bardzo ciężko pracują i nie chodzą na zasiłki. Trzeba przyjąć politykę ich osiedlania z żelazną zasadą: żadnej pomocy i ulg. Chcemy samodzielnych i zaradnych. Ich dzieci będą już Polakami ukraińskiego czy wietnamskiego pochodzenia. W pierwszym pokoleniu nie powinniśmy im dawać obywatelstwa, żeby nam nie czmychnęli do Niemiec i Francji.

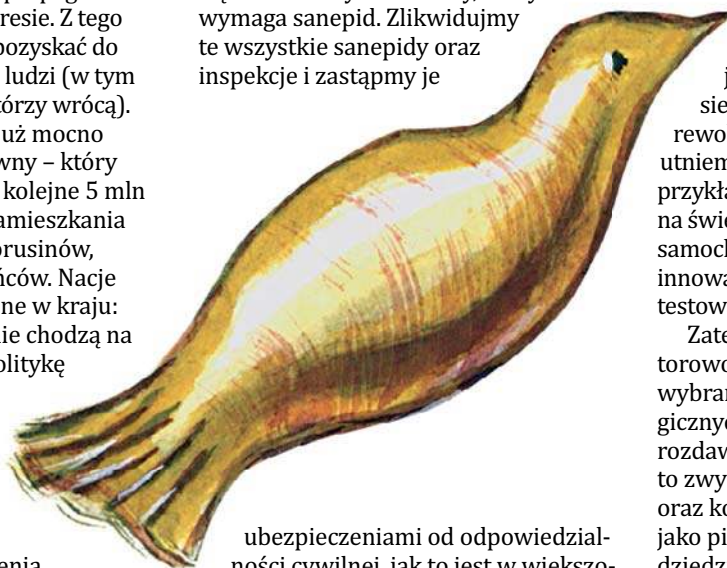
W XXI w. będzie odwrotnie niż w XIX – to kapitał będzie szedł za pracę. Mamy szansę tę batalię wygrać, jeśli wystawimy 30-milionową armię ludzi gotowych do pracy. Przyjdzie do nas mnóstwo firm. Cel to milion MSP.

POLITYKA EKONOMICZNA

Nawet jeśli Plan na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju słabo się uda, Morawieckiemu należy się pochwała za zwrócenie wszystkim uwagi na to, że musimy prowadzić politykę ekonomiczną, oraz za przekonanie znacznej części Polaków, że „dość frajerstwa!” i robienia nas w konia. Po nim już zawsze Polska będzie musiała mieć jakąś politykę i mam nadzieję, że kolejny idiota, który powie polskiemu przedsiębiorcy, iż „ma konkurować, bo ma równe szanse”, zostanie zmieciony ze sceny politycznej przez wyborców.

Byłem ostatnio w Japonii. Nie najlepiej znałem gospodarkę tego kraju. Wiedziałem, że twórcą powojennego modelu był Amerykanin Edward Deming, wiedziałem o systemie ugrupowań przemysłowych (keiretsu) i ogólnie myślałem, że to kraj wielkich korporacji. Bardzo się zdziwiłem w Tokio czy Kioto, gdy zobaczyłem, że 80 proc. ulic

to maleńkie biznesiki – małe rzemiosło, małe sklepiki, małe usługi. Wielokrotnie jadałem w restauracjach, w których oprócz kucharza-właściciela mieściły się tylko trzy-cztery krzesła. W takich restauracjach w Polsce nie zmieściłyby się nawet wszystkie zlewy, których wymaga sanepid. Zlikwidujemy te wszystkie sanepidy oraz inspekcje i zastąpmy je



ubezpieczeniami od odpowiedzialności cywilnej, jak to jest w większości rozwiniętych krajów.

Rząd japoński, przy gigantycznym wsparciu dla wielkich ugrupowań przemysłowych (ale zawsze w warunkach konkurencji między keiretsu i wewnątrz nich), dał jednocześnie dużo wolności mrowisku gospodarczemu, które w Japonii się rozwija. Niech rozwija się też w Polsce.

Powtórzmy ten manewr: sektorowi MSP dajmy wolność i swobodę ograniczaną jedynie przez urzędy skarbowe i 36 mln obywateli, którzy skontrolują je, robiąc zakupy i – jeśli będzie trzeba – przez sprawnie i szybko działające sądy. Będzie to dużo skuteczniejsze we wszystkich wymiarach niż działania „Powiatowego Rzecznika Konsumenta”.

Dla dużych przedsiębiorców stwórzmy (w warunkach konkurencji) politykę wsparcia lub politykę ekonomiczną państwa. Trzeba zdecydować, w których dziedzinach chcemy uczestniczyć, pamiętając, że dla małego – a jesteśmy mali – im większa koncentracja, tym większa szansa na sukces.

Kiedy Izraelczycy zaczynali budować swoje państwo, skoncentrowali się na hydrologii i rolnictwie, przemyśle optycznym i obronnym, we wszystkich tych dziedzinach odnosząc gigantyczny sukces. Kilogram nasion pomidorów, które rosną na pustyni, kosztuje dzisiaj kilkanaście tysięcy dolarów.

My też powinniśmy wybrać kilka sektorów, w których chcemy być obecni. Zgadzam się z Morawieckim, że powinny to być nowe przemysły, typu samochody eklektyczne. Mamy tu dużo większe szanse na sukces, niż np. konkurując z Niemcami w silnikach Diesla, które oni robią od dziesiątków lat. Niezależnie jednak od tego, jakie sektory wybierzemy, ponieważ musimy klęskę, jeśli nie dokonamy rewolucji prawno-legislacyjnej ani nie utniemy łba biurokracji. Gdybyśmy byli przykładowo w stanie napisać pierwszą na świecie ustawę dopuszczającą ruch samochodów autonomicznych, wszyscy innowatorzy świata zbiegliby do nas, żeby testować tutaj swoje pomysły i wizje.

Zatem działania powinny iść dwutorowo – z jednej strony wspieranie wybranych, zdefiniowanych strategicznych nowych sektorów (kilku, bo rozdawanie grantów wszystkim wokół to zwyczajne marnowanie pieniędzy) oraz konkurencja prawna – tworzenie jako pierwsi na świecie ustaw w nowych dziedzinach, żeby to Polska prowadziła drenaż mózgów z całego świata. Nie my będziemy dzwonić do Elona Muska, tylko on do nas.

Zamieściłem tutaj wiele niezwykle bezczelnych wezwań, ale ciarki mnie wzięły dopiero teraz, kiedy wyobraziłem sobie, jak polscy posłowie zaczynają z taksówkarzami pisać ustawę o samochodach autonomicznych... Jestem w zasadzie pewien, że po ustawie o „najwyższych standardach ochrony pasażerów i pieszych, ekologii, miłości dla dobra ludzkości” samochody autonomiczne w Polsce wyjechałyby jako jedne z ostatnich w Europie. A taksówkarzy i tak to nie uratuje, tak jak protesty i strajki nie uratowały muzyków kinowych po wejściu kina dźwiękowego.

Czasu mamy niewiele. Jeśli nie my, to jakaś Rumunia czy Chorwacja rozpocznie niebawem konkurencję prawno-legislacyjną i to ona zje wszystkie konfitury. A my wtedy będziemy musieli poszukać sobie innych obszarów konkurencji lub pozostać trwale biedni i przeciętni.

Niniejszą analizę napisałem, korzystając z narzędzi standardowo używanych w biznesie: „Strategii konkurencji” Michaeła E. Portera i „Piętej dyscypliny” (analiza systemowej) Petera M. Senge’a.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

Plus radio

Przeboje z nutą nostalgii

*Bydgoszcz – 102,6 • Głogów – 107,3 • Gniezno – 89,5 • Gorzów Wlkp. – 100,7
Gryfice – 90,7 • Kołobrzeg – 93,3 • Koszalin – 102,6 • Kraków – 106,1
Legnica – 92,7 • Lipiany – 104,3 • Łódź – 100,4 • Olsztyn – 88,1 • Piła – 90,3
Rabka Zdrój – 102,7 • Radom – 90,7 • Słupsk – 99,5 • Szczecin – 88,9
Szczecinek – 99,8 • Trójmiasto – 101,7 • Warszawa – 96,5
Zakopane – 107,9 • Zielona Góra – 91,7*



8 grudnia 2016 r. Komisja Europejska zaakceptowała kolejny „Program Współpracy Transgranicznej Polska-Rosja 2014–2020”.

Od 2004 r. jest to już trzeci unijny program współpracy pomiędzy partnerami z obszarów przygranicznych Polski i Rosji (a konkretnie obwodu kaliningradzkiego). Pomimo niesprzyjających okoliczności wynikających z polityki globalnej współpraca pomiędzy krajami UE a Rosją, Białorusią i Ukrainą w wymiarze lokalnym układa się pomyślnie od wielu lat i ciągle się rozwija.

– Zewnętrzna granica Unii Europejskiej nie musi stanowić bariery dla rozwoju społeczno-gospodarczego regionów przygranicznych. Lokalne władze i organizacje nie tylko z obwodu kaliningradzkiego, lecz także z Białorusi i Ukrainy są bardzo zainteresowane, aby granica ta stanowiła strefę współpracy – mówi dr Leszek Buller, dyrektor Centrum Projektów Europejskich. Centrum Projektów Europejskich specjalizuje się w rozwoju współpracy transgranicznej z regionami z krajów Unii, a także z jej sąsiadami. Zdaniem Leszka Bullera programy takie jak „Południowy Bałtyk”, „Polska-Słowacja” czy „Polska-Saksonia” mogą być cennym źródłem inspiracji dla programów „Polska-Rosja” czy „Polska-Białoruś-Ukraina”. – Będziemy dbać o transfer wiedzy pomiędzy beneficjentami i wymianę dobrych praktyk – przekonuje szef Centrum Projektów Europejskich.

Zaakceptowany przez Komisję Europejską na początku grudnia 2016 r. dokument programowy będący podwaliną

Współpraca transgraniczna

nowego programu współpracy pomiędzy Polską a Rosją jest jednym z wielu programów transgranicznych. Stanowi on kontynuację działań rozpoczętych już w 2004 r. Wtedy właśnie powołany został Europejski Instrument Sąsiedztwa i Partnerstwa (EISP) i powstał pierwszy z programów pomiędzy tymi krajami: INTERREG IIIA/Neighbourhood Programme 2004–2006.

Zadaniem nowo powołanego programu jest przede wszystkim wspieranie ekonomicznego, społecznego i środowiskowego rozwoju na terenach przygranicznych krajów Unii Europejskiej (w tym przypadku Polski i Rosji). Chodzi tu o stworzenie odpowiednich warunków współpracy w ramach projektów realizowanych wspólnie przez partnerów z krajów sąsiedzkich – Polski i Rosji – jak również o rozwiązywanie problemów lokalnych mieszkańców.

Realizowany w poprzedniej perspektywie z lat 2007–2013 program Litwa-Polska-Rosja jest najlepszym dowodem skuteczności takich działań. W ciągu sześciu lat na terenie Polski, rosyjskiego obwodu kaliningradzkiego i Litwy zrealizowanych zostało łącznie 60 projektów. Budżet tego programu wyniósł aż 145,8 mln euro, z czego wkład Unii Europejskiej to 124,2 mln euro, a 21,6 mln euro pochodziło ze środków Federacji Rosyjskiej. Wsparcie

programu sięgało często nawet 90 proc. wszystkich wydatków projektu.

60 PROJEKTÓW WSPÓLNYCH INTERESÓW

W latach 2007–2013 na pograniczu polsko-rosyjsko-litewskim realizowane były projekty w sferze kultury, edukacji, ochrony zdrowia, turystyki czy ochrony środowiska, ale przede wszystkim infrastruktury. Większość z nich miała charakter dwu- lub trójstronny. W ramach programu zrealizowano siedem tzw. Dużych Projektów Strategicznych o szczególnym znaczeniu dla każdego z krajów oraz 53 projekty regularne, które wybrane zostały do realizacji w otwartym konkursie. Jednym z najważniejszych projektów strategicznych po stronie Polski była gruntowna modernizacja drogi krajowej nr 65 na odcinku Gołdap – Kowale Oleckie (woj. warmińsko-mazurskie). Zmodernizowany odcinek poprawi połączenie drogowe z obwodem kaliningradzkim, a wraz z istniejącą obwodnicą Gołdapi utworzy ponad 20-kilometrowy odcinek drogi. Budżet projektu wyniósł 11,5 mln euro.

– Jesteśmy dumni ze znaczącej poprawy bezpieczeństwa ruchu zarówno pieszych, jak i kierowców na przebudowanym odcinku drogi – przekonuje Wojciech Kałudziński, specjalista ds. planowania GDDKiA o/Olsztyn.

Innym strategicznym projektem zrealizowanym na terenie Polski jest „Ochrona



przy unijnym wsparciu

wód przybrzeżnych Bałtyku”, którego budżet wyniósł 8,1 mln euro, a faktyczne wydatki gminy na ten cel były jeszcze większe. Dzięki realizacji tego projektu wody kąpielisk wzdłuż plaż w Sopocie na Wybrzeżu Gdańskim stały się jeszcze czystsze. Partner rosyjski w ramach projektu wykonał wiele prac przygotowawczych do podobnych działań na terenie nadmorskiego Mamonowa. Inwestycje te są niezwykle istotne dla zapewnienia lepszej jakości wód opadowych odprowadzanych do Morza Bałtyckiego. Jednak miały też znaczenie społeczne. – Współpraca z naszymi partnerami jest godna polecenia. Najlepiej określa ją powiedzenie: „Połączenie sił to początek, pozostanie razem to postęp, współpraca to sukces” – mówi Małgorzata Baranowska, specjalista ds. promocji z Urzędu Miasta Sopotu.

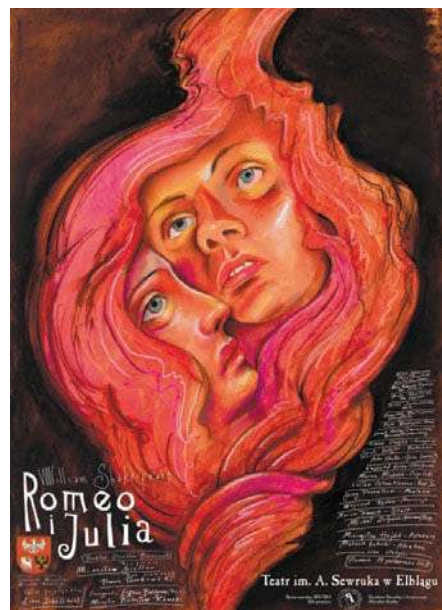
Najważniejszym projektem strategicznym zrealizowanym głównie po stronie rosyjskiej, w Mamonowie w obwodzie kaliningradzkim, był system oczyszczania ścieków wód Morza Bałtyckiego wart blisko 6 mln euro. Dzięki niemu zbudowano od podstaw jedną z pierwszych oczyszczalni w tym regionie. W efekcie jej uruchomienia wyeliminowano niebezpieczeństwo odprowadzania ścieków bezpośrednio do okolicznej rzeki Mamonowki, a w konsekwencji do zanieczyszczania wód Zalewu Wiślanego/Kaliningradzkiego.

Z projektu „Wysoka jakość chirurgii ponad granicami” polegającego na utworzeniu

przy szpitalach uniwersyteckich w Olsztynie i Kaliningradzie dwóch centrów szkoleniowych skorzystali przyszli lekarze chirurdzy z Polski i z Rosji, które otworzyły przed nimi unikatową szansę zapoznania się z nowoczesnymi technikami stosowanymi obecnie w medycynie. To tutaj wykorzystując unikalną aparaturę symulacyjną (np. laparoskopową) i fantomy, mogą oni uczyć się podstaw zabiegów wewnątrzczyniowych m.in. na tętnicach, mózgu czy na kręgosłupie. W czasie zajęć symulowany jest obraz wykonywanych badań, a studenci mają możliwość ćwiczenia praktycznych umiejętności operacyjnych. – Bez wsparcia finansowego Unii Europejskiej Regionalny Szpital w Kaliningradzie nigdy nie pozwoliłby sobie zainwestować na tak dużą skalę w działania szkoleniowe – przyznaje Marianna Belonogova, menedżer projektu.

MIESZKAŃCY SKORZYSTAJĄ Z NOWYCH INWESTYCJI

Z pieniędzy unijnych skorzystały nie tylko całe regiony, lecz także lokalni mieszkańcy. To dla nich bowiem partnerzy z Litwy, Polski i Rosji zrealizowali wspólnie 53 mniejsze projekty o wartości poniżej 4 mln euro. I tak np. w litewskim mieście Mariampol we współpracy ze specjalistami z rosyjskiego Czerniachowska powstała nowoczesnie wyposażona biblioteka dla rodziny, która oprócz wartości czytelniczych integruje lokalne społeczności z tych miast.



Z kolei w polskim Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Węgorzewie oddano do użytku nową salę gimnastyczną i plac zabaw, z których korzystają także najmłodsi z Ozierska w obwodzie kaliningradzkim. – Dzięki wsparciu zrealizowaliśmy projekt, który umożliwił SOSW współpracę z innymi ośrodkami tego typu, w tym z ośrodkiem z Uszakowa. Najważniejszym rezultatem projektu są nawiązane między dziećmi obu krajów przyjaźnie i chęć kontynuacji tych działań – ocenia Lidia Czerniewicz, koordynator projektu.

Przykładem projektu kulturowego był „Dialog multikulturowy – multikulturowe teatry”. W jego ramach podjęto się ambitnego zadania, jakim było wystawienie międzynarodowego spektaklu teatralnego „Romeo i Julia”. – Kiedy „litewski” Romeo wyznaje w ojczystym języku miłość „polskiej” Julii, ślubu udziela im zakonnik w języku rosyjskim, a publiczność klaszcze, to niewiele bardziej pamiętnych chwil pamiętam w życiu – wyjawia Marta Eisler-Wrzeszcz, koordynator projektu.

RELACJE DALEJ PROCENTUJĄ

Nawiązane przez lata relacje partnerskie to coś znacznie więcej niż tylko realizacja inwestycji. – W ramach nowego programu „Polska-Rosja 2014–2020” współpraca ta będzie kontynuowana, a nawet rozszerzana. W trakcie spotkań dla przyszłych beneficjentów już teraz powstają kolejne kontakty „ponad granicami” – podsumowuje Małgorzata Woźniak, kierownik Wspólnego Sekretariatu Technicznego. **Dariusz Styczek**

Materiał powstał we współpracy z Centrum Projektów Europejskich przy wsparciu finansowym Unii Europejskiej



Marek Jan Chodakiewicz
z Waszyngtonu

Jak prezydent elekt spełni obietnice, które się wzajemnie wykluczają?

Media amerykańskie pełne są przypuszczeń w sprawie następnych ruchów prezydenta elekta Trumpa. Większość z nich w tonie pogardliwym. Z jednej strony to dobrze, bo z łamów prasy prawie znikły wściekłe ataki na Węgry i utyskiwania na Polskę. Jest nowa obsesja – Trump. Autorom tych tekstów nie podoba się, że elektorat amerykański w demokratyczny sposób wybrał kandydata nieodpowiadającego liberalnym i lewackim elitom. Gejzer rozkipiałej nienawiści – jak w pamiętnej scenie filmu „Egzorcysta” – przeszkadza w przedstawieniu solidnej analizy kierunku rozwoju sytuacji pod batutą nowego prezydenta.

PRAGMATYZM I IDEOLOGIA

Trump jest człowiekiem interesów, a większość biznesmenów jest pragmatyczna – chce dogadać się z każdym, tak aby interesy szły dobrze. Trump tłumaczył przecież, że dawał pieniądze na Clintonów, bo oni byli u władzy, a on chciał dobrze funkcjonować gospodarczo pod ich berłem. Jednocześnie wiedział, jak użyć osób, które opłacał, aby huknęły na ludzi niechających mu ustąpić w biznesie. Taki pragmatyzm – wiedza, komu się przypodobać, kogo przekupić, a kogo kopnąć – będzie towarzyszyć prezydentowi elektowi przez następne cztery lata w polityce.

A co z ideologią? Do niedawna jeszcze Trump był otwartym libertynem. Każdą fajną dziewczynę obiecywał „przygwoździć” i robił, co mógł, aby swe obietnice spełnić. Nie przeszkadzały mu żadne alternatywne style życia, włącznie z „weślokwatymi ślubami” (gay marriage). W czasie wyborów sprawy obyczajowe prawie zupełnie nie funkcjonowały jako pierwszoplanowe. I tak pewnie będzie podczas prezydenckiej kadencji. Jednak duża część elektoratu Trumpa spodziewa się zatrzymania szaleństwa transgenerowych łazienek i innych pomysłów neobolszewickiej inżynierii społecznej. Wątpliwe, że Trump będzie się do tego



wtrącał. Raczej pozostawi takie sprawy w rękach sądów, które są często zdominowane przez liberalnych sędziów. Równocześnie mało prawdopodobne jest, że prezydent elekt zechce aktywnie promować libertynizm, zależy mu bowiem na wyborach w 2020 r.

Nie będziemy mieli jednak do czynienia z cudownym przemianieniem Szawła w Pawła, co najwyżej (i aż tyle) Trump przez osmozę liźnie trochę konserwatyzmu od współpracowników, pewnie głównie w sferze retorycznej. Może też to robić, by odciąć się od poprzednika i uciekać się do konserwatywnej alternatywy politycznej, by odkręcić pewne rozwiązania poprzedniej administracji. Będzie to jednak wybór pragmatyczny, a nie ideowy.

Testem pryncypialnym będzie fatalna polityka Obamacare. Niszczy ona amerykańską służbę zdrowia i system ubezpieczeń, brutalnie podkopując wolność ekonomiczną przez państwową ingerencję w tę istotną gałąź gospodarki. Jeśli nowy prezydent zupełnie ją zniweluje, wówczas będzie to znak supremacji ideologii nad pragmatyką. Wątpliwe, choć niewykluczone.

To samo dotyczy 282 innych obietnic wyborczych, które Trumpowi pod koniec listopada skrupulatnie wyliczył „The Washington Post”. Większość z nich ma małe szanse na realizację. Dotyczy to też sztandarowych obietnic w sprawie zatrzymania imigracji. Do tego trzeba głębokiej wiary, przejrzystej idei i stalowej woli. A czy takim człowiekiem jest obecnie

Prezydent elekt Donald Trump
i wiceprezydent elekt Mike Pence
FOT. SHUTTERSTOCK

Trump

Trump? Może tam kiedyś dojdzie, o ile rzeczywiście chce przejść do historii. No i należy podkreślić, że prezydent jest szefem, ale o wielu rzeczach decydują kadry.

KADRY

Nie chodzi o miliony urzędników w biurokracji federalnej. Oni są permanentnie przypisani do stołków. Chodzi o ponad 65 tys. osób, które w tej chwili złożyły podania o pracę w administracji Donalda Trumpa przez witrynę GreatAgain.gov. Pewnie ok. 9 tys. ją otrzyma. To są tzw. polityczne mianowania.

Część ludzi w takim naborze jest naturalnie „z ulicy” i ma nadzieję załapać się na miejsca usuwanych totumfackich Obamy. Niektórzy z nich myślą, że ich talent czy wola i namolność wystarczą.

Sukces zwykle odnoszą ci, którzy próbują załatwić to z kilku stron naraz. Liczą się naturalnie znajomości, jak to powiadają znawcy w Waszyngtonie: „It does not matter what you know, it matter whom you know”.

Oczywiście nie przesadzajmy z nepotyzmem i protekcją. Pewna część kandydatów ma kompetencje. Gdy się jest cenionym ekspertem, można usłyszeć konkretne pytanie: „Biały Dom, Rada Bezpieczeństwa Narodowego, Biuro Dyrektora Narodowego Wywiadu czy Pentagon? Przyślij CV”. Reszta to formalność związana z wyrabianiem certyfikatu bezpieczeństwa. Pamiętajmy jednak, że praca jest ciężka, a wynagrodzenie – w porównaniu z sektorem prywatnym – niewysokie. Ponadto większość tych

ofert to pozycje polityczne, a więc mianowany z klucza politycznego nie dostaje właściwie ubezpieczenia zdrowotnego ani emerytalnego. Jednym słowem – politycznych ochotników do służby stać na to, aby mogli służyć, bo do tego interesu raczej się dokłada.

Najważniejsi z kandydatów nie musieli wypełniać podań. Prezydent elekt sam wezwał ich do Trump Tower w Nowym Jorku. A potem odesłał do swojej „Drużyny Przechodniej”, wywodzącej się ze sztabu wyborczego Trumpa. To zespół przygotowujący się do przejęcia władzy. Z jednej strony negocjują z członkami usuwającej się administracji Obamy, odbierając z ich rąk toczące się sprawy i ucząc się rozmaitych kwestii dotyczących zapewnienia kontynuacji władzy. Z drugiej selekcionują kadry do czołowych pozycji w nowej administracji. Podobna selekcja odbywa się w każdym z ministerstw.

„Drużyna Przechodnia” to w dużym stopniu szkielet przyszłego gabinetu rządowego. Jej prezesem jest wiceprezydent elekt Mike Pence. Ma on sześciu wiceprezesów, z których część już ma pozycje gabinetowe: gen. Michael Flynn jest szefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, senator Jeff Sessions ma być prokuratorem generalnym USA, dr Ben Carson dostał nominację na szefa mieszkaniówki (HUD). Wśród pozostałych Rudolph Giuliani ubiega się o Sekretariat Stanu, Newt Gingrich nie jest zainteresowany aktywną rolą w administracji, a Chris Christi jest w zawieszeniu w związku z ostrym zderzeniem z Jaredem Kushnerem, szarą eminencją i zięciem Trumpa. Kilka lat temu Christi wpakował do więzienia ojca Kushnera za korupcję.

W tej drużynie ważną rolę odgrywa 16-osobowy komitet egzekutywy. Tutaj zasiadają Kushner i jego żona Ivanka Trump oraz dwóch jej braci: Donald Jr i Erik.

Katolicki populistą Steve Bannon, który był szefem kampanii Trumpa, został mianowany na głównego doradcę strategicznego Białego Domu. Przewodniczący Republikańskiego Komitetu Narodowego Reince Priebus dostał nominację na kluczową pozycję szefa sztabu Trumpa w Białym Domu. To pragmatyczny ruch, bo Priebus reprezentuje frakcję republikańskich mięczaków, którzy zwalczały nie tylko konserwatystów takich jak Ted Cruz, lecz także ze szczególną zaciełością samego Trumpa.

Wybija się też grupa bogaczy: Steven Mnuchin, bankier z Goldman Sachs, który był szefem finansowym kampanii Trumpa, a obecnie został mianowany sekretarzem skarbu; krezus internetowy Peter Thiel; multimiliarder i inwestor Anthony Scaramucci; a szczególnie Rebekah Mercer, która była zaangażowana w kampanię Trumpa, a której ojciec miliarder wyłożył najwięcej na rzecz jego zwycięstwa (i finansuje portal z wiadomościami breitbart.com).

Jest jeszcze więcej miliarderów – m.in. Wilbur Ross wysunięty na sekretarza handlu i wytypowany na jego zastępcę Todd Ricketts oraz nominowana na sekretarz edukacji Betsy DeVos.

W Komitecie egzekutywy jest też kilku kongresmenów, którzy znają się na grze politycznej w Waszyngtonie. Dwóch sprawniejszych, choć prawie nieznanym, to Devin Nunes z Kalifornii i Tom Marino z Pensylwanii, szef kampanii Trumpa w tym stanie. Spoza komitetu prezydent elekt zaprosił byłą sekretarz pracy Elaine Chao do pełnienia funkcji sekretarza transportu. Kongresmen Tom Price będzie szefem Departamentu Zdrowia i Usług dla Ludzi. Uprzednio wielka przeciwniczka Trumpa i gubernatorka stanu Południowa Karolina Nikki Haley została niespodziewanie ambasadorem USA przy ONZ.

W zespole Trumpa jest również kilku profesorów, np. Kiron Skinner z Carnegie Mellon University i Sebastian Gorka z Institute of World Politics.

Jednak chyba najważniejszą częścią zespołu Trumpa są emerytowani wojskowi, a w tym generałowie, m.in. gen. Bert Mizusawa i gen. Keith Kellogg oraz naturalnie wymieniony już gen. Michael Flynn. Wojsko Trumpa uwielbia. Z wzajemnością. Wojskowi zwykle nie są lewakami, a jednocześnie nie ma lepszych kandydatów na sprawowanie funkcji kierowniczych. Wiedzą, jak narzucić dyscyplinę pracy i jej sprawną organizację.

Wśród całego szeregu wojskowych, którzy dołączyli do administracji Trumpa, wyróżnia się szczególnie czterech. Szefem Departamentu Obrony będzie desantowiec gen. James Mattis, który zwykł mawiać do swych oficerów: „Bądźcie uprzejmi, bądźcie mili. I miejcie w zanadrzu plan, jak zabić każdego, kogo napotkacie”. Jego przyjaciel, gen. John Kelley, również oczekuje wysokiej nominacji, najpewniej na szefa Departamentu Bezpieczeństwa Krajo-

wego. Na sekretarza stanu ma ochotę gen. David Petraeus, lecz po kompromitującej prywatnej aferze Trump nie może traktować jego kandydatury poważnie. Małe szanse na to stanowisko ma też adm. James Stavridis, chociaż prezydent elekt jeszcze go nie odrzucił. Zresztą na to kluczowe stanowisko w tej chwili jest kilku kandydatów, a wśród nich: Mitt Romney uważany przez twarde zwolenników Trumpa za wroga i męczaka, równie pogardzany przez nich neokonserwatysta John Bolton, były burmistrz Nowego Jorku Rudolph Giuliani, były ambasador do Chin Jon Huntsman, senator Joe Manchin, senator Bob Corker, uprzednio szef senackiej komisji spraw zagranicznych, oraz szef firmy energetycznej ExxonMobil Rex Tillerson.

Jak widać, czołowe stanowiska w administracji są rozdawane według klucza pragmatyzmu, lojalności i sprawności. Ważną rolę będą odgrywać też dzieci Trumpa – nawet jeśli nie dostaną formalnych posad, stworzą tzw. gabinet kuchenny, co w historii USA zdarzało się dość często.

CO DALEJ?

Donald Trump postulował powrót do wielkości Ameryki przez reformy wewnętrzne oparte na nacjonalizmie, w tym gospodarczym. Obiecywał okiełznać rozbuchane Chiny, a wraz z Rosją rozbić kalifatystycznych terrorystów.

Priorytetem będzie zatrzymanie fali imigracyjnej do Stanów Zjednoczonych.

Można się spodziewać interwencji. Będą zachęty w postaci ulg podatkowych, a także kary dla firm znikających z USA

Państwu ościennym przedstawi się opcję kija i marchewki, by lepiej pilnowały granic i zniechęcały do migracji. Same USA nie zamkną do końca szlabanów, ale spodziewać się można skuteczniejszej egzekucji istniejącego prawa dotyczącego imigrantów. Nastąpią ograniczenia wizowe (najpewniej upadnie polskie marzenie o bezwizowym ruchu). Będzie też kampania obcinania funduszy tzw. miastom sanktuariom, gdzie teraz nielegalni

imigranci mogą całkiem bezkarnie przebywać. Zwiększy się poziom deportacji nielegalnych imigrantów.

Trump będzie musiał też jednak brać pod uwagę lobby przedsiębiorców, wsparte przez ideologów libertarianizmu, którzy popierają nieograniczoną emigrację, aby mieć dostęp do tanich pracowników. Trudno to będzie wszystko pogodzić, skoro praca ma być przede wszystkim dla Amerykanów.

Trudno też będzie ściągnąć miejsca pracy z Chin. Tam przenoszono fabryki stosujące stare technologie – a zamiast ściągać szmelc, lepiej budować coś nowoczesnego. Bojkot Pekinu, a nawet łagodniejsze sankcje gospodarcze mogą doprowadzić do wojny handlowej. A poważny konflikt może mieć dużo większe reperkusje nie tylko dla USA, lecz także całego świata. Chiny są największym posiadaczem długu amerykańskiego, w tym najpotężniejszych zasobów pieniężnych w dolarach. A Ameryka jest największym odbiorcą chińskich towarów. Obie strony się szachują.

Trump obiecał skończyć ten pat. Stąd można się spodziewać interwencjonizmu państwowego. Będą więc zachęty w postaci ulg podatkowych dla firm, by nie uciekały za granicę, ale i kary podatkowe oraz pozbawianie kontraktów rządowych tych, którzy znikają z USA.

ROSJA I TERRORYŚCI

Pomysł na sojusz taktyczny z Rosją, który opracował gen. Michael Flynn, jest dość prosty. Rosja zabija terrorystów islamistycznych, więc należy jej w tym pomóc. Moskwa robi to bowiem skuteczniej i taniej (nie liczy się ani z żołnierzami, ani z cywilami, jedna bomba spuszczone w Syrii kosztuje 500 dol., a nie 250 tys. jak amerykańska).

Wątpliwe, by Putin zgadzał się na taką współpracę bez wynagrodzenia – np. za cenę wycofania się USA z Europy Środkowo-Wschodniej.

I tu jest realne zagrożenie. Biały Dom może stworzyć wrażenie, że nie zależy mu na członkach NATO w zonie postsowietycznej. W takim przypadku Estonia, Łotwa i Litwa mają małe szanse przetrwania. A Polska będzie musiała bronić się sama co najmniej dwa miesiące, zanim USA będą w stanie logistycznie i pełną gamą siły wojskowej przyjąć sojusznikowi na pomoc zgodnie z art. 5 traktatu północnoatlantyckiego.

Jaka przyszłość czeka Niemcy



Zdzisław Krasnodębski

Po wygranej Donalda Trumpa w Angeli Merkel widzi się ostatniego liczącego się przywódcę, który może bronić liberalnych wartości

Obama w czasie swojej pożegnanej wizyty w Niemczech obsypywał Merkel pochwałami jako przywódcę, na którym od teraz będzie spoczywała największa odpowiedzialność za losy liberalnej demokracji. W wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” powiedział: „Sądzę, że kanclerz Merkel i Niemcy są centralną podporą ochrony podstawowych zasad wolnościowego, opartego na rynku ładu, który przyniósł bezprecedensowy dobrobyt i bezpieczeństwo dla Europy”. Zadeklarował także, że gdyby był Niemcem, byłby zwolennikiem Merkel.

Podsumowując tę wizytę, „The New York Times” zamieścił 12 listopada artykuł pod wiele mówiącym tytułem: „Gdy Obama opuszcza światową scenę, Angela Merkel może być ostatnim obrońcą liberalnego Zachodu”. „Po wyborze Donalda J. Trumpa kanclerz Niemiec Angela Merkel stała się ostatnim wpływowym obrońcą Europy i transatlantyckiego sojuszu” – konstatuje „The New York Times”.

W zapomnienie poszły dawne zadrażnienia i różnice – np. wówczas, gdy okazało się, że amerykańskie służby podsłuchują kanclerz Merkel i rozbieżność zdań w kwestii polityki finansowej.

Wzajemne podsłuchy i inwigilacja wydają się więc nie przeczyć wartościom „liberalnego Zachodu”. Nie przeczą im także ujawnione fakty finansowania fundacji Clintonów, afera e-mailowa, skandale z Volkswagenem (jakkolwiek by było, przedsiębiorstwem de facto kontrolowanym przez niemieckie państwo) itd.

Dlatego nie należy się dziwić, że nikomu nie przeszkadzały afery PO w Polsce. Zagrożeniem dla „liberalnych wartości” są natomiast przywiązanie „nadmiernej” wagi do tego rodzaju afer, odrzucenie nieuchronności globalizacji, niechęć do mieszania się kultur i grup etnicznych, przywiązanie do swojego kraju oraz swojego narodu, tradycyjne

wartości i religia itd. I przeciw temu prowadzi się zdecydowaną walkę.

MERKEL NA STRAŻY

Nastąpiła znamienita zamiana ról. Kiedyś to Stany Zjednoczone przyniosły Niemcom demokrację oraz liberalne wartości i to one pilnowały, by były one przestrzegane w Niemczech, bardzo długo podejrzliwie traktując niektóre zjawiska i tendencje w społeczeństwie niemieckim. Teraz to Niemcy stają się ostoją ładu liberalnego, strażnikiem wartości, a nawet to one mają monitorować sytuację w USA, ogarniętych populizmem i nacjonalizmem. I rzeczywiście zaraz po wyborze Donalda Trumpa popłynęły znad Szpewy mentorskie uwagi, jakimi dotychczas raczono niemal wyłącznie kraje położone na wschód od Odry.

Nikt już nie wątpi, że 25 lat po zjednoczeniu Niemcy są państwem mającym ogromne wpływy nie tylko w Europie. Stały się także ulubionym krajem ludzi o poglądach liberalnych i lewicowych – tak jak kiedyś państwa skandynawskie, które jednak nigdy nie odgrywały takiej roli politycznej. Przekonanie to zostało wzmocnione po ogłoszeniu w 2015 r. „kultury gościnności” i otwarcia granic dla uchodźców. To był dramatyczny, teatralny gest.

Jeszcze parę lat temu znany niemiecki socjolog Ulrich Beck w książce „Niemiecka Europa” krytykował z federalistycznych i lewicowych pozycji „merkiawellizm” – kunktatorską politykę Angeli Merkel, która jego zdaniem była za mało entuzjastyczna wobec Unii, zbyt mało zdecydowana. Wówczas chodziło głównie o działania w czasie kryzysu finansowego.

I oto tak pragmatyczna, stroniąca od wielkich słów i ideologii kanclerz Niemiec dokonała w 2015 r. zadziwiającego zwrotu politycznego, otwierając szeroko granice Niemiec i proklamując z mesjanistycznym wręcz patosem „kulturę gościnności”. Przez kilka miesięcy 50 tys. uchodźców i imigrantów miesięcznie napływało do Niemiec – witani początkowo przez tłumy wolontariuszy, ale wywołujący także mniej lub bardziej tłumione napady lęku wśród mniej wylewnych rzesz Niemców. Ci jednak w większości nie chcieli uchodzić za podłych nacjonalistów i tylko na wschodzie ruch Pegida i partia AfD zyskały silne poparcie. Przez parę miesięcy z mediów niemieckich, szczególnie publicznych, łała się wzmacniająca motywację i tłumiąca wątpliwości propaganda.

Ta „kultura gościnności” dawno już przeszła do historii. Pod koniec 2016 r. niewiele z niej zostało. Teraz dyskutuje się na temat bezpieczeństwa i konieczności usprawnienia przymusowej wysyłki znacznej części tak gościnnie przyjętych ludzi z powrotem do takich przyjemnych i bezpiecznych, znanych ze stabilności krajów jak np. Afganistan.

Zamknięcie szlaku bałkańskiego oraz umowa z Turcją spowodowały, że strumień uchodźców został zatrzymany i to uratowało rządzących. Jeszcze jednego takiego roku Niemcy by nie wytrzymali.

LEWICOWE ODCHYLENIE

A tak słupki popularności wróciły do normy i dziś Angela Merkel jest najpoważniejszym kandydatem, by po przyszłorocznych wyborach ponownie, już po raz czwarty, zostać kanclerzem Niemiec. Rządzi jednak krajem coraz bardziej lewicowym, co widać szczególnie na poziomie lokalnym. Jak niedawno przypomniał „Die Welt” w artykule „Przeceniona kanclerz”, przed 10 laty z CDU wywodziło się 94 ministrów landowych, obecnie partia ma ich tylko 48, a teraz jeszcze straciła kolejne stanowiska w Berlinie, gdzie rządy objęła koalicja socjaldemokratów, Lewicy i Zielonych. Tylko trzech prezydentów 20 największych miast niemieckich to politycy CDU, przed 10 laty było ich jeszcze 10.

Zieloni są partią, która stała się najbardziej wpływowa ideologicznie. To oni w największym stopniu kształtują polityczne i moralne przekonania Niemców. I to oni są obecnie najbardziej preferowanym koalicjantem CDU/CSU po wyborach. Merkel – jak słusznie napisał „Die Welt” – rządzi „czerwono-zieloną republiką”. W prawym skrzydle CDU narasta jednak bunt przeciwko „lewicowemu odchyleniu”, dokonywanemu przez Merkel. Sytuacja jest tym bardziej problematyczna, że po raz pierwszy CDU i CSU będą miały groźnego konkurenta na prawicy – AfD.

Jeszcze trudniejsza jest sytuacja zewnętrzna. „The New York Times” we wspomnianym artykule zwraca uwagę na zmęczenie Merkel oraz osamotnienie Niemiec. Także Kai-Olaf Lang, ekspert Stiftung Wissenschaft und Politik, na niedawnej konferencji o stosunkach polsko-niemieckich na Uniwersytecie Warszawskim mówił o bezradności i osamotnieniu Niemiec.

Nie mogą już liczyć na Francję ani Wielką Brytanię. Unia trzeszczy w szwach. W przyszłym roku czeka

ją ciężka próba. Wielka Brytania rozpocznie procedurę wyjścia, we Francji i w Niemczech, a także Holandii, odbędą się wybory. Nastąpi także zmiana na najważniejszych stanowiskach unijnych. Już proces powoływania następcy Martina Schulza jako przewodniczącego Parlamentu Europejskiego wymknął się spod kontroli – obaj kandydaci dwóch największych frakcji (socjalistycznej i chadeckiej) są Włochami i nie cieszą się specjalnym uznaniem w Niemczech.

Po wyborach Francja zapewne dokona zwrotu na prawo. Jeśli zaś Merkel przegra, to Niemcy dokonają jeszcze ostrzejszego zwrotu na lewo. W obu przypadkach będzie to jednak także zwrot ku Rosji, co wywoła niepokój w Europie Środkowo-Wschodniej. W dodatku ani kryzys euro, ani kryzys uchodźczy nie zostały zażegnane i w każdej chwili mogą powrócić z całą siłą.

Można jednak zasadnie pytać, czy to osamotnienie i kryzys Unii, czy ta bezradność nie są w dużej części zawinione przez

na „permisywnym konsensie” obywateli i na zwartości instytucji gospodarczych, politycznych i medialnych, ich wzajemnym powiązaniu, a nie na jej aktywnym wsparciu ani partycypacji obywateli w procesach politycznych. Jak długo są w miarę zadowoleni z rezultatów, tak długo elity mogą spokojnie nimi zarządzać.

Dlatego też nie widać – mimo AfD – na horyzoncie niemieckiego Donalda Trumpa, choć zapewne AfD osiągnie dwucyfrowy wynik w wyborach do Bundestagu. Inne cechy tej kultury politycznej to przecenianie „miękkiej siły”, niechęć do działań zdecydowanych i środków militarnych, multilateralizm, deklaracyjny idealizm nieprzeszkadzający nawet obcesowej realizacji swoich interesów. W polityce pamięci nacisk nastawiony jest na ofiary, przedstawiane jako ofiary „nacjonalizmu”, a nie na krzewienie cnót heroicznych, zakazana niechęć do państwa narodowego jako formy życia politycznego.

Dominacja Niemiec w Unii przekłada się na konkretne decyzje, które nadają

o unii socjalnej, o jednolitym zasiłku dla bezrobotnych itd.

Niemcy chcą także – przynajmniej CDU/CSU – wzmocnienia roli Rady Europejskiej, a więc też państw członkowskich, i z niechęcią reagują na perspektywę dalszego ograniczenia ich suwerenności unijnymi regulacjami. Nie chcą także „mniejszej Unii” – bez Europy Wschodniej, mimo że czasami straszą taką perspektywą.

Mogłyby więc znaleźć w Polsce i PiS dobrego partnera – gdyby tylko zapanowały nad swoimi wynikającymi z historii uprzedzeniami, wyrzekły się atawistycznych wyobrażeń o swej „misji na Wschodzie”, zapanowały nad agresywnym tonem swoich mediów i były w stanie zaakceptować rzeczywistość równorzędne stosunki. Są pewne oznaki, które wskazują na to, że jest to możliwe – dobre relacje premier Beaty Szydło z Angelą Merkel, próby nawiązania kontaktu z Jarosławem Kaczyńskim, powściągliwość polityków niemieckich w wypowiedziach o sprawach polskich, rozpoczynająca się współpraca parlamentarzystów partii rządzących Polski i Niemiec.

Gdybyż to jeszcze media niemieckie, w których znaczącą, choć pomocniczą rolę odgrywają zakompleksieni ludzie pogranicza kulturowego, często o polskich nazwiskach, potrafiły zdobyć się na minimum obiektywizmu, potrafiły przestać uznawać „postfaktyczną” narrację polskiej opozycji za prawdę objawioną i uznać np., że rząd RP ma takie samo prawo decydować o obsadzie stanowisk w polskich placówkach w Niemczech jak rząd Niemiec w Polsce. Gdybyż jeszcze politycy niemieccy mogli mieć lepszy dostęp do rzetelnych informacji z Polski i z większym dystansem traktowali to, co mogą przeczytać w „Die Zeit” czy „Süddeutsche Zeitung”!

Dla Niemiec istnienie Unii to racja stanu. Za małe dla świata mogą odgrywać w nim rolę na miarę swoich ambicji tylko wtedy, gdy UE istnieje i mają w niej wiele do powiedzenia. Im wcześniej zdadzą sobie sprawę, że Unia przynosić głównie korzyści jednemu krajowi nie będzie mogła przetrwać, że prawdziwego przywództwa w tym dobrowolnym związku wolnych państw narodowych nie można osiągnąć przekonaniem o własnej niepodważalnej słuszności i doskonałości, tym lepiej będzie i dla Europy, i dla świata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dominacja Niemiec w Unii przekłada się na konkretne decyzje, które nadają przywilej temu krajowi kosztem celów wspólnych. Tak może być m.in. w przypadku rysującego się kompromisu, który pozwoli Niemcom wprowadzić opłaty za autostrady dla cudzoziemców

same Niemcy. Trudno nie zauważyć, że Bruksela mówi i myśli dziś po niemiecku. Podobieństwo kultury politycznej Brukseli do kultury politycznej Berlina jest uderzające. W Brukseli rządzi ta sama wielka koalicja co w Berlinie – koalicja chadeków z socjaldemokratami. Sprawuje rządy w podobnym stylu – decyzje zapadają w zakulisowych przetargach, wybory zmieniają się w aklamację, procedury demokratyczne nabierają fasadowego charakteru, polityczni przeciwnicy, niebiorący udziału w tych „dealach”, są marginalizowani i demonizowani. Co by np. powiedzieli Polacy, gdyby zafundowano nam taki sposób wyboru prezydenta, w jaki dokonuje się tego w Niemczech, gdzie nawet do końca nie wiadomo, jak zapadały decyzje, kto był kandydatem?

Jeśli gdzieś rzeczywiście ukształtowała się „liberalna postdemokracja”, to właśnie w Niemczech, no i w brukselskich instytucjach stanowiących dobry przykład postdemokratycznego zarządzania. Stabilność władzy w Niemczech oparta jest

przywilej temu krajowi kosztem celów wspólnych. Tak było choćby w przypadku decyzji dotyczącej możliwości większego wykorzystania przepustowości gazociągu OPAL przez konsorcjum zdominowane przez Gazprom, tak też może być w przypadku rysującego się kompromisu, który pozwoli Niemcom wprowadzić opłaty za autostrady dla cudzoziemców.

UNIA JAK RACJA STANU

Pytanie: Co dalej? Czy Niemcy mogą sprostać zadaniu utrzymania jedności Unii, obrony „wartości Zachodu”, czy rzeczywiście mogą odgrywać rolę przywódczą?

Wiadomo już, że jeśli chodzi o Unię Europejską po Brexicie, to ich wybór ma być pragmatyczny – żadnego otwierania na nowo traktatów, żadnych wielkich, głębokich reform, żadnych eksperymentów, co najwyżej korekty polityki dokonywane w cieniach gabinetów. Niemcy boją się bowiem, że kraje europejskiego południa, włącznie z Francją, głęboko sięgną im do kieszeni, gdyż coraz głośniejszymi głosem się

Autor jest socjologiem, filozofem społecznym, europosełem PiS.



Między Chrystusem a Mahometem



Olivier Bault

Mieszkańcy Starego Kontynentu przeżywają kryzys wiary. Im bardziej liberalny Kościół, tym poważniejszy odpływ wiernych

Do niedawna Irlandia przedstawiała na byłą obok Polski jako jeden z najbardziej katolickich krajów Europy. Dla wielu ludzi szokiem było więc zwycięstwo zwolenników „homomałżeństw” w referendum z 2015 r. Niezależnie od strumieni pieniędzy płynących z Ameryki i zasilających kampanię na rzecz spełnienia żądań lobby LGBT porażka obrońców rodziny była tak naprawdę w pierwszej kolejności konsekwencją braku odwagi Kościoła i przede wszystkim odejścia Irlandczyków od wiary swoich przodków (w Republice Irlandii

uczestnictwo we mszy niedzielnej spadło z poziomu prawie 90 proc. w 1984 r. do 18 proc. w 2011 r., choć 80 proc. Irlandczyków nadal określa siebie jako katolików). Udział w nabożeństwach spada, a odsetek ludzi deklarujących się jako ateści rośnie również w innych europejskich krajach, m.in. w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Niemczech. Zarówno Kościół katolicki, jak i Kościoły protestanckie od lat notują odpływ wiernych.

Jedynie we Włoszech sytuacja ma się trochę lepiej. Jednak i tam obserwuje się spadek praktyki religijnej wśród katolików. Warto zwrócić uwagę na „efekt Franciszka” – frekwencja w środowowych audiencjach generalnych i na niedzielnej modlitwie Anioł Pański na placu św. Piotra w Watykanie spadła o połowę w stosunku do uczestnictwa za pontyfikatu Benedykta XVI.

PROBLEM NOWOCZESNOŚCI

Im bardziej Kościół jest „otwarty” i politycznie poprawny, tym mniej ludzi przyciąga do Chrystusa. Najbardziej „no-

woczesny” Kościół anglikański przeżywa najgłębszy kryzys odpływu wiernych, nie mówiąc o tym, że jest poważnie zagrożony schizmą. W gorszej sytuacji są chyba tylko jeszcze bardziej „nowoczesne” Kościoły protestanckie w Szkocji i Skandynawii. Weźmy np. szwedzki Kościół luterński znany ze swojego liberalizmu. W 2009 r. w Sztokholmie po raz pierwszy na świecie luteraniskim biskupem została lesbijka żyjąca w czynnym związku z inną kobietą. Jednocześnie Szwecja jest najmniej religijnym narodem świata zachodniego: ośmiu na 10 Szwedów nazywa samych siebie areligijnymi lub ateistami. – Czy nie ma zatem konserwatywnych luteranów? – zapytała przedstawiciela Szwecji uczestniczka spotkania europejskich narodowców zorganizowanego w Sejmie w przededniu warszawskiego Marszu Niepodległości. – Nie ma, ponieważ oni przeszli już na katolicyzm – odpowiedział Szwed. A jeśli chodzi o Kościół katolicki, wśród dużych krajów Europy Zachodniej największy spadek liczby wierzących odnotowano

w Niemczech i we Francji. Są to dwa kraje, w których po Soborze Watykańskim II Kościół poszedł najdalej w stronę lewicowego liberalizmu i politycznej poprawności.

MĘSTWO I NAWRÓCENIE

Ogólny obraz Europy, poza Polską, to chrześcijaństwo, które się wycofuje i stopniowo umiera śmiercią naturalną, podczas gdy rozszerza się wciąż na innych kontynentach. Jednocześnie z powodu imigracji i demografii szybko rozwija się islam, który ma szansę stać się w przyszłości religią względnej większości w krajach Europy Zachodniej, w pierwszej kolejności we Francji. I to również jest wyzwanie stojące przed chrześcijaństwem w Europie – czas nagli, gdyż historia pokazuje, że tam, gdzie muzułmanie są większością, obowiązuje prawo islamskie zakazujące nawracania muzułmanów na inne religie i tworzące wiele zachęt, w postaci zniesienia szykan i dyskryminacji, do przejścia innowierców na islam. Już teraz Kościół katolicki niechętnie przyjmuje muzułmanów proszących o chrzest, a ci, którzy chrzest otrzymują w Kościołach katolickim lub protestanckim, kryją się ze strachu przed islamską przemocą. Koran takich ludzi każe zabijać, a Kościołowi liberalnemu takiemu jak we Francji zdaje się brakować męstwa będącego atrybutem Ducha Świętego.

Zaświadczyć mogą o tym tacy ludzie jak Mohammed Christophe Bilek, Algierczyk, który przeszedł na katolicyzm. – Dlaczego w Kościele nie nawołuje się do nawracania wyznawców Allaha na chrześcijaństwo? – pytał organizator corocznego forum Jeshua-al-Masih dla chrześcijan nawróconych z islamu w reportażu „Jesteśmy gotowi umrzeć za Chrystusa” Joanny Bątkiewicz-Brożek dla „Gościa Niedzielnego”. Aquila, Algierka, która uciekała do Francji przed islamem i przeraziła się, gdy zobaczyła ten sam islam nad Sekwaną, opowiada w autobiograficznej książce „Pour un monde sans islam” („Świat bez islamu”) o tym, jak zwracając się do księdza z prośbą o chrzest, otrzymała odpowiedź zażenowanego kapłana, że przecież wielbimy tego samego Boga i że islam również jest religią pokoju, miłości oraz tolerancji, której nie należy porzucać!

Czy w podobnym tonie nie wypowiada się o islamie sam papież Franciszek? I to jest właśnie powód, dla którego żyjący cały czas pod ochroną włoskiej policji Magdi Cristiano Allam, były muzułmanin ochrzczony w 2008 r. przez papieża

Benedykta XVI, tak ostro krytykuje Kościół katolicki. „Jestem chrześcijaninem, uważam za ważny chrzest, który otrzymałem od Benedykta XVI, ale krytykuję zachowania Kościoła wynikające z legitymacji islamu jako religii o takiej samej wartości co chrześcijaństwo, z poparciem dla ideologii imigracjonizmu, łącznie z usprawiedliwianiem nielegalnej imigracji” – wyjaśniał Magdi Allam w wywiadzie dla „Wall Street International” w 2013 r.

Według Mohammeda Christophe’a Bileka w samej Francji pomimo trudności i niebezpieczeństwa na chrześcijaństwo przechodzi co roku ok. 30 tys. muzułmanów. Przyszłość chrześcijaństwa w Europie będzie w dużej mierze zależała od tego, czy Kościół będzie miał wystarczająco dużo wiary w Chrystusa i męstwa, aby głosić Ewangelię nie tylko wśród osób niewierzących, lecz także wśród coraz liczniejszej społeczności muzułmańskiej. Egipski Kopt, jezuita i islamolog Samil Khalil Samil, choć przestrzegając Europejczyków przed islamem, podkreśla rolę, jaką muzułmanie mogą odegrać w Europie w przebudzeniu chrześcijaństwa. I rzeczywiście, jak píše włoski katolicki tygodnik „Il Tempio” w artykule „Oni będą zdobywać Europę, my musimy tworzyć i praktykować chrześcijaństwo”, aby nawracać muzułmanów, chrześcijanie muszą najpierw ponownie nawrócić siebie samych.

Jedno jest pewne, za kilkadziesiąt lat Europa będzie chrześcijańska albo islamska, ale już nie lewicowo-liberalna, gdyż lewicowy liberalizm nie pociąga muzułmanów. Nie chodzi oczywiście o głośnie śpiewanie kolęd w okresie Bożego Narodzenia, jak to proponowała Angela Merkel. Luigi Amicone píše w „Il Tempio”: „Ale czy jesteśmy pewni, że młode pokolenia muzułmanów będą chciały pozostać takimi, jakimi są, i nie zafascynują się [...] chrześcijaństwem czyniącym człowieczeństwo, wolność, racjonalność, postęp, cywilizację? Potrzeba, abyśmy tworzyli i praktykowali chrześcijaństwo. Wszystko straciliśmy i wszystko stracimy. Ale życie płynące z Syna Bożego, który stał się człowiekiem, może nas uratować”.

EURISLAM

Innego zdania są jednak instytucje europejskie, promujące projekt Eurislam mający przyczynić się do tworzenia jednej masy multi-kulti, społeczeństwa otwartego bez granic, w którym nie tylko muzułmańscy przybysze przyjęliby wzorce, wartości i kulturę rdzenną ludności, lecz także

rdzenna ludność przystosowałaby się do obecności islamu w Europie. Na stronie www.eurislam.eu można przeczytać, że Eurislam to „projekt badawczy, analizujący, w jaki sposób narodowe tradycje w sferze tożsamości, obywatelstwa i relacji między Kościołem a państwem wpływają na wcielenie islamu do państw członkowskich UE oraz na interakcje między muzułmańskimi imigrantami i ich potomstwem a przyjmującym ich społeczeństwem”.

W duchu tego projektu raport Draghici z 12 kwietnia 2016 r. przyjęty przez euro-parlament nawołuje państwa członkowskie, teoretycznie w ramach programu poszerzenia wiedzy o UE, do tego, aby u dzieci „stworzyć poczucie przynależności do UE, a także zrodzić ducha wspólnoty i akceptacji dla społeczeństw wielokulturowych i wielonarodowych”. Równolegle według rezolucji przyjętej przez PE „lekcje i materiał w szkołach powinny obejmować informacje na temat różnorodności w odniesieniu do religii lub przekonań, pochodzenia etnicznego, orientacji seksualnej i tożsamości płciowej”.

Co z tego „mieszmaszu à la Soros” wyjdzie, można sobie łatwo wyobrazić. Na to pytanie odpowiadał w 2015 r. algierski pisarz Boualem Sansal w „Liście do Francuza o nadchodzącym świecie”: „Boję się o Was. Wydajecie się tak mało przygotowani, żeby nie powiedzieć – bierni. Nie wiem też, czy zdajecie sobie sprawę, że Wasi rządzący, w swojej niezmiernie naiwności i tchórzostwie, przygotowują Wam istny koszmar”.

Polska odegrała istotną rolę pod koniec XVII w. w ratowaniu chrześcijaństwa w Europie. Dzisiaj, gdy na całym kontynencie „nowoczesne” Kościoły protestanckie i liberalne Kościoły katolickie przeżywają głęboki kryzys wiary oraz wyprzedają puste świątynie, wciąż katolicka, „radiomaryjna” Polska może znowu odegrać ważną rolę. Nie tylko, choć też, przeciwstawiając się szalonej polityce masowej imigracji promowanej przez Brukselę, lecz także odważnie głosząc Ewangelię.

Tak jak w średniowieczu mnisi z Irlandii wskrzesili wiarę w Chrystusa i uratowali chrześcijaństwo w całej Europie, tak dzisiaj polscy duchowni głoszący Chrystusa na Zachodzie i polscy świeccy katolicy na emigracji mogą przyczynić się do wskrzeszenia umierającego chrześcijaństwa. W nadchodzącym roku i kolejnych latach Europa będzie jeszcze lewicowo-liberalna, ale na dłuższą metę będzie musiała tak czy owak wybrać między Chrystusem a Mahometem.



Grzegorz Kucharczyk

Papież Franciszek nie tyle przeprowadza zmiany w Kościele, ile zmienia Kościół. Odstępstwa od doktryny wywołują protesty i prowadzą do podziałów

W 2016 r. rozpoczął się czwarty rok pontyfikatu papieża Franciszka. Zakończył się również ogłoszony przez biskupa Rzymu Jubileuszowy Rok Miłosierdzia. Papież opublikował adhortację apostolską „Amoris laetitia”, będącą podsumowaniem odbywającego się w dwóch turach (lata 2014, 2015) synodu biskupów dotyczącego rodziny. Franciszek wziął udział w szwedzkim Lund w uroczystościach inaugurujących obchody 500-lecia protestanckiej reformacji. Parę dni wcześniej uczestniczył w uroczystym nawiedzeniu Watykanu przez Marcina Lutra in effigie (figurę reformatora przywieźli uczestnicy „ekumenicznej pielgrzymki” do Rzymu).

Wszystkie te wydarzenia mają jeden mianownik – narastający kryzys Kościoła. Nie chodzi tutaj li tylko o wrocie katolicyzmowi – jako doktrynie i cywilizacyjnej wizji – grasujące po tym świecie rozmaite formy zideologizowanego „postępu” i „wyzwolenia”. Można powiedzieć, że to nic nowego w dziejach Kościoła. Nowość polega na tym, że w naszych czasach zjawiska kryzysowe generowane są w samym centrum Kościoła. Papież Franciszek nie ugina się pod naporem zjawisk. Kończący się rok pokazał, że w dużej mierze jest on inicjatorem tego, co jeden z jego najbliższych współpracowników, kard. Walter Kasper, u przodu tego pontyfikatu nazwał „zmianą paradygmatu”. Nie chodzi już o zmiany w Kościele, ale o zmianę Kościoła.

UŁUDA AUTOMATYZMU ZBAWIENIA

W połowie listopada biskup bawarskiej Pasawy Stefan Oster (wyniesiony do tej godności w 2014 r. przez Franciszka) napisał obszerną analizę sytuacji Kościoła katolickiego w Niemczech, zatytułowaną „O utracie tego, co święte, i tęsknocie za przełomem”. Odnosząc się do popularnego nad Renem w epoce tzw. reform posoborowych hasła: „Przesłanie radości zamiast przesłania strachu”, bp Oster zauważył:



„Jednym z głównych problemów tamtego czasu, jak i obecnie jest to, że wraz z wielkim i nowym »otwarcie się na świat« księży, zakonników i Kościoła generalnie, ta głoszona przez Sobór [Watykański Drugi] radosna wieść o powszechnym zbawieniu potajemnie przekształciła się w swego rodzaju »automatyzm zbawienia«: Skoro Bóg kocha wszystkich ludzi i dla wszystkich umarł, z pewnością więc wszyscy będą zbawieni, automatycznie!”

Według bawarskiego biskupa współczesny kryzys Kościoła w Niemczech – i nie tylko tam – bierze się właśnie z tej zamiany, z pomijania tych fragmentów Ewangelii, które wprost mówią o konieczności wyrzeczeń i pracy nad sobą, o konieczności „podjęcia swojego krzyża”: „Dzisiejszy kryzys powołań do kapłaństwa i zakonów oprócz innych czynników bierze się właśnie z tego, że tylko w nielicznych parafiach, wspólnotach istnieje doświadczenie wiary, w którym podkreśla się i żyje się tym, że w wierze chrześcijańskiej chodzi o osobiste opowiedzenie się za Chrystusem, oraz tym, że im bardziej głęboka jest duchowa droga osoby wierzącej, tym bardziej droga ta musi być wyrazista”.

Niemiecki hierarcha doskonale opisał – jak sądzę – istotę kryzysu, którego raczej nie umniejsza, ale powiększa papież Franciszek swoim – jak mówią jego bezkrytyczni admiratorzy – „słuchającym, ukierunkowanym na duszpasterstwo, a nie na doktrynę Magisterium”. Sądząc po tytułach najważniejszych programowych dokumentów tego pontyfikatu (adhortacje: „Evangelii gaudium” i „Amoris laetitia”), słowem szczególnie afirmowanym przez obecnego papieża jest „radość”. Franciszek i jego najbliżsi współpracownicy mówią, że w obliczu potrzeb współczesnego człowieka nie można być „konserwatywnym rygorystą”, tylko trzeba z radością i miłosierdziem wychodzić do ludzi („nowa troska duszpasterska”), przede wszystkim tych najuboższych i najsłabszych.

Z czym jednak do ludzi? Czy można pozbawiać ludzi ubogich i słabych (któż z nas takim nie jest?) największego skarbu, jakim jest jednoznaczny i mocny przekaz wiary? Czyż to nie Założyciel Kościoła powiedział do Piotra: „A ty umacniaj braci w wierze”? Tymczasem opublikowana w 2016 r. przez Franciszka posynodalna adhortacja „Amoris laetitia”, dopuszczając

do komunii świętej osoby rozwiedzione i żyjące w nowych, cywilnych związkach, jest uderzeniem w katolicką naukę o dwóch sakramentach (małżeństwa i Eucharystii). Przecież w tym przypadku chodzi o zanegowanie nauczania samego Chrystusa o nierozzerwalności małżeństwa przekazanego na kartach Ewangelii.

Bezprecedensowe uderzenie w katolickie nauczanie o nierozzerwalności sakramentu małżeństwa wywołało bezprecedensową (w naszych czasach) reakcję, którą można bez przesady określić mianem „publicznego upomnienia” następcy św. Piotra przez grupę kardynałów, domagających się od papieża odcięcia się od błędów zawartych w jego adhortacji. Chodzi o list czterech kardynałów (Burke’a, Brandmüllera, Meisnera i Caraffy) do Franciszka z 19 września, który został upubliczniony w listopadzie. Tak „nowa troska duszpasterska” rodzi zgorszenie odstępstwa od doktryny i wywołania podziałów w Kościele.

BEZ GRZECHU I NAWRÓCENIA

Co ma jednak wspólnego z napędzaniem kryzysu w Kościele Rok Miłosierdzia? O tyle ma, że była to w dużej mierze stracona okazja przypomnienia nauki Kościoła o Bożym Miłosierdziu. Rok jubileuszowy został raczej wykorzystany do próby wpisania miłosierdzia w „paradygmat radości” i wykorzystania na „potrzeby duszpasterskie”, przeciwstawiane mówiącym o grzechach „rygorystom zapatrzonym w doktrynę”. Jednak pytanie podstawowe brzmi: Kto nie potrzebuje miłosierdzia? Tylko Bóg. Co więc zrobić ze współczesnym człowiekiem, który postawił siebie na miejscu Boga? Jak przekonać go o wartości Bożego Miłosierdzia, skoro on sam nie tylko nie uważa, że popełnił jakiś grzech, lecz także sądzi, iż czegoś takiego jak grzech w ogóle nie ma?

Decyzje i nauczanie papieża Franciszka mogą w takim mniemaniu tylko utwierdzać. Tutaj bowiem generalnie liczą się: aktywizm, „raban”, „wstawanie z kanapy”, a nie „Westerplatte spraw, od których nie można odstąpić” ani „wymaganie od siebie nawet wtedy, gdy inni od was wymagają nie będą”. Po co komu Boże Miłosierdzie, po co komu nawracać się, jeśli poprzez „odpowiednie” korekty prawa kanonicznego ws. uniważnienia małżeństw czy dopuszczenie do komunii świętej rozwodników samo pojęcie grzechu jest rozmywane?

Na tym także polega katastrofalny charakter „Amoris laetitia”, że jej publikacja została niejako wpisana w Rok Miłosier-

dzia, powodując skojarzenie tej Bożej łaski z uderzeniem w katolickie nauczanie o sakramentach. Promulgacja tego dokumentu stała się de facto centralnym punktem obchodów roku jubileuszowego, a nie sakrament Bożego Miłosierdzia, czyli spowiedź. Sakrament będący w zaniku w wielu krajach uchodzących za katolickie. Dlaczego plac św. Piotra w ramach obchodów Jubileuszu Miłosierdzia nie pokrył się połowymi konfesonami, które widzieliśmy podczas Świątowych Dni Młodzieży w Krakowie? Dopiero tam po raz pierwszy wielu młodych katolików z całego świata mogło zobaczyć, do czego służy ten przedmiot.

Jak zauważył prof. Roberto de Mattei, z nauczania papieskiego przy okazji Roku Jubileuszowego zniknął zupełnie temat odpustów, naturalnie związany z tego typu okazjami. Włoski uczony łączy to z ekumeniczną aktywnością papieża Franciszka w 2016 r., która osiągnęła swój zenit podczas spotkania w Lund. Istotnie, trudno przypominać katolicką naukę o odpustach w czasie, gdy wraz z protestantami inauguruje się obchody 500-lecia reformacji, która programowo od tej nauki się odcinała (choć trzeba przypomnieć, że przybijając w 1517 r. swoje tezy, Luter nie negował prawa papieża do udzielania odpustów, tylko handel nimi).

31 października 2016 r. Franciszek podpisał w Lund wspólną katolicko-protestancką deklarację, w której winą za „zranienie widzialnej jedności Kościoła” w XVI w. na równi obciążono katolików i protestantów. Przewrotnie można by powiedzieć, że w tym przypadku strona protestancka poszła na znaczne ustępstwa, zważywszy na to, że twórcy reformacji – wszyscy bez wyjątku – u progu swojej działalności byli katolikami, a niektórzy z nich (jak Marcin Luter) katolickimi księżmi. Chociaż w świetle deklaracji z Lund zasadne staje się pytanie o szanse beatyfikacji ks. Piotra Skargi – szermierza kontrreformacji, który nie tylko żadnych win po stronie Kościoła nie widział, lecz także żarliwie zwalczał protestancką herezję.

ZNAKI NA NIEBIE I ZIEMI

Różne znaki na niebie i ziemi zapowiadają nadzwyczajne wydarzenia. Od uderzenia gromu w kopułę bazyliki św. Piotra w feralnym dniu ogłoszenia abdykacji Benedykta XVI mamy ich coraz więcej – od pęknięcia kolejnych pastorałów w rękę Franciszka do wstrząsania fundamentami Rzymu (całkiem dosłowne w czasie kolej-

nych trzęsień ziemi nawiedzających Italię w 2016 r.). Jakby Ktoś ostrzegał, a tym samym okazywał miłosierdzie. Powstrzymał bieg ku przepaści.

Na razie nic nie wskazuje na odstępstwo papieża Franciszka od radosnego demon-tażu Kościoła. Wspierający go w tym dziele niemieccy kardynałowie mówią o „nowej fazie recepcji soboru” (kard. Marx) i o „początku procesu zmian” (kard. Kasper). Ten ostatni w maju 2014 r. w jednym z wywiadów bez ogródek mówił: „Papież Franciszek nie może zrobić wszystkiego sam, on rozumie w kategoriach procesu. Chce on rozpocząć proces, który będzie po nim kontynuowany. Sądzę, że będzie miał możliwość mianowania 40 proc. kardynałów i oni będą tymi, którzy wybiorą nowego papieża. W ten sposób jest on w stanie warunkować nowe konklawe”.

Dokonane w 2016 r. nominacje kardynalskie, a jeszcze bardziej to, kogo ominął kapeluszy kardynalski (z reguły tzw. konserwatywnych hierarchów), tylko potwierdzają ten kierunek zmian. Podobnie jak faktyczne ubezwłasnowolnienie kard. Roberta Saraha, odważnie nawołującego do „reformy reformy” liturgicznej poprzez całkowite wymienienie w listopadzie 2016 r. składu kongregacji kultu Bożego (po raz kolejny sankcje dotknęły kard. Burke’a, który nie znalazł się w nowym składzie tej dykasterii).

Na całym świecie liberalno-lewicowe elity odkleiły się od rzeczywistości. Wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA był tego najgłośniejszym, choć nie ostatnim przykładem. Następne ważne wybory odbędą się w 2017 r. Rychło może się okazać, że najbardziej lewicowym światowym przywódcą zostanie papież Franciszek, który dotąd jak ognia unikał niewygodnych dla establishmentu kwestii. Typowa pod tym względem była wizyta papieża w USA w 2015 r., podczas której głośno milczał na temat plagi aborcji (i to krótko po ujawnieniu bulwersujących nagrań rozmów funkcjonariuszek Planned Parenthood targujących się o cenę za narządy pochodzące od abortowanych dzieci).

Czy to wszystko oznacza, że nie należy słuchać Franciszka? Ależ trzeba jak najbardziej, zwłaszcza gdy powtarza swoją prośbę o modlitwę w jego intencji. W nadchodzącym roku jubileusz stulecia objawień w Fatimie jest to szczególnie konieczne. To niezwykła kumulacja rocznic – stulecie nie tylko Fatimy, lecz także rewolucji rosyjskiej – to jakiś szczególny znak.



Piotr Gociek

O kryzysie demokracji liberalnej mówią wszyscy – od lewa do prawa. Kto może ostatecznie złożyć ją do grobu?

Odrzucamy niektóre rozwiązania nie dlatego, że pewnego dnia wstajemy z łóżka nagle przekonani, iż to dobry pomysł. Robimy to dlatego, że nie działają, że się nie sprawdzają. Zadając pytanie: „Czy demokracja przetrwa?“, musimy zadać zatem pytanie: „Czy demokracja działa?“. A jeżeli okazałoby się, że demokracja nie działa lub działa źle, to uprawnione jest pytanie kolejne: „Kto popsuł demokrację?“.

„Jedynym wciąż dostępnym dla nas rozwiązaniem jest przesunięcie się powoli w kierunku jedynej postaci prawdziwej demokracji: to znaczy demokracji bezpośredniej” – wzywał francuski pisarz Michel Houellebecq po zamachach terrorystycznych w Paryżu z 13 listopada 2015 r., krytykując francuskie władze za oportunizm i kretynizm (dokładnie takie słowa padły). Gdy wiosną roku 2013 kontrolę nad finansami Cypru przejęła trojka (wysłannicy Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego), demonstrujący pod parlamentem mieszkańcy wyspy pytali głośno, dlaczego ich krajem rządzić zaczęli ludzie, którzy nie zostali przez nich wybrani.

Ten ostatni argument w dużej mierze zaważył na Brexicie. Takie samo przekonanie narastające w wielu krajach Europy zaowocowało wzrostem poparcia dla ugrupowań

i polityków otwarcie kwestionujących obecny kształt Unii Europejskiej i model jej integracji.

WYMARZONY MECHANIZM

W Europie i USA uczestnicy demokratycznej gry próbują wyrazić demokratycznymi metodami swoje niezadowolenie z jej obecnego kształtu. W wielu jednak miejscach na świecie demokracja ma się dużo gorzej. Tam cel jest prosty – odkryć taką drogę, która sprawiłaby, że

efektywny system gospodarczy czyniłby obywateli zadowolonymi i bogaczącymi się, ale jednocześnie nie pozwalał na to, by kartka wyborcza kładła kres karierze rządzących. Modelem wymarzonym jest Singapur, w którym od dekad odbywają się wolne wybory, ale obywatele zawsze głosują na tę samą partię. Partia w zamian za to dba o dobrobyt obywateli – ze skutkiem dużo lepszym niż partia bolszewików w Rosji, bo też w Singapurze nie ma leninizmu-stalinizmu.

Wystarczy uważnie spojrzeć na Turcję Recepę Erdoğan, by dostrzec ambicję zintegrowania zachodniej produktywności ze wschodnim autorytaryzmem oraz włączenia w to tradycji islamskiej. W tej hybrydzie nie ma miejsca na nieposłusznych sędziów, zbyt krytycznych dziennikarzy ani zbyt silną opozycję. Jednocześnie – i to jest najciekawsze – Erdoğan przecież cały czas ma mandat demokratyczny. Co z Władimirem Putinem w Rosji? To oczywiście kraj autorytarny,



Czy demokracja przetrwa?

w którym wróg lub krytyk władzy ryzykuje kulkę w łeb. Wiele jednak wskazuje na to, że gdyby w Rosji nie fałszowano wyborów, partia Putina też by je wygrywała – tyle że z mniejszą przewagą. Istnieją zatem sytuacje, w których obywatele głosują za znanymi sobie „ojcami narodu”, bo albo ich popierają, albo uważają, że inny wybór byłby jeszcze gorszy. A że są lub mogą być zmanipulowani oraz zindoktrynowani? Tutaj dochodzimy do sedna pytania o przyszłość demokracji.

Przypadek Rosji czy Turcji jest prosty, bo widać dokładnie, przez kogo demokracja jest w odpowiedni sposób „modelowana” i w jakim celu. Co sprawiło, że kraje Zachodu, kolebka demokracji, wychowały tak wielu wściekłych obywateli kwestionujących jej kształt?

Standardowa odpowiedź wbijana nam do głów przez przedstawicieli elit, przeciwko którym obrócony jest dziś gniew wyborców, jest następująca: obywatele zostali oszukani. Chcące ich dobra elity zbyt słabo się z nimi komunikowały, zbyt skąpo informowały o tym, jak ciężko pracują dla ich dobra, co wykorzystane zostało przez populistów. Łatwość, z jaką owi populiści zawładnęli sercami obywateli, dowodzi także tego, z jak lichego materiału owi obywatele są wykonani – gdyby nie drzemały w nich demony ksenofobii, nacjonalizmu, egoizmu ani zwykłej ciemnoty, to nie daliby się tak łatwo porwać. W interpretacji tej jest miejsce na odrobinę samokrytyki: no, może i pewne posunięcia były nieprzemyślane, może doszło do jakichś wypaczeń, ale po pierwsze kierunek jest słuszny, a po drugie nawet jeśli do wypaczeń doszło, to niedopuszczalne jest reagowanie na te błędy tak ostro (czyli wsparcie ludzi nieodpowiedzialnych i dla porządku demokratycznego niebezpiecznych).

Jak pogodzić to z demokracją, w której wszak to

Co sprawiło, że kraje Zachodu, kolebka demokracji, wychowały tak wielu wściekłych obywateli kwestionujących jej kształt?

obywatele mają decydować? Kto ma prawo korygować ich głos? Jaką legitymację mają ci, którzy chcieliby demokrację poprawiać?

Wezwanie do tego, by brytyjski parlament zignorował wolę uczestników brexitowego referendum albo żeby amerykańscy elektorzy oddali głos na innego prezydenckiego kandydata niż ten, którego wskazali wyborcy w ich stanie, to nic innego, jak tylko wyrzucenie demokracji do kosza.

PRAWDZIWA ZMIANA

Frustracja i wściekłość demosu w krajach liberalnej demokracji biorą się z poczucia bezsilności. Wyborca coraz częściej znajduje się bowiem w sytuacji klienta, który wrzuca monetę do szafy grającej oferującej setki nagrań, ale odkrywa, że niezależnie od tego, który utwór wskaże, grana będzie cały czas ta sama piosenka. Zmuszony wybierać między coraz bardziej upodabniającymi się do siebie partiami i politykami, coraz częściej woła o „prawdziwą zmianę”.

Czy każdy wołający o taką zmianę ma na myśli to samo? Oczywiście nie. Zwolennicy prawdziwie wolnego rynku marzą o porzuceniu gorsetu biurokratycznych absurdów, konserwatyści życzą sobie odejścia od narzucanej przez przeważającą część elit lewicowej ideologii, a lewicowcy wykorzystują okazję, by dopieć tym, którzy ich zdaniem zaprzeczali się korporacjom.

Odpowiedzią na to wołanie musi być powrót do tego, co było zawsze siłą demokracji – do sytuacji, w której wolna gra idei, poglądów i politycznych sił doprowadza do wypracowania rozwiązań przyjmowanych

przez większość dla dobra wspólnego. W wolnej grze nie ma miejsca na wykluczenie części poglądów a priori, nie ma miejsca na „korygowanie”. Leczenie kryzysu demokracji metodą podobną do tej, którą chce się stosować jako lekarstwo na kryzys Unii Europejskiej (więcej Unii w Unii), jest drogą donikąd, bo wepchnie tylko kraje liberalnej demokracji w samobójczą spiralę, w której samozwańczy przedstawiciele „słusznej drogi” będą coraz ostrzej zwalczać „populistów”, a „populiści” coraz mocniej kontestować establishment.

Ta sama demokracja liberalna jest jednocześnie obiektem nacisku sił kontestujących

ją z zewnątrz – od państw autorytarnych do islamskich terrorystów. Tutaj możliwe są dwa scenariusze. Może tak jak podczas II wojny światowej demokracje liberalne zjednoczą się w walce z opresją i wzmocnią wobec totalitarnego zagrożenia. Albo – na co wskazuje wytykana Zachodowi przez podobnych do Houellebecqa krytyków uległość – rosnące poczucie zagrożenia i rozczarowanie klinczem w polityce wewnętrznej, nieufnością wobec elit sprawią, że wzrośnie skłonność do obwinienia samej idei demokracji liberalnej o grzechy, za które odpowiedzialność ponosi nie ona, lecz „korygujący” jej błędy?

Wtedy okaże się, że za złożenie jej do grobu w równym stopniu odpowiedzialni są jej wrogowie i samozwańczy reformatorzy, którzy w imię demokracji postanowili część poglądów z niej wykluczyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Legionowie w sprawie o sygnaturze I Ns 633/16 toczy się postępowanie z wniosku Banku Handlowego w Warszawie S.A. z udziałem Henryka Michała Garbowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Macieju Garbowskim, zmarłym w dniu 19 czerwca 2009 roku, ostatnio stale zamieszkałym w Legionowie.

Wzywa się spadkobierców w/wym., aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Legionowie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Zanim Tomasz Beksiński pojawił się w radiowej Trójce, promował w Dwójce jeden z najbardziej kiczowatych nurtów muzyki, czyli new romantic FOT. PIOTR MAŁECKI/FORUM

Władcy uszu



Grzegorz Brzozowicz

Na świecie dziennikarze rockowi byli celebrytami decydującymi o wzlocie lub upadku karier wielu gwiazd. W Polsce prezenterzy radiowi mieli większą moc – to od nich zależało, kogo z zachodnich wykonawców będą wielbić pokolenia, a o kim nikt się nie dowie

W czasach PRL muzyka rockowa, zwana wówczas bigbitową, była na antenie radiowej reglamentowana. Wbrew powszechnym odczuciom epoka towarzysza Wiesława Gomułki nie była jednak wcale taka wroga szarpidrutom. Już w 1963 r. do Polski przyjechał na koncerty Paul Anka znany do dziś z przeboju „Diana”, a po nim prawdziwe gwiazdy brytyjskiej sceny, takie jak: The Animals, The Hollies, Cliff Richard i The Rolling Stones. W kinach pokazywane były filmy z Beatlesami, a w 1965 r. w radiowej Jedynce ruszyło Młodzieżowe Studio „Rytm” popularyzujące nowe rytmy. Pod kierownictwem 25-letniego Andrzeja Korzyńskiego w radiowych studiach zarejestrowano ponad 1,3 tys. piosenek nadwiślańskich długowłosych. Prowadzącymi program zostały nastolatki, z których kilkoro cieszy się do dziś popularnością: Piotr Kaczkowski, Maria Szablowska, Krzysztof Szewczyk i autor tekstów dziesiątków przebojów Marek Dutkiewicz. Trudno to sobie wyobrazić, ale w głosowaniu na ówczesną „Listę Przebojów” przychodziło na kartkach pocztowych ok. 40 tys. głosów!

Towarzysz Edward Gierek nie był już tak tolerancyjny wobec rockandrolowców. Pamiętano, że w 1959 r. jako sekretarz komitetu wojewódzkiego w Katowicach doprowadził do rozwiązania pierwszego polskiego zespołu rockowego Rhythm & Blues. Kiedy przeniósł się do stolicy, partyjni nadgorliwcy postanowili natychmiast wyczyścić radiową antenę z wrażliwych rytmów.

„W czwartym tygodniu rządów Gierka – opisał mi przed laty tę sytuację Piotr Kaczkowski – z PR III usunięto pięć audycji. Wrócił tylko mój »Minimax«, bo słuchacze zasypali redakcję listami. Wśród nich był jeden, który doskonale pamiętam: »Jestem aktywistą w zakładach mechanicznych i mój entuzjazm do pracy partyjnej wyraźnie osłabł po zdjęciu mojej ulubionej audycji«. Andrzej Korman, szef redakcji muzycznej, zaniósł worek z listami na posiedzenie kierownictwa Radiokomitetu. Jak głosi legenda, prezes Włodzimierz Sokorski zabrał następnie worek do Domu Partii. »Minimax« powrócił na antenę”.

NARODZINY ELITY

Studio „Rytm” zniknęło z programu w lutym 1973 r., kiedy na stanowisku szefa Radiokomitetu Sokorskiego (teścia Korzyńskiego) zastąpił Maciej Szcze-

pański. W Programie I Polskiego Radia władzę przejęli specjaliści od estradowej rozrywki. W konsekwencji radiowa Trójka stała się mekką rocka. Nawet na tej antenie programy muzyczne, choć prezentowane codziennie, stanowiły tylko znikomy procent radiowej ramówki. Tym bardziej każda z audycji była słuchana i nagrywana przez setki tysięcy młodych ludzi (zachodnich płyt ani gazet muzycznych nie było w sklepach). Stąd wielka popularność takich audycji jak „Mój magnetofon”, „Muzyczna pocztka UKF” i prowadzonego od 1968 r. „Minimaxa” Piotra Kaczkowskiego. Na koniec słownej zapowiedzi padała wylicznika „Trzy, dwa, jeden – start”, tak by idealnie wcisnąć w magnetofonie klawisz zapisu.

W Trójce wyłoniła się elita młodych prezenterów (najstarszy miał w 1970 r. 31 lat), którzy podzielili się strefami rockowych wpływów. Upraszczając i pomijając kilka nazwisk – Witoldowi Pogranicznemu przypadła scena krajowa, Marek Gaszyński prezentował zachodnie przeboje, Dariusz Michalski – tuzów socjalistycznego rocka, Wojciech Mann – rocka i bluesa, Jerzy Kordowicz – muzykę elektroniczną, Korneliusz Pacuda – country, a Janusz Kosiński był wolnym elektronem.

Twórczość Boba Dylana, Franka Zappya i Captaina Beefhearta do tej pory jest w Polsce mało znana

Największą gwiazdą muzycznej Trójki został Piotr Kaczkowski. Pierwszy grał najbardziej „gorące” albumy i stał się rzecznikiem nowatorskich form muzycznych nazwanych rockiem progresywnym.

Pierwszym muzycznym prezenterem radiowym, który głosem elektryzował słuchaczy, był Lucjan Kydryński. Młody socjalistyczny inteligent, a jeszcze bardziej jego żona byli oczarowani. Pan Lucjan, będąc niedoścignionym wzorem dla każdego radiowca, niestety w dobie Beatlesów wciąż prezentował tradycyjne piosenki włoskie, francuskie i utwory jazzowe. Nie mógł zatem zostać guru młodego pokolenia.

Kaczkowski, wzorując się na mistrzu, stworzył własny radiowy świat. Był

niezmiernie kompetentny, bezbłędnie wymawiał angielskie nazwy i rozumiał, że w radiu najważniejsza jest magia. Opowiadał o emocjach, jakie wywołują nagrania, robił pauzy, wzdychał i czarował określeniami w rodzaju: „jazda obowiązkowa”, „ładnie grali, panie doktorze”, „muzyka z oklaskami”... Po zakończeniu prezentacji longplaya następowała wystudiowana cisza, po czym frapujący głos oznajmiał: „I tak kończy się ta płyta”. Wszystko, co prezentował, było niezwykle, wspaniałe, ponadczasowe. W odróżnieniu od radiowych kolegów nie ciągnęło go do telewizji, dzięki czemu jego wizerunek był prawdziwą zagadką. Stał się bogiem rockowego eteru.

Jego słuchowiska słowno-muzyczne miały taką siłę rażenia, że wykonawcy drugoplanowi (Wishbone Ash, Uriah Heep, Camel, Procol Harum, The Alan Parsons Project) lub wręcz marginalni (UK, Budgie, Red Box) stawali się uosobieniem rockowej sztuki. Brzmi to jak bluźnierstwo, ale proszę sprawdzić, które miejsca na listach sprzedaży zajmowały w Anglii albumy tych wykonawców. A były to czasy, kiedy progresywne gwiazdy (Yes, EL&P, Jethro Tull, Pink Floyd) okupowały szczyty tych samych zestawień, sprzedając miliony longplayów. „Tutaj nie chodzi o komercję, tylko o wybitnych twórców!” – już słyszę ripostę. Doprawdy? Dlaczego więc fani nie poznali w dostatecznym stopniu dorobku zespołów Henry Cow, Soft Machine, Gong, Can, Neu!, Faust i Magma, które rzeczywiście były wówczas uosobieniem awangardy?

A czy nie było bluźnierstwem, że dla ówczesnego polskiego fana rocka nic nie znaczyli wykonawcy pokroju Neila Younga, Bruce’a Springsteena, Lou Reeda, Iggy’ego Popy oraz czarnoskórzy artyści tacy jak James Brown, Marvin Gaye, George Clinton, Sly Stone, a nawet Bob Marley, który zyskał u nas sławę dopiero po śmierci? Co więcej, twórczość Boba Dylana, Franka Zappya i Captaina Beefhearta jest do tej pory w Polsce mało znana.

Zamiast twórców, którzy zmieniali bieg historii, poznaliśmy dogłębnie dokonania progresywnych koszmarek w rodzaju Kansas, Foreigner, Styx i Rush. Również niektórzy wykonawcy brytyjscy, z tych pierwszoplanowych, tylko przemykali na antenie. Wystarczy wymienić The Who, Roxy Music, Vana Morrisona i Davida Bowiego.

Nasi prezenterzy byli tak upojeni samymi sobą, że nie dostrzegali, iż

W 1976 r. rozpoczęła się rockowa rewolucja. Punk rocka potraktowali jako młodzieńczy trądzik, a dodatkowo otrzymali alibi od swojej szefowej, Krystyny Kępskiej, która zakazała prezentacji niegodnej muzyki. Tyle że oprócz trzyminutowego jazgotu równolegle powstawały wybitne albumy Patti Smith, Television, Pere Ubu, Residents, Wire, Magazine i dziesiątków innych wykonawców, które były progresywne w dosłownym słowa tego znaczeniu.

Pierwszy cykl poświęcony nowej muzyce pojawił się na antenie radiowej Trójki dopiero w 1979 r. Audycja „Wokół nowej fali” autorstwa Macieja Góralskiego

i... ponownie wytyczał na antenie nowe ścieżki. Ku jego radości w połowie lat 80. pojawiła się neoprogresja, której liderem był brytyjski Marillion. Z perspektywy rodzimych radioodbiorników wydawało się, że wszystko wróciło na ustalone tory. Nic bardziej mylnego.

Świat żył już hip-hopem, do głosu doszła amerykańska alternatywa, której przewodzili: R.E.M., Sonic Youth i nowa gwiazda 4AD, bostońska formacja Pixies. Niestety, nasi prezenterzy zauroczeni mrocznymi klimatami Cocteau Twins, Dead Can Dance, The Cure i szmirami w rodzaju Ultravox znowu zostali w dołkach. W kolejnych latach przegapiono

amerykański pop i Davida Bowiego. Inna sprawa, że – jak przyznał brytyjski artysta – akurat wówczas złapał wirusa „phil-collins” i jego muzyka osiągnęła dno. W przypadku Niedźwieckiego choroba zakaźna miała euforyczny charakter i dzięki temu mogliśmy rozkoszować się dokonaniem grupy Toto, Lionela Richiego i Dana Fogelberga, a w ostatnich latach tandetą smoothjazzową.

Trzecią największą osobowością muzycznego radia był Tomasz Beksiński. To pilny uczeń audycji Kaczkowskiego, ale jako osobnik nadwrażliwy i emocjonalnie niedojrzały rozwinął antenową konwencję mistrza, przeistaczając magię



Radiowa gwiazda Marka Niedźwieckiego rozbłysła w stanie wojennym FOT. KRZYSZTOF WOJDA/REPORTER



Piotr Kaczkowski sprawiał, że marginalni wykonawcy w Polsce stawiali się uosobieniem rocka FOT. CAF/PAP

i Marka Wiernika nadawana była raz w tygodniu. Piotr Kaczkowski początkowo zignorował nowe muzyczne zjawisko i tylko okazjonalnie prezentował wykonawców tego kierunku. Jak podaje strona Minimax.info, w 1978 r. w audycji „Minimax” przedstawił trzy płyty nowofalowe, a w następnych dwóch latach już tylko po jednej. W końcu w 1982 r. objawił słuchaczom, że zespół The Clash wielkim jest i przez kilka audycji celebrował czwarty album grupy – „Sandinista”. Spóźnił się z premierą o półtora roku, ale i tak był to ważny sygnał dla słuchaczy. W końcu mistrz mikrofonu odkrył, że w ramach nowej fali istnieją wykonawcy budujący kariery na podobnych emocjach co jego progresywni idole. I tak stał się rzecznikiem wytwórni 4AD, pokochał U2, Waterboys, Talk Talk

manchesterską scenę rave, narodziny grunge’u i techno, nową elektronikę.

LISTA

W stanie wojennym bojkotowano telewizję, co tym bardziej zwróciło masę ku radioodbiornikom. W Trójce rozbłysła gwiazda Marka Niedźwieckiego, który był głosem „Listy Przebojów”. Wykonawca, którego piosenka trafiła na „Listę”, natychmiast stawał się gwiazdą.

Niedźwiecki jest urodzonym radiowcem. Ma łagodny, wzbudzający sympatię głos, nigdy się nie wywyższa, słucha rozmówców i używa pięknej polszczyzny. Szkoda tylko, że muzyka, którą naprawdę kocha, pasuje idealnie do spotkań u cioci na imieninach. To jednak on, w końcu, przybliżył polskiemu słuchaczowi

w tragiczną rzeczywistość. Jeśli bowiem dla Kaczkowskiego radio było teatrem, to Beksiński, przekraczając próg radiowego studia, wkraczał w krainę własnej wyobraźni, spełniając swoją wizję idealnego świata. To nie były zwykłe audycje, to były muzyczne msze, a ponieważ ich głównymi odbiorcami były nastolatki, ich armia rosła logarytmicznie. Beksiński pojawił się w Trójce dopiero w 1991 r. Wcześniej, przez sześć lat, w Dwójce w audycji „Romantycy muzyki rockowej” promował jeden z najbardziej kiczowatych nurtów muzycznych, czyli new romantic. Jako wielbiciel horrorów w naturalny sposób pokochał również nowofalowego gotyckiego rocka, do tego dodał klasyków rocka progresywnego i całość okraszył własnymi wybornymi tłumaczeniami tekstów

prezentowanych piosenek. Wedle tej receptury powstała audycja idealna – jego autorska wersja „Trójki pod księżycem” (program prowadziło na zmianę kilku prezenterów). Ponieważ najbliższy sercu każdego ze słuchaczy jest kicz uderzający w słabe struny naszych osobowości, Tomasz stał się bogiem zagubionych, ale też nadwrażliwych nastolatów. One szukały radiowego Dionizosa, on idealistycznej miłości. W konsekwencji doszło do samobójczej śmierci Beksińskiego.

TO, CO JUŻ ZNAMY

Z myślą o trójkowych wyznawcach klasycznego rocka w 1994 r. powstał Top Wszech Czasów, który jest prezentowany raz w roku przez cały dzień. Filip Łobodziński tak skomentował na Facebooku wyniki ostatniej, 22. edycji:

„To zestaw, który niewiele mówi o dokonaniach w dziedzinie muzyki rozrywkowej, za to dużo o wrażliwości muzycznej głoszących Polaków. Pierwsze miejsce okupuje »Brothers in Arms« Dire Straits. To niewątpliwie ładna kompozycja, ze smakiem wykonana i wyprodukowana, ale PRZEBÓJ? Wszech czasów?? [...] Z dorobku poszczególnych wykonawców najwyżej lądują utwory wcale nie te najbardziej przebojowe czy fajne, ale – RZEWNE. Bo cóż można sobie myśleć, skoro z The Doors najwyżej plasują się »Riders on the Storm« [...]. Co można myśleć, skoro w setce pojawia się JEDNO nagranie Rolling Stonesów i jest nim, pardon, »Angie«? Bob Marley ma tylko jedną piosenkę, »No Woman, No Cry«. Jedną, i to kower (»Hey Joe«), ma też Jimi Hendrix. Jedną Simon & Garfunkel (»The Sounds of Silence«). Bob Dylan też musi się zadowolić jedną piosenką, którą wcale nie jest ani »Like a Rolling Stone« (w pierwszej trójce singli wszech czasów w wielu notowaniach światowych) ani nawet »Blowin' in the Wind«, tylko ładne, ale wcale nie tak ważne »Knockin' on Heaven's Door«. Obecność w pierwszej dziesiątce »Child in Time« Deep Purple, czyli utworu, gdzie wokalista nieprzytomnie wyje i niemięsko popiskuje, też jest symptomatyczna. [...] Ale – mało, że »Child in Time« zaszło tak wysoko, to jeszcze w fantastyczny sposób zdystansowało jeden z fundamentów zachodniej muzyki rockowej, czyli »My Generation« The Who. Bo tego ostatniego numeru W OGÓLE NIE MA. Nie ma też zresztą ŻADNEGO KAWAŁKA THE KINKS, DAVIDA BOWIEGO, THE CLASH CZY VELVET UNDERGROUND, JAMESA BROW-

NA, STEVIEGO WONDERA CZY MARVINA GAYE'A. NIE MA TEŻ ŻADNEJ PIOSENKI ELVISA PRESLEYA. Jest to kraina spustoszona przez PRL. [...] Pozostaje zacytować zakończenie, wciąż aktualne, legendarnego opowiadania Sławomira Mrożka »Z ciemności«: »A nie mówiłem, że u nas inna specyfika?«».

Zgadając się z Łobodzińskim, nie winiłbym słuchaczy. Jeśli w radiu na okrągło leci »Child in Time«, a do tego jest tylko jeden kanał z muzyką rockową, to nawet tym, którzy tego nie chcą, utwór i tak zapadnie w pamięć na całe życie.

W kontrze do Top Wszech Czasów przytoczę listę najlepszych albumów sporządzoną w 2005 r. przez krytyków »Rolling Stone'a« – najsłynniejszego magazynu muzycznego.

W pierwszej dziesiątce znalazły się cztery albumy The Beatles, ale pozostałe płyty z pewnością nie pojawiłyby się w polskim rankingu. Są to: »Pet Sounds« Beach Boys (2. miejsce), »Highway 61 Revisited« (3.) i »Blonde on Blonde« (9.) Boba Dylana, »What's Going On« (6.) Marviniego Gaye'a, »Exile on Main Street« (7.) Rolling Stonesów i »London Calling« (8.) The Clash. W zestawieniu, które obejmuje 500 pozycji, nie ma ani jednego albumu Genesis, Emerson, Lake & Palmer, Yes, King Crimson, Deep Purple, Moody Blues, Procol Harum, Kate Bush, The Cure, Cocoteau Twins... Tylko po jednym krążku i na odległych pozycjach uplasowali się: Queen (226), Jethro Tull (333), Depeche Mode (338) i Dire Straits (347). Pink Floyd, najbardziej sławiony zespół nad Wisłą, ma cztery albumy w zestawieniu, tyle że najwyżej notowany »The Dark Side of the Moon« zajął dopiero 43. miejsce. Amerykańscy fachowcy uhonorowali natomiast po 10 płyt The Beatles, Boba Dylana i The Rolling Stones. Docenili osiem krążków Bruce'a Springsteena, siedem The Who, po sześć Davida Bowiego, Eltona Johna oraz Lou Reed, licząc w tym dzieła Velvet Underground. O jedno mniej mają w zestawieniu: Led Zeppelin, Bob Marley, U2 i Neil Young.

Tej muzycznej wyrwy nie da się już dziś wypełnić. Pokolenia wychowane na Trójce i tak będą wielbić tych, których poznali w okresie dorastania. A dla dzisiejszych nastolatków muzyka jest tylko jednym i już nie najważniejszym elementem rzeczywistości. Rock w XXI w. przestał być motorem napędowym popkultury i musimy się z tym pogodzić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LITERSKI
DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 zł



PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 8 stycznia 2017 r.

1. **Polscy Bohaterowie**
39,00 zł
25,00 zł
2. **POLSKIE PODZIEMIE W OCZACH WROGA**
34,90 zł
24,90 zł
3. **JÜRGEN ROTH SMOLEŃSK 2010**
SPISEK KTÓRY ZMIEŃLI ŚWIAT
45,00 zł
33,90 zł
4. **WOJŃ**
49,90 zł
34,90 zł
5. **W.E.B. GRIFFIN**
ARCYSZPIEDZY
39,00 zł
26,90 zł

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

Dla charyzmatycznego ojca Augustyna Pelanowskiego, paulina, sprawa jest jasna. To Boży znak. W apokaliptycznych rekolekcjach, wydanych pod tytułem „Nie ma już czasu!”, w okrutnym proroczym uniesieniu głosi:

„Krzysztof Globisz czytał »Golgota Picnic« i jakimś »przypadkiem« trzy tygodnie później dostał udaru mózgu w czasie czytania – nomen omen – »Martwych dusz« Gogola. Nazwisko Gogola to nie to samo co Gulgota, ale jedno jest pewne, aktor dziś ma trudności z wystawianiem się, a jego wypowiedzi są raczej bez znaczenia. Zapewne dla współczesnego człowieka żaden to znak, jedynie czysty przypadek, bo życie nie ma znaczenia, a więc nie ma w nim żadnych znaków. Cóż jednak by powiedziała sama Opatrzność Boga? Czy Opatrzność może zyskać tak tragiczne wypadki, skoro jest objawieniem miłosierdzia? Tak, istnieje bowiem ludzie, którzy dopiero w wielkim dramacie są zdolni dostrzec znaki ostatecznego ostrzeżenia. Do niektórych ludzi już nic nie przemawia prócz cierpienia”.

Ojciec Pelanowski, wyraźnie niepomyślny Księgi Hioba i potępienia przemądrzałych przyjaciół dotkniętego cierpieniem sprawiedliwego sługi, pisze, jakby na ziemi obowiązywała prosta matematyka winy i kary. Za bluźnierstwa rozbawionych aktorów, wykrzykujących w twarz obelgi moherowym babciom, rozmodlonym dziadkom, należy się kara i ta kara spada w najzdolniejszego z nich, wspierającego szydercze spektakle, swym kunsztem legitymizującego dewastację narodowej sceny.

Czy swoich ostrych słów nie wstrzymałby, widząc ludzki wrak, jakim stał się krakowski aktor? Czy nie wycofałby mocnych słów po obejrzeniu widowiska „Wieloryb. The Globe”?

Bo oto właśnie na deskach nowohuckiego teatru Łaźnia Nowa dwie uczennice tego aktora i pedagoga – Marta Ledwoń i Zuzanna Skolias oraz akompaniujący jej brat Antonis Skolias wraz z czeską reżyserką Evą Rysową, podjęły się realizacji spektaklu, w którym wciąż niepełnosprawny Globisz obsadzony został w głównej tytułowej roli.

Po koncertach związanych z kwestą na leczenie i utrzymanie Krzysztofa Globisza, po włączaniu go w różne akcje, wożeniu na wózku inwalidzkim w spektaklu „Podopieczni”, zaistnieniu w niemieckiej



Andrzej Horubała

To wydarzyło się 18 lipca 2014 r. Udar mózgu i Krzysztofa Globisza, znajdującego się u szczytu powodzenia aktora krakowskiego Starego Teatru, dotykają paraliż i afazja



roli artysty podlizującego się Pierwszemu sekretarzowi w filmie Macieja Pieprzycy „Jestem mordercą” przyszła premiera dramatu, w którym Globisz gra rolę wymagającą o wiele większego wysiłku niż pomachanie dłonią czy przejazd wózkiem. Partyturę napisał mąż jednej z aktorek – Mateusz Pakuła wykorzystując bajeczki opowiadane przez Globisza oraz fragmenty jego wywiadu rzeki sprzed kilku lat.

BEŁKOT I SKOWYT

Wchodzi więc przed nas Krzysztof Globisz niezdarnie, ubrany jak zeszłowieczny elegant, w kamizelce i surducie, wspierając się na stylowej lasce ze srebrną rączką, a my wypatrujemy śladów cierpienia, sprawdzamy, jakie to spustoszenie poczynił wylew, rejestrujemy, że ledwie powłóczy prawą nogą, że aby wzniesć prawą rękę, musi pomagać sobie lewą. Dyryguje najpierw muzyką, wprowadza temat muzykofilii, zdaje się demiurgiem sztuki, ale potem, ułożony na kanapie staje się bezwolnym obiektem aktorskiego ogrywania przez dwie młódki.

Gdy wypowiada przypisane mu kwestie, widzimy jak wielkie problemy ma z artykulacją, jak nie panuje nad twarzą, poprawia sobie nawet dłonią prawy kącik ust, próbuje śpiewać, jak wpada w niezrozumiałe bełkot. Rozwierkane, rozdokazywane dziewczęta – uczennice Globisza, które wespół z obsługującym instrumenty muzyczne – Antonisem Skoliasem tworzą ramę spektaklu, irytując nieco swymi popisami młodzieńczego

aktorstwa, z nierzadko grafomańskimi tekścikami, pełnymi raz pompatycznymi tropów poczynając od tytułowego szekspirowskiego The Globe, a po chwili z jakimiś blahymi banalnymi skojarzeniami z internetowego śmietniska. Wcielają się w rolę a to aktywistek Greenpeace, a to współczesnych kobiet mających problemy z macierzyństwem, a to popisujących się wokalistek pop, opowiadają o swych snach, marzeniach, raz po raz uruchamiając luźne skojarzenia (pojawia się nawet Lewiatan przywołując subtelnie Księgę Hioba), ale przecież robią ważną rzecz, asystując Globiszowi, pozwalając mu na wejście raz jeszcze w rolę aktora.

Publiczność zostaje zaopatrzona w słuchawki z napisami „Silent Disco”, przez co każdy odseparowany dźwiękowo od innych zostaje dopuszczony indywidualnie do misterium cierpienia.

Globisz gra wieloryba. Na wiele sposobów. Leży na kanapie, daje się polewać wodą, przy pomocy dziewcząt zdejmując spodnie i zanurza gołe stopy i łydki w akwarium z rybkami. Śledzi tuwimowskie przygody Pana Maluśkiewicza szukającego tego wielkiego płetwała, słucha ścieżki dźwiękowej filmu „Gdzie jest Nemo?”, w którym dubbingował Marlina – bohaterskiego ojca psotnej rybki. I my słuchamy niezrównanego głosu aktora sprzed lat i zdajemy sobie sprawę, że proste podstawowe wzruszenia, jakie serwuje disnejowska produkcja, nie zdarzą się tu tak łatwo, że cierpienia Globisza nie da się tak łatwo zmienić w kojącą bajkę dla dzieci. W tym słuchaniu dawnej znakomitej roli trochę



FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

cierpiący

jest ze wspomniania minionej świetności, ale twórcy spektaklu nie forsują tego szlaku, zostawiając tę sferę świadomości widzów.

A Globisz? Gra siebie i jest sobą. Do- bywa z siebie – niby w roli jako wieloryb, ale i prywatnie – skowyt. Wyje i jęczy z rozpaczy, beznadziei i złości.

Owszem, poza nieartykułowanymi dźwiękami jest w stanie wypowiadać całe zdania, mówi, często niezadowolony z bełkotliwej artykulacji, poprawiając się, często niecierpliwie, czy też raczej gra zniecierpliwienie, rzucając gniewne i szybkie jak wystrzał z pistoletu: „kurwa”. Powtarza wyrazy składające się na jakąś idiotyczną absurdalną bajeczkę, uśmiecha chytrze, uśmiechem psotnego dowiecplisnia.

WSZYSTKO TO TEATR

Przedstawienie, jakie tworzy, angażuje na wiele sposobów. Wciąga nas, zmuszając do wzmożonej uwagi: natężamy słuch, by z nie do końca składnych dźwięków i sygnałów łowić znaczenie, każe śmiać się z dowcipów – absurdalnych wynikających ni to ze specyficznego poczucia humoru, ni z niesprawnego mózgu, łączącego przypadkiem odległe przestrzenie. Serwuje bajeczki-sny, pozornie pozbawione logiki i sensu. Uśmiecha się triumfalnie niczym szalenię podający za puentę coś absurdalnego, tłumaczącego się przez niemądrą logikę choroby.

A my, każdy odizolowany słuchawkami, ale słyszący siebie nawzajem, słyszący wybuchy śmiechu sąsiadów,

którzy nerwowo niemądrze (?) reagują... Wychylamy się niemal ku Globiszowi jak rodzina zebrana u wezłowią chorego, usilnie pragnąca odnaleźć w jego zachowaniu symptomy ozdrowienia, próbująca wyłapać elementy jakiejś logiki, spójności. Wpatrzeni w usta, scalający gesty: Globisz rysuje coś na folii prześwieclanej przez żarówkę rzutnika, serwuje nam jakoweś rebusy, zlewając farby, tworzy jakoweś dzieła sztuki, jakby poszukiwał formy, w jakiej mógłby w pełni – mimo ułomności – się wypowiedzieć. Dziewczątka krzążą się, wypełniają partyturę napisaną przez męża jednej z nich, a to sadzają Globisza przy stole, by uczestniczył w jakimś ułomnym talk show, w którym rezolutna zdrowa i higieniczna dziennikarka cytuje jego wypowiedzi z wywiadu rzeki, które uzyskują teraz głębsze wstrząsające znaczenie. Rozważania o afazji, o znaczeniu aktorstwa, o chęci wcielenia się w Kaspára Hausera. Męczymy się razem z Globiszem, razem z nim staramy się o sens. Czasem przez grymas niepełnosprawności przeziara dawny szelmowski uśmiech aktora, który fantastycznie na scenie budował dystans wobec budowanej postaci.

A przecież – przypomina nam o tym wyświetlane na plazmach tłumaczenie na angielski – to wszystko teatr. Globisz nie improwizuje, tylko gra napisanym wcześniej tekstem. Całość wszak jest wyćwiczona, przetrenowana. A więc gra. I te niecierpliwie „kurwy”, jakimi ubarwia swe mocowanie z artykulacją, i te żarciki – wszystko to tylko teatr, wszystko to obliczone na efekt.

Jednak chcemy dać się wciągnąć. I spektakl ten, pokazywany w teatrze Łaźnia na rozpoczęcie festiwalu Boska Komedia, wiemy to, przekracza ramy teatru, a jednocześnie przez swoje nedorobienie, intelektualną i artystyczną niedojrzałość, jest niedoteatrem, niedosztuką. Tekst i gra aktorów są na poły amatorskie, spektakl opiera się jednak na pewnym szantażu emocjonalnym, cokolwiek mówiliby twórcy i jakkolwiek zagłuszałoby i zakłamywałoby swoje reakcje widzowie. Bo jest to benefis dla aktora obezwładnionego, szukającego formy ekspresji, którą zostawił mu wyniszczający udar. Gra na organkach, malowanki czy charczenie à la Joe Cocker w bitelsowskim songu „With a Little Help from My Friends”, bez względu na to, co piszą życzliwi recenzenci, jest nędznym odbłaskiem dawnej formy Globisza, jest smutnym dowodem jego niesprawności. Odchodzimy od jego łoża boleści, wzajem pocieszamy się, że nie jest tak źle, ale zostawieni sami sobie, wybuchamy szloch, bo ujrzeliśmy człowieka będącego cierpieniem samym, wyniszczonego przez chorobę, stawianego siłą na nogi.

Owszem, opowieść o tym, jak spisany przez lekarzy na straty, jak bezwzględnie oceniany, że „tam, w środku, już nic nie ma”, nagle zaprzeczył tym diagnozom, gdy masowany przez żonę, Agnieszkę, przedrzeźniającą Wietnamkę od akupunktury z „Dnia świra” i pytającą: „Czuję?”, wybuchnął śmiechem, nawiązując kontakt z otoczeniem, otóż, zgoda, powoduje to wzruszenie, ale jednocześnie nie damy się oszukać: człowieka niepełnosprawnego opakowano w ramy, w których udawać ma artystę, panującego nad ekspresją, a przecież jest to obwożenie kogoś, kto bardziej niż na podziw zasługuje na głębokie współczucie. Wpisane w scenariusz przekleństwa, te pojawiające się co jakiś czas „kurwa” zamiast „Jezu”, skracają niby dystans, pokazują Globisza jako jednego z nas, dziarsko walczącego z chorobą, bawią, ale wszystko to na nic, wszystko to nie zbliża do tajemnicy cierpienia, pozostając na poziomie odwiedzin w szpitalu u sparaliżowanego bliskiego. Rozumiem, że zawodowi recenzenci teatralni uczestniczą w tej zмовie nieszczerości, gratulując Globiszowi wspaniałej roli, ale czy to jest do końca uczciwe? Wielkiej sztuki w tym nie ma, jest ogrom cierpienia, olbrzymi wysiłek, męka. I ku niebu wyrwa się skarga i modlitwa za Krzysztofa Globisza.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIEŚLAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Góralu, czy ci nie żal?



★★★★★
REŻ. EMILIO MARTÍNEZ-LÁZARO
„HISZPAŃSKI TEMPERAMENT”
(„OCHO APELLIDOS VASCO”)
HISPANIA 2014

wyst. Karra Elejalde,
 Clara Lago, Carmen
 Machi, Dani Rovira

To komedia romantyczno-terapeutyczna. Pobiła rekord frekwencji, bo leje miód w serca rodaków Don Kichota, zgnębionych gospodarzy i polityczną zapaścią kraju.

Fabulę trudno nazwać wymyślną. Sewilczyk Rafael, święcie przekonany, że przygodnie spotkana Amaia jest kobietą jego życia, godzi się wziąć udział w mistyfikacji – udaje baskijskiego absztyfikanta. Żeby zrozumieć komizm tej sytuacji, trzeba wiedzieć, że geograficzna odległość między tymi regionami jest niczym wobec mentalnej przepaści dzielącej ich mieszkańców. Andaluzyjczycy uchodzą za narcyzów i nygusów, na których północ musi pracować.

Z kolei Baskowie mają opinię narwanych nacjonalistów, dla których nawet stolica autono-

mii, Vitoria, leży za bardzo na południu.

Jazda na stereotypach popłaca, o czym wiadomo co najmniej od premiery francuskiej komedii „Jeszcze dalej niż północ” oraz książek Stephena Clarke’a (tego od „Merde!”). „Hiszpański temperament” został już zresztą przyćmiony przez sequel, w którym bohater musi stawić czoło katalońskim irredentystom.

Pojawia się oczywiście pytanie: Dlaczego nasi filmowcy, zwykle tak chętni do kserowania sprawdzonych recept na sukces kasowy, dotąd nie sprokurowali fabuły o trudnej miłości Galicjanina i Kaszubki? Podejrzewam, że ze strachu.

Regionalizmy są u nas politycznie podejrzane. Ślżacy ponoć wciąż łypią tęsknie w stronę Rzeszy, choć z Katowic do Zgorzelca jest aż 300 km w linii prostej. Łemkowie

to – jak wiadomo – zakamuflowana opcja ukraińska. Bogobojni mieszkańcy Podhala mają na sumieniu epizod Goralenvolku. Pocziwość Podlasiaków ograł już prezes Jacek Bromski. Zresztą dawne podziały uległy zamazaniu, o czym świadczy to, że Radom mógł bezkarnie znaleźć się na Mazowszu, a brandenburski Landsberg przemalować się na Gorzów Wielkopolski.

Po wojnie Rzeczpospolita stała się państwem narodowo i religijnie dość jednolitym, a miliony ludzi doświadczyły wykorzenienia. Doszło do takiego wymieszania ludności, że lokalna tożsamość przetrwała jedynie w izolowanych enklawach.

Można sobie natomiast wyobrazić polską komedię bazującą na sąsiedzkich kwasach. Jak wiadomo, mieszkańcy Gdańska nie przepadają za gdynianami, Bydgoszcz drze koty z Toruniem, Słupsk z Koszalinem. A wszyscy razem nie znoszą cwaniaków ze stolicy. Animozyje wychodzą na jaw głównie w czasie zawodów sportowych. Mniemam, że komedia, w której kibic Legii Warszawa zapalałby nagłym afektem do ultrasa Lecha Poznań, mogłaby narobić sporo zamieszania. Pomysł odstępuję za darmo, lecz sam nie chciałbym oglądać czegoś takiego ani w kinie, ani w realu. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED”

Gwiazdorska obsada to pierwsze, co zwraca uwagę w filmie inspirowanym serią popularnych gier. Po latach negocjacji i preprodukcji „Assassin's Creed” trafia do kin, by opowiedzieć nową historię w świecie znanym z ekranu komputera, a także komiksów i książek. Wraz z bohaterem widać cofa się (dzięki specjalnemu urządzeniu

wykorzystującemu pamięć genetyczną) do czasów hiszpańskiej inkwizycji i bierze udział w odwiecznej walce asasynów z templariuszami. ©© **Piotr Gocięk**

• „Assassin's Creed”, reż. Justin Kurzel, wyst. Michael Fassbender, Marion Cotillard, Jeremy Irons, USA 2016

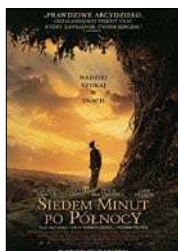
DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Sing”, reż. Garth Jennings, USA 2016
- „Józef i Maryja” („Joseph and Mary”), reż. Roger Christian, Kanada 2016
- „Po prostu przyjaźń”, reż. Filip Zylber, Polska 2016
- „Paterson”, reż. Jim Jarmusch, Francja/USA 2016

Sen, brat śmierci

Chwytająca za gardło opowieść o końcu dzieciństwa i utracie niewinności. leżć wspólnego języka, z ojcem – letkiewiczem – widuje się od wielkiego dzwonu.

13-letniego Conora dręczą koszmary o zapadającym się cmentarzu i potworze, który po północy wyłania się z pnia wiekowego cisu. Monstrum ze względu na imponujące rozmiary ma skłonność do demolki, lecz jego specjalność to dziwne historie. Wynika z nich, że prawda często wydaje się kłamstwem, wiedźma może być niewinna, zaś morderca czasem unika kary. Na jawie jest jeszcze gorzej. Conor, poniewierany przez szkolnych rówieśników, mieszka z chorą matką. Z kostyczną babcią nie umie zna-



★★★★★
REŻ. JUAN ANTONIO BAYONA
„SIEDEM MINUT PO PÓŁNOCY” („A MONSTER CALL”)
HISZPANIA/USA 2016

wyst. Lewis MacDougall, Felicity Jones, Sigourney Weaver, Toby Kebbell

Hiszpański reżyser w angielskich plenerach kręci film za amerykańskie pieniądze? W zbliżonych okolicznościach 15 lat temu powstał mój ulubiony horror – „Inni”. Amenábar od tej pory strasznie podupadł, za to Bayona wreszcie przestał się dobrze zapowiadać i dołączył do najlepszych. Owszem, „Siedem minut po północy” to ekranizacja znakomitej powieści, lecz z balansowaniem na krawędzi dramatu i okrutnej baśni lepiej nie poradziłyby sobie nawet mistrz Guillermo del Toro. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BITWA BĘKARTÓW

Szesty sezon „Gry o tron” wyprzedza już poważnie fabułę znaną z powieści George’a R.R. Martina, wyjaśniając wiele tajemnic. Czy Jon Snow zginął na dobre, czy zostanie wskrzeszony? Na kim ostatecznie oprze się Daenerys i czy uda jej się wyruszyć na podbój Westeros? Czy resztki rodu Starków (Rickon, Arya, Sansa) zostaną wygubione, czy może komuś uda się przetrwać? To sezon punktów zwrotnych dla większości postaci, z Cersei Lannister na czele. Uważnie trzeba też śledzić retrospekcje – wizje przeszłości, które sekrety poznaje przebywający poza Murem okaleczony Brandon. Jak w każdym sezonie mamy też jeden odcinek nakręcony ze szczególnym rozmachem – tu jest to część dziewiąta, czyli „Bitwa bękartów” o panowanie nad Winterfell. Warto przy tym wspomnieć, że sezon kolejny (siódmy) pojawi się w HBO nie jak zwykle wiosną, lecz dopiero latem i będzie miał siedem odcinków zamiast tradycyjnych 10. ©©



wyst. Peter Dinklage, Lena Headey, Emilia Clarke

★★★★★
„GRA O TRON” („GAME OF THRONES”)
SEZON 6
USA 2016, GALAPAGOS

TAKIE BRZYDKIE SAMOBÓJSTWO

Największe rozczarowanie roku 2016, czyli kinowa wersja komiksu stanowiącego jeden z najbardziej niepoprawnych spin-offów opowieści o Batmanie. Główny pomysł zapożyczony jest z „Parszywej dwunastki” – tyle że tutaj zamiast żołnierzy z karnej kompanii do wykonywania samobójczych misji deleguje się nadzwyczaj uzdolnionych łotrów z grona pokonanych i schwytanych przez Batmana. Rząd bowiem, jak wiadomo, jest wstrętny i nie cofnie się przed niczym, a ponadto przeciw niebezpieczeństwom nieortodoksyjnym najlepiej wykorzystać nieortodoksyjne metody. Wyszedł z tego bardzo sztamowy film akcji, przewidywalny i pozbawiony czarnego humoru, który napędzał komiksowy oryginał i ocalał np. ekranizację „Deadpoola”. Los większości postaci kompletnie nas nie obchodzi, a główny przeciwnik – magiczne moce organizujące podbój Ziemi – wywołuje głównie pusty śmiech i poczucie lekkiego zażenowania.



wyst. Will Smith, Jared Leto, Margot Robbie

★★★★★
REŻ. DAVID AYER
„LEGION SAMOBÓJCÓW” („SUICIDE SQUAD”)
USA 2016, GALAPAGOS

©© recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO RUN”

W świecie elektronicznej rozrywki można obstawiać w ciemno, że jeśli na grze widnieje stempel Nintendo, to będzie to produkcja dopracowana w każdym calu i... zrobiona po swojemu. Po sukcesie „Pokemon GO” japoński gigant postanowił podbić również gatunek mobilnych platfor-

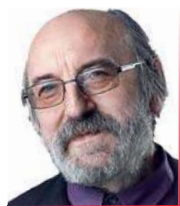
mówek, zabierając nas do dobrze znanej krainy hydraulika Mario. Czy zadanie to się udało? Moim zdaniem połowicznie. Sama gra, w której Mario nieustannie biegnie, a sterowanie odbywa się jednym palcem, ma w sobie magię serii oraz pewną świeżość, ale jest bardzo krótka (ok. 1,5 godz.)



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i droga (45 zł). Nie wiem, czy to dobre proporcje. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Platformówka
- **Platforma:** iOS
- **Producent, dystrybutor:** Nintendo/Nintendo
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Biblijne wróble

Zracji gabarytów (format 24 x 32 cm) i imponującej szaty graficznej (ponad 600 ilustracji) w tym wydaniu Pisma Świętego od razu widzi się potencjalny prezent. I słusznie, bo edytor przecież z tego powodu wydał ten przekład ksiąg biblijnych dokonany w końcu zeszłego wieku przez bp. Kazimierza Romaniuka w takiej, a nie innej formie. A jednak walorów tego wydania jest więcej, co już jest zasługą autora wstępu Andrzeja Mrozka oraz Macieja Mullera i Jakuba Grzymka, którzy sporządzili zwięzłe komentarze – kulturowe, historyczne i geograficzne, świetnie oddające istotę przedstawianych zagadnień.

A w trakcie czytania Biblii nasuwają się nam przecież rozmaite pytania. Na przykład jak to właściwie było z dziećmi, które – jak wiemy – garnęły się do Jezusa, a młodsze przynosiły do Niego rodzice, by je dotknął. Uczniowie Jezusa bronili jednak dostępu do Nauczyciela i wtedy to padły słynne słowa: „Zaprawdę powiadam wam: jeśli ktoś nie przyjmie królestwa Bożego jako dziecko, nie wejdzie doń”. I w tym miejscu możemy uzupełnić lekturę Pisma o „dziecięcy” komentarz, w którym czytamy: „Dla Żydów bezdzietność była nieszczęściem. Kobieta bezpłodna czuła się zhańbiona, traktowała to jako karę zesłaną przez Boga. [...] Żydzi darzyli swoje dzieci miłością, uważając je za dar Boży”. Dlaczego więc uczniowie Jezusa nie chcieli dopuszczać dzieci do swego mistrza? Ponieważ było to „podyktowane powszechnym przekonaniem, że do zbawienia konieczna jest znajomość Prawa Mojżeszowego”.

To samo Prawo Mojżeszowe usuwało trędowatych poza daną społeczność, a celnikami gardzono, gdyż kolaborowali z Rzymianami, no i czerpali ze swojej dzia-

łalności niemałe zyski, co Żydom nie mogło się podobać. Kapłanów oburzyło natomiast wypędzenie przez Jezusa kupców w świątyni, gdyż pobierali oni procent od obrotów i byli żywotnie zainteresowani tym, by handel w domu modlitwy kwitł w najlepsze.

Towarzyszące tekstom Ewangelii komentarze i krótkie informacje bardzo pomagają w zrozumieniu tych fragmentów Pisma Świętego, których – co tu kryć – nie rozumieliśmy wcześniej lub nie zastanawialiśmy się nigdy nad nimi. Z Ewangelii św. Mateusza dowiadujemy się, jak to

Ze wstępu Andrzeja Mrozka dowiemy się, jak powstał Nowy Testament i jak kształtował się kanon Pisma Świętego

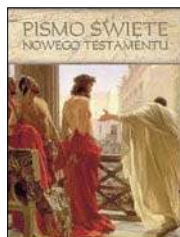
Jezus, wysyłając swoich uczniów na misję, pouczał ich: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, ale duszy zabić nie mogą! Bójcie się raczej Tego, który może wtrącić do piekła i duszę, i ciało. Czyż nie sprzedaje się dwu wróbli za jednego asa? A jednak żaden z nich nie spada na ziemię bez woli Ojca. A wy? Przecież wszystkie włosy wasze są policzone?”.

Cóż to za tajemniczy przelicznik wróbli na asy? Otóż wróble były w czasach Jezusa pożywieniem najbiedniejszych, a zaś to najdrobniejsza miedziana moneta. Niewykwalifikowany robotnik zarabiał dziennie denara, czyli 16 asów. W Rzymie za jednego asa można było kupić bochenek chleba, warty tyle – od biedy takie porównanie wydaje się dopuszczalne – ile dwa wróble.

Z kolei ze wstępu Andrzeja Mrozka dowiemy się, jak powstał Nowy Testament i jak kształtował się kanon Pisma Świętego. Znajdziemy odpowiedzi na pytania o biblijny obraz świata i człowieka, o to, jak liczono czas w Biblii, a wreszcie – co może najważniejsze – jak czytać Pismo Święte i jak je interpretować. I tutaj trzeba powiedzieć od razu: prawdziwość Biblii nie polega na jej historycznym przekazie, choć ten jest oczywiście też istotny, ale najważniejszym w Piśmie Świętym, tym, co stanowi o jego wyjątkowości, jest przesłanie od Boga, który – czytamy – „za pośrednictwem ludzkiego słowa i ludzkiej myśli mówi do ludzi”. Do nas.

Zaakcentowana została starożytna chrześcijańska metoda modlitwy biblijnej, w której chodzi nie tyle o wiedzę, ile o łączność z Bogiem, nie tyle o informację, ile o przemianę. Temu powinien służyć proces czytania, rozważania wybranego tekstu, wreszcie jego kontemplacji. Kolejność lektury jest w gruncie rzeczy dowolna, ale niewskazane jest przeskakiwanie z jednej Ewangelii do drugiej. Autor wstępu przypomina przy tym, że Apokalipsa to ostatnia księga Biblii chrześcijańskiej „i to miejsce jest dla niej właściwe – trzeba kończyć nią lekturę Nowego Testamentu”.

Pozostały sprawy, mogłoby się wydawać, oczywiste. Lekturze tekstu biblijnego zawsze powinna towarzyszyć modlitwa, w przeciwnym razie jego wartość będzie równa każdemu innemu tekstowi literackiemu, a przecież tak nie jest. I, co na pewno trzeba wpajać dzieciom, ale – jak się zdaje – nie tylko im: „Gdy zamierzamy czytać i modlić się Biblią, należy wyłączyć telewizor, wyciszyć komórkę, uspokoić emocje”. O to ostatnie najtrudniej. ©



★★★★★
„PISMO ŚWIĘTE
NOWEGO
TESTAMENTU”
WYDAWNICTWO
M,
KRAKÓW 2016



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Fandorin razy trzy

Erast Fandorin nie żyje, ale wrócił. Tak bywa z bohaterami popularnych serii detektywistycznych. Nie jest to jednak powrót tak dramatyczny jak w przypadku Sherlocka Holmesa, który cudem przeżył upadek do wodospadu Reichenbach. Boris Akunin dopisał do obszernej biografii znamienitego pogromcy przestępców kilka krótszych rozdziałów, których akcja rozgrywa się pomiędzy znanymi nam powieściami. I te trzy opowiadania wypełniają premierowy zbiór „Planeta woda”.

Tekst tytułowy pokazuje, jak ładnie potrafi Akunin grać konwencjami literatury popularnej, w tym przypadku podróznico-awanturycznej. Opowieść o tajemniczym przedsięwzięciu na wyspie Saint Constantine przypomina te powieści Juliusza Verna, w których główne role grali wywyższający się nad resztę ludzkości szaleni geniusze, potajemnie pracujący nad wynalazkami mającymi odmienić oblicze świata. Jednak Akunin mądrzejszy jest od Verna o doświadczenia XX w. i wie, że żaden zbrodnieć nie kombinuje samotnie, zawsze w tle są też intrygi mocarstw dzielących między siebie wpływy.

Kolejne teksty („Samotny żagiel”) to powrót

do innej konwencji, czyli przypomnienie, jak głęboko zanurzony jest Akunin w tradycji XIX-wiecznej powieści rosyjskiej. Tutaj Fandorin rusza na prowincję, gdzie samowola władzy jest bezgraniczna (czy dziś coś się zmieniło), a klimat opowiadania bardziej przywodzi na myśl inny cykl Akunina – ten o siostrze Pelagii.

Utwór najkrótszy jest jednocześnie najbardziej interesujący z punktu widzenia polskiego czytelnika, bo tu Erast prowadzi śledztwo w rozczłonkowanej przez zaborców Polsce (jest rok 1912), trafiając przy okazji na ślad knońców dobrze znanych nam rewolucjonistów – Lenina oraz Stalina. Niestety, nie docenia zbrodniczego potencjału obydwu gatunków. Jego nieomylna zazwyczaj intuicja tutaj zawodzi. A przecież z wcześniejszych książek wiemy, że Fandorin wyczuwał majaczący na horyzoncie historii mrok. Oczywiście nawet on nie mógł wiedzieć, jaki bezmiar zła zostanie ściągnięty na ludzkość za sprawą zawodo-

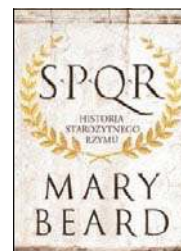
wych naprawiać światu. Jednak czy mogło być inaczej? Wszak historia potoczyła się, jak potoczyła, „Planeta woda” nie jest opowieścią alternatywną. Tymczasem jej autor wymierza widzialnemu światu sprawiedliwość w inny sposób – pisze serię książek historycznych o dziejach Rosji. ©



★★★★★
BORIS AKUNIN
„PLANETA WODA”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2016

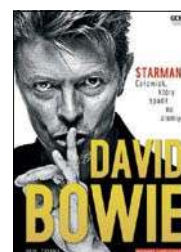
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Autorka znanej także w Polsce monografii „Pompeje” snuje opowieść o dziejach Rzymu od jego powstania do roku 212, czyli czasów cesarza Karakalli. Dużo w jej dziele historii społecznej i spory nacisk na to, jak sami o sobie opowiadali Rzymianie.



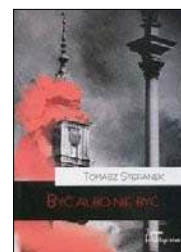
MARY BEARD
„SPQR. HISTORIA STAROŻYTNIEGO RZYMU”
REBIS

Drugie, poszerzone i uaktualnione wydanie biografii Davida Bowiego (pierwsze ukazało się w roku 2011). Najciekawszej i poruszającej tam, gdzie opowiada o burzliwych latach 70. Docieramy do ostatnich lat życia artysty.



PAUL TRYNKA
„STARMAN. CZŁOWIEK, KTÓRY SPADŁ NA ZIEMIĘ”
SQN

Podtytuł: „Szkice o podmiotowości”. Zbiór szkiców udowadniających, jak nowatorskie i przenikliwe może być analizowanie polskich sporów po 1989 i po 2010 r. z dziełami Arystotelesa, Platona czy Burke’a w dłoni.



TOMASZ STEFAŃSKI
„BYĆ ALBO NIE BYĆ”
TEOLOGIA
POLITYCZNA

Autorzy książki „Podbój świata po chińsku” dopisują nowe, fascynujące i niepokojące rozdziały: cicha ekspansja Chin w Afryce, szpiegostwo przemysłowe, gospodarcze oszustwa, dyplomatyczny szantaż ekonomiczny. ©

poleca Piotr Gociek



J.P. CARDENAL, H. ARAÚJO
„NIEUCHRONNY PODBÓJ ŚWIATA PO CHINSKU”
SONIA DRAGA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- J.K. Rowling „Harry Potter i przekłute dziecko” (Media Rodzina)** – dorosły Harry pracuje w Ministerstwie Magii. Szkoda, że to tekst sztuki, a nie powieść.
- Nela „Nela na kole podbiegunowym” (Burda NG Polska)** – kolejny tom obficie ilustrowanej serii dla dzieci o dziełnej nieleśnej podróznicy.
- Paula Hawkins „Dziewczyna z pociągu” (Świat Książki)** – ekranizacja przemknęła przez kino, powieść wróciła na szczyty list bestsellerów.
- Marie Tourel Soderberg „Hygge. Duńska sztuka szczęścia” (Insignis)** – poradnik: jak sprawić, by radość z małych rzeczy zmieniła się w radość dużą.
- M.L. Stedman „Światło między oceanami” (Albatros)** – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 21 listopada do 12 grudnia 2016 r.)



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Remanent 2016

Mój roczny remanent pokazuje, że nie zdążyłem napisać o kilku ważnych wydarzeniach, które miały miejsce w 2016 r. Ostatni moment, żeby to nadrobić.

Prawie bez echa przeszedł wielki sukces Polaka na Eurowizji, tej, gdzie współzawodniczą młodzi wykonawcy muzyki klasycznej. We wrześniu główną nagrodę zgarnął 18-latek Łukasz Dyczko. Młodzutki saksofonista, absolwent szkoły muzycznej w Gorlicach, zachwylił nie tylko jurorów, lecz także porwał publiczność.

Zapamiętam też inaugurację festiwalu Wratistavia Cantans. Chociaż w folderze organizatorzy skupili się na „XIII Symfonii” Szostakowicza, pisząc, że „Zan Tontemiquico” Mikołaja Góreckiego (syna Henryka Mikołaja) będzie „uzupełnieniem koncertu”, to dla

mnie ten utwór był artystyczną kulminacją wieczoru. Usłyszałem dzieło niczym nieustępujące najlepszym kompozycjom ojca i niekopiujące stylu taty. Górecki junior znalazł własny język, a ten jego utwór, skupiony, kontemplacyjny, choć operuje delikatnymi środkami, to angażuje emocje, wtłacza w fotel, zmusza do uważnego słuchania.

Na koniec odkrycie – Natalia Lubrano, która tylko przy akompaniamencie gitary Macieja Czemplika odkurzyła nieco zapomniany song Czesława Niemena „Obok nas”. Aby śpiewać Niemen, trzeba mieć nie tylko sporo odwagi. Natalia Lubrano ma to coś, co sprawia, że pewnie Niemen uśmiecha się do niej z nieba. Czekam na jej płytę z takimi właśnie nagraniami. Polskie radio chętnie wróci do naszych znanych przebojów, tym bardziej w tak fantastycznych wykonaniach.



Łukasz Dyczko FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

I jeszcze zaproszenie na „Kolędy Pospieszalskich”: *Lyon – 30 grudnia, Wołomin – 6 stycznia, Lwów – 7 stycznia, Sambor – 8 stycznia, Żytomierz – 10 stycznia, Kijów – 11 stycznia, Zamość – 13 stycznia, Płock – 14 stycznia, Warszawa – 15 stycznia, Rybnik – 18 stycznia, Kłodzko – 20 stycznia, Oława – 21 stycznia, Wiedeń – 22 stycznia, Warszawa – 24 stycznia.*

Szczegóły na portalu: <https://pl-pl.facebook.com/kolodypospieszalskich>. ©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Kleks dla dorosłych

Andrzej Korzyński skomponował muzykę do ponad 130 filmów i seriali telewizyjnych. Był ulubionym kompozytorem Andrzeja Żuławskiego (dziewięć filmów) i Andrzeja Wajdy (siedem filmów). Mimo to w Polsce Ludowej wydano mu tylko jedną płytę długogrającą z muzyką filmową.

W 2012 r. Andy Votel, brytyjski DJ, opublikował pierwszy album z pięciu z muzyką Korzyńskiego. Dzięki niemu świat poznał nowatorskie nagrania z lat 70. do filmów: „Trzecia część nocy”, „Opętanie”, „S.O.S.” i „Człowiek z marmuru”.

Co więcej, Votel stworzył multimedialny spektakl oparty na elektronicznych kompozycjach Korzyńskiego do filmu „Podróże

pana Kleksa” i nazwał go „Klexpotation”.

W Polsce zaległości nadrabia Michał Wilczyński, którego wytwórnia GAD opublikowała wcześniej ścieżkę dźwiękową do filmu „W pustyni i w puszczy”. Piosenki z „Akademii pana Kleksa” zna każdy, kto żył w latach 80. Wilczyński „dokopał” się do niepublikowanych nagrań instrumentalnych, które mimo swych 33 lat brzmią niezwykle świeżo. Połączenie romantycznych kompozycji orkiestrowych i utworów na elektroniczne combo studyjne autentycznie zachwycą. Brawurowy „Sen o siedmiu szklankach” powinien znaleźć się w każdej antologii polskiej muzyki.

Andrzej Korzyński powraca w glorii chwały. ©



★★★★★

ANDRZEJ KORZYŃSKI
„AKADEMIA PANA KLEKSA”
GAD



★★★★★
THE ROLLING STONES
„HAVANA MOON”
EAGLE ROCK

25 marca Stonesi zagrali w Hawanie. 27 lat temu, w Berlinie, widziałem ich pierwszy raz na żywo. Tak jak teraz Kubańczy i ja miałem wtedy świadomość nowego początku. Zagrali największe hity i „Out of Control”. Jagger prowadził koncert po hiszpańsku i był to wielki wieczór nie tylko dla Hawany. ©



★★★★★
LESZEK GNOIŃSKI
„REPUBLIKA”
KAYAX

Prawie 800-stronicowe, pięknie wydane kompendium wiedzy o jednym z najważniejszych polskich zespołów. Gnoiński rozszerza opowieść o solowe dokonania muzyków oraz ich prapoczątki. Masa zdjęć, dziesiątki przepytanych osób, kalendarium... Pozycja obowiązkowa dla fanów biało-czarnych pasów. ©

NIE DAJ SIĘ ZASKOCZYĆ!

SPRAWDZAJ POGODĘ CODZIENNIE
WWW.POGODA.INTERIA.PL

interia POGODA



SPRAWDZA SIĘ!

MACIEJ PIECZYŃSKI: Stwierdził pan, że na kijowskim Majdanie zwyciężyło „liberalne bydlę”...

ALEKSANDR DUGIN: Nigdy nie rozumiemy procesów geopolitycznych, jeśli będziemy je interpretować w ramach propagowanego przez zachodni globalizm systemu dualnego: „kwitnący, przepiękny, idealny, wolny, szczęśliwy, demokratyczny Zachód, reprezentujący uniwersalną drogę rozwoju versus totalitarna, okrutna, zapóźniona i skorpumpowana Rosja, która chce ten Zachód dogonić”. Jeśli tak będziemy to postrzegać, to wówczas niczego nie rozumiemy. Właśnie tak o świecie myśli jednak każdy Polak, każdy Francuz, każdy Amerykanin. To mit dla europejskiego bydlę.

Myślenie w takich kategoriach jest dominujące. Ukraina wybrała Zachód. Ergo – kremlowska propaganda okazała się nieskuteczna.

Ten zachodni model już się sypie. Pokazały to propagandowe sondaże sprzed Brexitu i wyborów w USA, wedle których Wielka Brytania miała pozostać w UE, a Trump przegrał wszystkie debaty i stracił szansę na zwycięstwo. Siła tej propagandy tkwi w idiotyzmie mas, które w nią wierzą. Do niedawna uważano, że USA są nośnikiem ideologii globalizmu, ale Amerykanie przy urnach wyborczych udowodnili, że mieliśmy do czynienia z kłamstwami małej liczebnej elity, która pretenduje do światowego przywództwa. Ta elita jest bardzo aktywna, dysponuje ogromnymi środkami międzynarodowego kapitału. Globaliści szermują kłamliwymi opowieściami o „złej Rosji”, „wspaniałym Zachodzie”, „ukraińskich bohaterach”, „cierpieniach narodu polskiego” i innymi mitami globalistycznymi, które wykorzystują nie dla dobra Polaków, Ukraińców, Arabów, Rosjan, Amerykanów, Europejczyków, ale dla własnych hegemonicznych interesów. Ten, kto poddaje się tej propagandzie, staje się pionkiem w światowej grze elit. Rozumiem, że siła globalistycznej hipnozy jest bardzo mocna, jednak Brexit i triumf Trumpa pokazały, iż Matrix pęka od środka. Jeśli ktoś wierzy w tę propagandę, to ja przepraszam, ale z kimś takim nie mam o czym rozmawiać. Jeśli chce się pan dowiedzieć, jak myślał Putin i połowa Ukrainy, to próbujmy podyskutować poza granicami tej mitologii.

Mówił pan: „Trzeba podbić Europę. Powiedzmy Europejczykom: pod naszym protektorem bę-



Z Aleksandrem Duginem, rosyjskim filozofem, doradcą Władimira Putina rozmawia Maciej Pieczyński

Globalizm i liberalizm to cywilizacja Antychrysta

dziecie bezpieczni, widzicie, u nas Pussy Riot siedzi – i waszych [lewaków – przyp. red.] posadzimy!”

To metafora, wyolbrzymienie.

Czyli Rosja ma być przodownikiem światowej rewolucji konserwatywnej.

Oczywiście. „Rosyjskie” i „konserwatywne” to już niemal synonimy. Bzdurą jest twierdzenie, że Kreml stoi za zwycięstwem Trumpa czy za Brexitem, ale faktem jest, że te zdarzenia wpisują się w szerszy kontekst procesu, którego wyrazicielem w Rosji jest Władimir Putin. Europa proponuje dziś takie wartości jak gender-liberalizm

i demokracja mniejszości. Rosja nie jest tak zachwycona Zachodem jak inni. U nas też postępują modernizacja, globalizacja, postmodernizm, liberalizm, ale wolniej niż u was, dlatego ja – jako zwolennik idei słowianofilstwa i konserwatyzmu – dostrzegam perspektywę pójścia alternatywną drogą. Nie musimy na siłę gonić Zachodu.

Niezbyt konsekwentny ten rosyjski konserwatyzm. Pisał pan, że w Polsce należy wspierać ruchy lewicowe celem destabilizacji państwa, z kolei – co prawda ukraiński, ale ultraprawicowy – Prawy Sektor jest w Rosji nielegalny.



FOT. HEKTI SAUKOMAA/EAST NEWS

i wtedy, choć skłóceni ze wszystkimi, zachowają integralność terytorialną. Inaczej zawsze będzie się buntował albo prorosyjski wschód, albo antyrosyjski zachód. A co do Polski – nie wszyscy wasi konserwatyści są rusofobami...

Doskonale pan wie, że rusofobii nauczyła nas historia.

Oczywiście. Polska była wielkim państwem, dorównywaliście nam potęgą. Od zawsze był między nami spór. W pierwszych wiekach to wy byliście górą, potem my. Jesteśmy braćmi, którzy się kłócą. Odnoszę się do polskich braci z wielkim szacunkiem. Rozumiem waszą niechęć do Rosji. To, że aktualnie jesteśmy od was silniejsi, nie oznacza, że jesteśmy lepsi. Uwielbiam polską literaturę, czytam Witkiewicza, tłumaczyłem nawet Leśmiana. Macie fascynującą tradycję i kulturę, pełną sprzeczności między Wschodem a Zachodem. Mam dla was więcej zrozumienia niż dla zachodnich Ukraińców, którzy nienawidzą Polaków, Rosjan, czarnych... Nie uznaję czegoś takiego jak polonofobia. To tak samo szkodliwe zjawisko jak rusofobia. Niestety, my, Rosjanie, często bywamy szowinistami. Zamiast zrozumieć głębię bogactwa naszych braci, zatracamy się w nienawiści.

... i bijecie polskich dziennikarzy na wizji.

To był skandaliczny incydent. Nie rozumiem, jaki jest sens ściągać do studia ludzi po to, by wygłosili dobrze wszystkim znane poglądy, a potem na nich krzyczeć i ich bić. Pracownicy federalnej telewizji świadomie zapraszają Polaków i Ukraińców, prowokują ich, by ci, broniąc swoich poglądów, obrażali Rosję, a potem ich biją. To są tepe metody prokremlowskiej propagandy, których jedynym skutkiem jest podsycanie nienawiści i przyciąganie uwagi. To nie jest działanie dla dobra Rosji, lecz jedynie prostacki sposób realizacji poleceń Kremla. To obniżanie standardów etyki dziennikarskiej. W programie, który ja prowadzę, albo dyskutujemy z szacunkiem dla gościa, który broni innego niż nasz punktu widzenia, albo w ogóle nie zapraszamy człowieka, który ma inne zdanie. Rosyjski szowinizm do niczego dobrego nie prowadzi. Musimy poznawać ze zrozumieniem kulturę i idee naszych słowiańskich braci, wtedy nie będzie w nas tyle nienawiści. Ta nienawiść to rezultat porażki naszej

imperialnej polityki. Zamiast rozmawiać jak naród z narodem, rozmawialiśmy z Ukrainą językiem szantażu gazowego. Powinniśmy wsłuchiwać się w potrzeby naszych słowiańskich braci.

Ta wasza sympatia trochę przeraża. Lubicie Polaków, ale jako potencjalnych obywateli rosyjskiego imperium. Pisał pan przecież wyraźnie, że Polska jest regionalnym państwem, które trzeba włączyć do jakiejś większej całości. W pańskich planach geopolitycznych nie ma miejsca na Polskę niepodległą.

Nieprawda.

Pisze pan, że „trzeba zniszczyć kordon sanitarny” oddzielający Zachód od Rosji. Częścią tego kordonu jest Polska.

Kordon sanitarny jako instrument globalistycznej polityki powinien być rzeczywiście zniszczony. To jednak nie wyklucza istnienia wolnej Polski. Powinniście funkcjonować jako niezależne państwo, tylko pełniać inną niż obecnie funkcję. Oczywiście poprzednio raczej próbowaliśmy, idąc na łatwiznę, nasze problemy geopolityczne rozwiązać siłowo. I to był błąd. Próbowaliśmy was podbić, ale Polska po prostu nie da się kulturowo zintegrować z rosyjską cywilizacją. To niemożliwe.

Chyba że metodą „integracji” będzie atak jądrowy.

Nie, do tego byśmy się nie posunęli, to nie nasze metody. To przecież Amerykanie dokonali w ten sposób ludobójstwa w Hiroszynie i Nagasaki.

No to co z tą Polską będzie w planach Kremla?

Trzeba zniszczyć kordon sanitarny, to pewne. W charakterze kordonu sanitarnego nie może funkcjonować żadne konkretne państwo: ani Węgry, ani Polska, ani Bułgaria, ani Czechy, ani Ukraina, ani Rumunia, ale to nie oznacza, że te państwa nie mogą istnieć jako takie. One po prostu nie powinny pełnić tej antyrosyjskiej funkcji. Nie tylko przed Rosjanami, lecz także przed Europejczykami stoi zadanie – sprawić, aby tej funkcji nie pełniło żadne państwo. Polacy stanęli w awangardzie procesu globalistycznego, mając nadzieję, że globalizm ich uratuje przed imperializmem rosyjskim, a tymczasem jest odwrotnie – to was nie uratuje, ale wystawi na nasz cios. Macie słowiańską tożsamość, ale katolicyzm i inne aspekty kultury wiążą was z Zachodem. Jednak obecna antychrześci-

Z pragmatycznych względów czasem trzeba wykorzystywać obce ideowo siły. Jeszcze przed rewolucją kontaktowałem się z ukraińską prawicą. Dopiero pod wpływem globalistycznej propagandy konserwatywnych Ukraińców ogarnęła antyrosyjska histeria. A gdyby trochę pomyśleli, zrozumieliby, wybraliby trzecią drogę – ani uległość wobec Rosji, ani uległość wobec Zachodu. Ukraińcy są narodem tak pełnym sprzeczności, że albo będą podzieleni, albo wybiorą takiego skorumpowanego neutralnego idiotę jak Kuczma oraz Janukowycz

■ jańska, masońska, liberalna Unia nie ma nic wspólnego z tą, niech i nawet rusofobiczną, ale konserwatywną tożsamością Polski. A zatem Polska powinna być niezależnym państwem, choć pozostającym w przyjaźni nie tylko z Rosją, lecz także z wielką Ameryką Trumpa, która przecież nie chce kontynuować strategii atlantyckiej. Polska powinna być nie prorosyjska, ale i nie proatlantycka, nie globalistyczna. Neutralna i niepodległa. Przykładem niech będą dla was Węgry. Czy są prorosyjskie? Nie, Węgry są prowęgierskie. Reasumując: zniszczyć kordon sanitarny to zadanie w pierwszej kolejności nie dla Rosjan, nie dla Niemców, ale dla samych Polaków!

Wie pan, że wam nie ufamy. Kto nam zagwarantuje bezpieczeństwo, jeśli wyjdziemy z NATO?

Rozumiem pańskie obawy. Trzeba stworzyć samodzielny, niezależny od Ameryki europejski blok...

Przecież mamy Unię Europejską.

UE to globaliści, nie odzwierciedla ona interesów narodowych niezależnych państw europejskich. Rozumiem, że potrzebujecie gwarancji, to samo mówi np. Turcja w dyskusji o ewentualnym wyjściu z NATO. Globaliści jednak jak dotąd i tak nikogo nie obronili – proszę spojrzeć na Gruzję czy Ukrainę. Dlatego potrzebujemy nowego systemu bezpieczeństwa. Neutralność Polski nie oznacza, że nie możecie należeć do żadnego bloku europejskiego.

No dobrze, to może sojusz bałtycko-czarnomorski, od Estonii do Ukrainy?

Nie, to jest właśnie kordon sanitarny, który trzeba zniszczyć, bo jest antyrosyjski. Rosja jest specyficznym, imperialnym, konserwatywnym państwem – taka była, jest i będzie. Co z tym faktem mają począć Polacy, aby zabezpieczyć swoją tożsamość? To pytanie jest otwarte. Oddajcie głos patriotom, którzy nie chcą służyć atlantystom! Popieranie antypolskiej Ukrainy z waszej strony to jakaś aberracja.

Sam pan jednak przyznał, że Rosja to ekspansywne imperium. Popieramy Ukrainę, bo boimy się, że jeśli ją podbijecie, to staniecie u naszych granic.

W sprawie Ukrainy popełniliśmy mnóstwo błędów. Od 20 lat powtarzam kremlowskiemu decydentom, że Ukraińcy to nie są Rosjanie, że musimy uznać fakt

ich odrębności i próbować ich do siebie przekonać pokojowo, zamiast prymitywnie i z pogardą podbijać. A co do was... Trzeba znaleźć w Polsce sojuszników w postaci odpowiedzialnych, konserwatywnych sił. Musimy skupić się na tym, co nas łączy, a wtedy unikniemy wzajemnej agresji. Jesteśmy Słowianami, chrześcijanami...

A Nord Stream?

To była zemsta, a nie interes. Jeśli dogadamy się na poziomie ideologii, to dogadamy się w każdej sferze.

Czuje się pan ideologiem Putina?

Ja po prostu wypowiadałem swoje poglądy, czasem sprzeczne z działaniami władzy. Już w latach 90. kontaktowałem się z wysoko postawionymi politykami i dowódcami wojskowymi, mimo że byłem jednoznacznie przeciwny liberalnym rządowi Jelcyna. Putin od początku szedł w słusznym, moim zdaniem, kierunku. Mój wpływ na Putina czasem się przecenia, czasem się go nie docenia, ale za jego władzy wiele moich geopolitycznych przewidywań się spełniło.

Oddajcie głos patriotom, którzy nie chcą służyć atlantystom! Popieranie antypolskiej Ukrainy z waszej strony to jakaś aberracja

Dlaczego Putin utknął na Ukrainie? Dlaczego zajął tylko Krym i Donbas?

To, że się zatrzymał, to dowód na to, iż mój wpływ na prezydenta ma pewne granice. Działania Putina są wypadkową dwóch kierunków wpływu: mego oraz globalistów. Ci ostatni namówili go, by się zatrzymał.

To pan chciał, by Rosja podbiła całą Ukrainę?

Nie, wystarczyło, żeby powstała Noworosja, od Odessy do Charkowa.

Czyli cała rosyjskojęzyczna Ukraina.

Noworosja to ziemie zamieszkane przez ludzi, którzy czują historyczną przynależność do cywilizacji rosyjskiej. Ukraińskiej tożsamości nigdy tam nie było. Zresztą bunt Noworosji to była tylko odpowiedź na Majdan. Gdyby Ukraina potrafiła pogodzić obie tworzące

ją tożsamości, to byłaby niepodległym państwem, balansującym między Wschodem a Zachodem, tak jak za Kuczmy i Janukowycza.

Dokąd dalej pójdzie imperialna Rosja?

Zwycięstwo Trumpa wszystko zmieniło. Okazało się, że są dwie Ameryki: globalistyczna i amerykańska. Ta amerykańska powinna być naszym sojusznikiem, bo mamy wspólnych wrogów: liberałów, transnarodowe korporacje, globalistów, postmodernistów, zwolenników otwartego społeczeństwa, Sorosa... Trzeba stworzyć sojusz konserwatywny ze wszystkimi narodami, wzmocnić związki z Turcją i Iranem, ale nie na korzyść Turcji ani Iranu, ale na korzyść Eurazji. Musimy stworzyć nową wielobiegunową architekturę świata, opartą na paradygmacie konserwatywnym. Musimy zatrzymać islamską imigrację, pomóc Trumpowi uczynić Amerykę wielką, wzmocnić Europę z jej niszczonej przez globalistów tradycjami chrześcijańskimi i grecko-rzymskimi. Musimy, jak to mówi Trump, osuszyć bagno. Nasze zadanie to osuszyć bagno rosyjskie, Polaków – bagno polskie.

I zdławić opozycję, która w Rosji narodziła się na pl. Błotnym...

Trzeba zmienić oś świata z horyzontalnej na wertykalną, w której to konserwatyzm będzie górą nad konfrontacyjnym globalizmem. Jako człowiek prawosławny widzę to jako finałową bitwę między zwolennikami Chrystusa i Antychrysta. Globalizm i liberalizm to cywilizacja Antychrysta. Trzeba zniszczyć pajęczą sieć globalizmu, która eksploatuje wszystkie społeczeństwa. Zwróćmy się ku naszym tradycjom i zapytajmy Boga: „Co robić po pokonaniu cywilizacji Antychrysta?”. Zbawiciel to rozstrzygnie, bo jeśli rozstrzygniemy naszą przyszłość sami, w kluczu egoistycznym, to poniesiemy klęskę.

Putin niedawno zażartował w telewizji, że „Rosja nie ma granic”. Rozbawiło to pana?

Tak, to zresztą nie był żart, tylko prawda.

Czyli jednak podbój.

Nie, chodzi o Rosję jako nośnik prawdy, konserwatywnej ideologii. Polska będzie rosyjska, jeśli będzie konserwatywna.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Między nami, pantoflarzami

Pewnego razu siedzieliśmy sobie w piątkowy wieczór z żoną.

Dziecko już spało, więc umilaliśmy sobie życie alkoholem. – Kochanie, czy mogłabyś mi dolać whisky? – zapytałem słodko. – Nie, ale za to ty pójdziesz do kuchni i nalejesz mi wina – odpowiedziała żona. A ja poszedłem.

Nie powiem, dało mi to do myślenia. Ledwie tydzień później tkwiłem na lotnisku w kolejce do odprawy. Przede mną stała para 60-latków. Ona powiedziała do niego: „Wyciągnąłeś paszporty? Nie? No to na co czekasz? Wyciągaj!”. A on pokornie wyciągnął, westchnął zrezygnowany i uśmiechnął się do mnie.

– Widzi pan? A kiedyś myślałem, że to ja rządzą w tym związku – zagadnął. – Niesamowite. Wie pan, niedawno miałem zupełnie tę samą myśl – odrzekłem. – Wydawało mi się, że jestem ważniejszy, silniejszy, a potem nagle ocknąłem się i stwierdziłem, że jest dokładnie odwrotnie. I zupełnie nie wiem, kiedy to się stało! – jęknął. – Tak, to jest najgorsze, że to się dzieje mimochodem, nie wiadomo kiedy – zgodził się ze mną 60-latek. A potem jego żona nakazała nam zakończyć filozofowanie, zgarnęła faceta i poszli do odprawy.

Od tej pory zacząłem się rozglądać bacniej po świecie i stwierdziłem – z pewną ulgą, ale jednak i przerażeniem – że to zazwyczaj kobiety dzierżą w związkach guzik atomowy. To znaczy, mają realną

władzę. Im dłuższy związek, tym częściej tak się dzieje. Przyczyna tego jest prosta: mężowie zazwyczaj boją się żon, żony rzadko boją się mężów. O ile ci nie są oczywiście tłukącymi kobiety zwyrolami.

Dlaczego się boimy? To też jest proste. Słabsze istoty boją się silniejszych. A kobiety są silniejsze. Lata wspólnego życia dostarczają nam wielu powodów do konfrontacji. Owszem, facet może wygrać jedną czy drugą bitwę. Jednak w długotrwałej wojnie na wyczerpanie zazwyczaj nie ma szans. Kobiety są odporniejsze na ciosy, silniejsze psychicznie i stopniowo przejmują kontrolę nad całością. W sposób niespektakularny, ale morderczo skuteczny. W końcu facet dochodzi do wniosku, że i tak będzie, jak chce żona, i – po cichu – się z tym godzi. Oczywiście z wyjątkiem tych, którzy wychodzą po papierosy i znikają na zawsze. Jednak taka rozpaczliwa ucieczka to tylko dowód na przemożną potęgę kobiet.

Oczywiście wielu panów czytających ten tekst głęboko się z nim nie zgadza. Ale jedna statystyka was przekona. Policzcie sobie: kiedy zabiegacie u swej pani o seks, to jak często dostajecie to, na czym wam zależy? W 20 proc. podejść? 30? No dobrze – niech będzie 50, żony muszą was bardzo kochać. A teraz przypominajcie sobie odwrotną sytuację. I co? Tak jest. Kobiety dostają 100 proc. Po prostu jest tak, jak one chcą. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Mały kraj

Z historii wiemy, że podczas waśni domowych sytuacja staje się naprawdę groźna dopiero wtedy, kiedy we wrogu przestajemy widzieć człowieka, przestają się liczyć zasady, konwencje, dobre wychowanie. Jeszcze gorzej jest, kiedy adwersarzy opuszczają rozsądek i wyobraźnia. Co prawda z chuligańskiej rozróby można się cieszyć dopóty, dopóki nie dotknie nas samych. Czy panowie Komorowscy, Niesiołowsky, Protasiewiczowie, rozkoszując się wizją używania sztachtet w dyskursie publicz-

Krakowskim Przedmieściu, wreszcie blokada samochodu Jarośława Kaczyńskiego udającego się na Wawel, by odwiedzić grób brata. Czy jest jakaś granica zbydlęcenia?

Żeby było jasne, mniejsze mam pretensje do niesionego emocjami tłumy niż do reżyserów zająć...

Panowie (i panie) inspiratorzy i inspiratorki, czy nie zdajecie sobie sprawy, że ustalacie antystandardy na długo i jeśli uda się wam kiedykolwiek przejąć władzę, to zostaną one bezwzględnie użyte przeciw wam? To, iż dotąd Polacy uchodzili za lud niepamiętliwy i łatwo wybaczący, nie dowodzi, że będzie tak zawsze!

Myślicie, że da się rządzić, mając przeciwko sobie, lekko licząc, połowę społeczeństwa? Chyba tylko dzięki obcym bagnetom.

A poza tym Polska to mały kraj. Schować się w nim niełatwo. Myślicie, że społeczeństwo nie wie, gdzie mieszkać, nie zna waszych rodzin. Grając na konflikt totalny, ryzykujecie także własne bezpieczeństwo. W imię czego? Ubeckich emerytur, ze strachu przed wizytą CBA?

Takiej próby sił nie da się wygrać bezkosztowo. Powiem więcej, tego się w ogóle nie da wygrać. Nie życzę starcia chłopaczkom z Antify z górnika ze Śląska.

Oczywiście historia pełna jest durniów przekonanych, że można wygrać za pomocą samych kłamstw i obcych pieniędzy.

Poczekamy na efekty... ©©

**Takiej próby sił
nie da się wygrać
bezkosztowo.**

**Powiem więcej,
tego się w ogóle
nie da wygrać**

nym, wraz z wyrzucaniem przeciwników politycznych przez okna widzą się wyłącznie w roli wyrzucanych, a nie jako wyrzucanych?

Jeśli kogoś raduje czarny protest pod domem Kaczyńskiego, to niech pomyśli, że kij ma dwa końce. Każda akcja budzi reakcję. I nawet zasoby chrześcijańskiego miłosierdzia mogą się wyczerpać! W ciągu ostatnich tygodni przesuniętych zostało tyle granic, wydawało się, nieprzekraczalnych. Zadyma na pogrzebie żołnierzy wyklętych, utrudnianie modlitewnego skupienia na

Jak dawna Rzeczpospolita



Jacek Komuda

Już pierwsze kontakty cudzoziemców z dawną Polską pokazywały, że w wielu dziedzinach kultury i prawa przewyższała europejskie królestwa



Kiedy w 1574 r. nowo wybrany król Henryk Walezy przybył do naszego kraju, pierwszym, co wzbudziło jego ciekawość, był Poznań – królewskie miasto na szlaku do Krakowa. Władca zwiedzał go do godz. 2, choć panowała prawdziwa zima z mrozami. Kolejny raz zdziwił się w stolicy – zamek na Wawelu był obszerniejszy i o wiele lepiej wyposażony niż paryski. Miał toalety, podczas gdy w Luwrze służba załatwiała potrzeby na schodach lub do kominków, oddawała mocz z balkonów lub brudziła obijane tkaninami ściany.

Także sam Paryż liczący ponad 100 tys. mieszkańców był miastem, gdzie w morzu błota zawierającego gnijące odpadki i odchody wylwane na ulice wznosiły się średniowieczne katedry i pałace arystokracji. Pod względem czystości Kraków i Poznań wypadały o wiele lepiej, gdyż miały już pierwsze kanały i rowy ściekowe.

Władza Walezego w Rzeczypospolitej była o wiele większa niż w ojczystym kraju. W Polsce autorytet monarchy był ogromny, podczas gdy – jak podaje Stanisław Grzybowski – we Francji prawie nie istniał aparat wykonawczy władzy królewskiej. Monarcha uzależniony był od decyzji lokalnych parlamentów, mogących odmó-

wić zarejestrowania edyktu i poddanych wpływom arystokracji.

Aż do końca XVII w. Polacy imponowali Zachodowi wykształceniem i znajomością języków, zwłaszcza łaciny. Zdumienie wywołali członkowie poselstwa przybyłego po króla Walezego w 1573 r. „Nie było i jednego pomiędzy nimi, który by płynnie po łacinie nie mówił, wielu tłumaczyło się po włosku i po niemiecku; niektórzy mówili językiem naszym, tak czysto i pięknie, iż rzekłbyś, że się raczej na brzegach Sekwany niż nad Wisłą lub Dnieprem rodzili; nie mało to zawstydziło dworaków naszych” – pisał Jacques Auguste de Thou. Zapewne te słowa zainspirowały francuskiego pisarza Aleksandra Dumasa, który 300 lat później napisał w „Królowej Margot”: „Cudzoziemcy, których Francuzi zwali barbarzyńcami, zaćmiewali ich pod każdym względem”.

Piorunujące wrażenie zrobiła przemowa posła polskiego u królowej Elżbiety Wielkiej. Paweł Działyński w 1597 r. występował w imieniu Zygmunta III Wazy, króla Polski i Szwecji. Mówił po łacinie, w ostrym tonie żądając wolnej drogi morskiej do Hiszpanii oraz prawa handlu z Anglią dla kupców z Gdańska i Polski. Jego elokwencja przeraziła Elżbietę. „Rany boskie, panowie! – rzekła. – Zmuszono mnie dziś,

bym przewietrzyła swą łacinę, którą już od dawna przeżarła rdza”. Ponoć na koniec audiencji... uciekła, pozostawiając dokonczenie sporu lordowi Cecilowi Burghewowi, kanclerzowi Izby Skarbowej, i innym dostojnikom. Ultimatum zostało przyjęte.

Podróże Polaków zawsze miały na celu naukę języków, nie wyobrażano sobie, aby ktoś ich nieznający mógł bywać na dworach. Jak pisał bawiący w XVII w. w Paryżu Jan Kazimierz Denhoff: „U króla francuskiego i księcia de Conde jeszcze nie był, bo języka nie umiem, a mógłby który z nich zacząć gadać, to wstyd”.

SIŁA I BOGACTWO

Wszystkie te wrażenia bladyły w porównaniu z pokazami potęgi, jakimi były poselstwa. „Z podziwieniem patrzyli paryżanie na mężów okazałej postaci. Ich szlachetne i nieco dumne spojrzenie, ich powaga, te długie, gęste brody, te sobolowe kołpaki, te miecze ozdobione drogimi kamieniami, buty ze srebrnymi podkówkami, te łuki, kołczany – wszystko dziwiło i zachwycało. Mieli oni złotolite szaty [...] cugle ich koni nabijane były srebrem, błyszczące drogimi kamieniami, siodła w złoto oprawne, rzędy na koniach piękną swą zachwycały patrzących”

zadziwiała świat

Polskie poselstwo w Rzymie w 1633 r. Rycina autorstwa włoskiego rytownika Stefano della Belli. FOT. WIKIPEDIA



– pisał Jacques Auguste de Thou o poselstwie z 1573 r.

Kolejnym sławnym wydarzeniem stało się przybycie Krzysztofa Zbarskiego w towarzystwie 1,2 tys. ludzi do Stambułu w 1622 r. Przyćmił go wjazd poselstwa Jerzego Ossolińskiego do Rzymu 27 listopada 1633 r. celem złożenia hołdu papieżowi w imieniu króla Władysława IV Wazy. Zarówno poseł, jak i towarzysze wjeżdżali w strojach polskich, co wzbudziło sensację. Orszak poprzedzały 22 wozy okryte czerwonym suknem. Szło 10 wielbłądów okrytych kolorowymi oponami wiedzionych przez Tatarów i Ormian. Za nimi prowadzono konie w tureckich rzędach, z kulbakami nabijanymi diamentami, turkusami, rubinami. Wśród rzymskiego plebsu krążyły wieści, że jeden z nich miał na nagłówku klejnot warty 30 tys. zł polskich. Wartość szabli Ossolińskiego szacowano na 20 tys. Konie celowo źle podkuto złotymi podkowami, aby spadły i stały się łupem tłumu.

Innym sławnym poselstwem było wysłane w 1646 r. do Francji po Marię Ludwikę Gonzagę, która została żoną króla Władysława IV. Jego droga była jednym wielkim festynem. Jean de Laboureur wspomina, jak witał królową Kazimierz

Leon Sapieha: „Występował na czele czterech tysięcy konnych, przeważnie szlachty. Zapewniano mnie w dodatku, że nie była to nawet zwykła jego świta, liczniejsza przy innych uroczystościach”.

O podziwie cudzoziemców dla polskiej wolności i tolerancji wypisano morze atramentu. „Cała Polska zarażona jest błędami herezji – pisał poseł wenecki Hieronim Lippomano – wszystkie sekty religijne znajdują w niej przytułek i bezpieczeństwo”. Nawet w rzekomo fanatycznym i ciemnym wieku XVIII innowiercy cieszyli się większymi prawami niż w innych krajach. W 1775 r. Ludwik Antoni de Caraccioli pisał, że niechęć Polaków i Litwinów do różniących się w wierze „nie może iść w porównanie z nienawiścią Szwedów, Duńczyków i Anglików, a nawet Holendrów przeciwko katolikom”.

Ogromny podziw budziły gościnność i hojność polskich panów, którzy rozdawali konie, pasy, szable i pistolety. Kiedy wojewoda ruski, Stanisław Lubomirski, ofiarował posłowi francuskiemu siedem „maścistych” i „sprzęgłych” koni, a ten wzdragał się przed ich przyjęciem, zagroził, że wezwie muszkietierów i każe zastrzelić zwierzęta na miejscu. Z kolei kuchnia polska wzbudzała mieszane uczu-

cia – głównie przez nadużywanie korzeni. Jednak Karol Ogier przebywający w Rzeczypospolitej w 1635 r. cenił przysmaki, na które zapraszali go polscy panowie. Na przykład dania z warg łosia, przy których szlachcice opowiadali sobie dowcipy o charakterystycznych ustach Habsburgów. „Nie do wiary jest swoboda szlachty, z jaką mówią najswobodniej o cesarzach i królach, a nawet o swoim własnym królu” – pisał. Wilhelma Beauplana zachwycaly ryby, które Polacy „przyrządzają tak znakomicie i dodają im jakiegoś smaku tak wybornego, że u najbardziej przejeżdżonych ludzi budzi się na nie apetyt”.

MOC RZECZYPOSPOLITEJ

Trudno uwierzyć nam, przyzwyczajonym i wychowanym przez pisma XIX-wiecznych historyków stańczyków i komunistycznych propagandzistów rozwodzących się nad tym, jak słaba była dawna Polska, w potęgę szlacheckiego pospolitego ruszenia. Tymczasem, o dziwo, cudzoziemcy z respektem piszą o sile zbrojnych zastępów szlachty. „Polska ma 70 tysięcy wsi i tyleż dobrej jazdy może wystawić do boju, wraz z pośledniejszą, każdy bowiem szlachcic jest obowiązany stawić się konno na wojnę. [...] Wojsko złożone z samej szlachty jest bitne, dobrze odziane i uzbrojone. [...] Król ma w Wilnie 180 dział wielkiego kalibru, mnóstwo mniejszych” – wspominał Bernard Bongiovanni, nuncjusz apostolski, ok. 1560 r.

„Korona wystawić może 100 tysięcy lada jakiej, a 50 tysięcy dobrej konnicy i prawie tyle Wielkie Księstwo Litewskie, co nie jest za wiele na to obszerne królestwo” – podaje Hieronim Lippomano. W XVII w. nawet klęski, takie jak potop, wywoływały u postronnych raczej zdziwienie, niż obalaly mit siły Rzeczypospolitej. „Zachodzi pytanie [...] jak to się mogło stać, że król szwedzki na czele 40 tysięcy ludzi podbił i spustoszył kraj, którego armia liczyła co najmniej 200 tysięcy żołnierzy. Zostało spowodowane to chyba brakiem władzy ich króla, niewielkim rozsądkiem dowódców, niezgodą i buntami” – zastanawia się anonimowy autor „Podróży pana Payen”. „Zebrana w jednym miejscu szlachta polska stanowi taką potęgę, że żaden z sąsiadów Polski nie mógłby się jej oprzeć” – pisze Gaspard de Tende, autor „Relation historique de la Pologne”, dworzanin i skarbnik królowej Marii Ludwiki.

Czytając te opinie, widać, że siła dawnej Rzeczypospolitej opierała się na liczności i wojennym wyszkoleniu szlacheckiego

■ społeczeństwa, które budziło większy przestрах niż regularne wojska. Tak duża liczba uzbrojonych i wolnych ludzi sprawiała, że aż do połowy XVIII w. żaden z sąsiadów nie myślał o możliwości zajęcia całej Polski – kraju, gdzie co kilka kilometrów znajdował się dwór z załogą złożoną ze szlachcica i z jego sług. Na ich ujarzmienie po prostu nie wystarczyłoby własnego wojska, tak jak nie wystarczyło żołnierzy Karolowi Gustawowi w czasie potopu.

Aż do XVIII w. Rzeczpospolita zdumiewała ogromem terytorium położonego w dorzeczu Wisły, Niemna, Dniepru i Dniestru, bogactwem ziem i żyznością pól. „Jest Polska błogosławionym krajem, ma żyzną rolę, zdrowe powietrze, ryby i rybne rzeki. Jest prawdziwą spiżarnią zboża i ma także piękne bydło. Są tu też ogniste i wytrwałe konie” – wspominał Ulryk Werdum, Fryzjczyk szpiegujący nas w latach 70. XVII w., a więc już po katastrofach wojen szwedzkich, kozackich i najeździe Rakoczego.

Jehan Choisy, biskup Walencji, który przebywał w Polsce na przełomie lat 1572 i 1573, pisał o trzech powodach chwały królestwa. Pierwszym był obszar dwukrotnie większy od Francji, drugim – duża urodzajność kraju i nadmiar produktów koniecznych do zaspokojenia potrzeb życiowych, a trzecim – szlachta, która „wybija się ze wszystkich innych narodów”, albowiem jest rozsądna i zręczna, potrafi przejąć dobre obyczaje i cnoty od innych narodów. Podkreślał też odwagę i jej zręczność w rzemiośle wojennym. Dwie kolejne dobre cechy to tolerancja – podtrzymywanie więzów przyjaźni pomimo różnic w wierze oraz „wierność i posłuszeństwo Polaków wobec królów”.

KOLONIALNY KRAJ NIEWOLNIKÓW?

Rzeczpospolita szlachecka stała się ostatnio celem zmasowanego ataku środowisk lewicowo-liberalnych, określających ją mianem kraju kolonialnego i niewolniczego. Te historyczne bzdury stały się mantrą powtarzaną z maniacką furją przez pisarzy i naukowców dyspozycyjnych wobec salonu, takich jak Olga Tokarczuk, Szczepan Twardoch i socjolog Jan Sowa. Odnoszą się one do sytuacji chłopów pańszczyźnianych porównywanych do niewolników i ziem dawnej Rusi wcielonych do Korony po unii lubelskiej i traktowanych jak kolonie. Jednakże relacje o dawnej Polsce zupełnie temu przeczą. Z jednej bowiem strony cudzoziemcy uważają, że chłop był niewolnikiem, z drugiej – co

może szokować – pełni są zachwytów nad jego zdrowiem i wyglądem! „Mógłby ktoś sądzić, że chłopci w Polsce uważają się za najniezwyklejsze istoty, skoro wypadło im żyć w stanie niewolniczym. Tymczasem sądzą, że pośród ludzi ich pokroju właśnie oni mają najbardziej sprzyjające warunki [...] przynajmniej ze stanu swego odnoszą korzyść, iż przez całe życie mają zapewnione utrzymanie” – pisze Gaspard de Tende. Wspomina też, że obiad chłopski składa się z czterech potraw, a „mężczyźni w Polsce są świetnie zbudowani [...] córki chłopskie posiadają dobry wzrost i proste plecy”. Takie same opinie wygłasza pod koniec XVII w. Bernard O'Connor: „Chłopi w Polsce urodzeni jako niewolnicy, nie mając żadnego pojęcia o wolności, są zadowoleni z życia. W Kurlandii są oni tak samo poddani właścicielom ziemskim jak w Polsce i w obu tych krajach panowie są niemal

Żaden z sąsiadów nie myślał o możliwości zajęcia całej Polski – kraju, gdzie co kilka kilometrów znajdował się dwór z załogą

uwiellbani”. Bardzo źle wypada też porównanie wieśniaków z Zachodu i Polski. Jak pisał Anglik Thomas Salmon w 1744 r.: „Panowie pozostawiają wystarczająco środków do utrzymania siebie i swoich rodzin i [...] rzadko są doprowadzani do takiej nędzy, do jakiej często doprowadzani są nasi pożałowania godni farmerzy i wieśniacy”. Jeszcze gorzej opisywał chłopów na Zachodzie francuski myśliciel Jean de la Bruyère: „Widuje się swego rodzaju dzikie zwierzęta, samców i samice pleniące się na wsi, szczeniaki, wynędzniałe, spalone od słońca, przywarte do ziemi, w której grzebią zajadłe. Noc zapędza je do lepiarek, gdzie żywią się czarnym chlebem, wodą i korzonkami”.

Skąd brały się tak skrajne opinie? Prawda o pańszczyźnie jest prosta: chociaż przywiązywała chłopów do ziemi (w realiach I Rzeczypospolitej mógł łatwo uciec od pana i przejść do innego, oferującego lepsze warunki), obowiązywała obie strony. Poddany ciężko pracował na szlachcica, ale wiedział, że pan nie da mu umrzeć z głodu, którego widmo przerażało mieszkańców wsi w Europie. Właściciel dóbr, przyjmując chłopów, musiał postawić

mu chałupę, w razie potrzeby dać krowę, ziarno na zasiew i udzielić pomocy, o której pisze choćby Jakub Kazimierz Haur w podręczniku ekonomii.

W przeciwieństwie do chłopów polskiego wieśniak we Francji czy w Anglii był wolny, ale płacił ogromne podatki i często stawał się ofiarą klęsk głodu, których w samej Francji w XVII i XVIII w. było aż 27. W dodatku pozbawiany był ziemi przez wielkich właścicieli stosujących tzw. ogradzanie, czyli zagarnianie pól chłopskich i przeznaczenie ich na uprawę lnu albo pastwiska dla owiec.

Cudzoziemcy podziwiali też unię lubelską, o której w 1567 r. pisał Juliusz Ruggieri, że „dojdzie na przyszłym sejmie z pożytkiem obu narodów i zadowoleniem króla”, a której efektów, a więc połączenia z Litwą i przyłączenia ziem dawnej Rusi, nie można uznać za przejaw rzekomego kolonializmu polskiego. Jego definicja zakłada podbój lub uzależnienie obcych terytoriów, a następnie wykorzystywanie ich zasobów do rozwoju mocarstw kolonialnych. Dokładna lektura źródeł historycznych pokazuje, że w przypadku wschodnich ziem Rzeczypospolitej i Litwy było wprost przeciwnie. To zachodnia Korona – Krakowskie, Wielkopolskie, Prusy Królewskie – płaciła o wiele większe podatki wykorzystywane na wojny z Moskwą i odpieranie najazdów tatarskich uderzających w rzekome „kolonie”. Jak podaje Anna Filipczak-Kocur, wydatki na obronę wschodnich i południowych kresów Rzeczypospolitej wyniosły w latach 1587–1632 aż 34 mln zł, podczas gdy wpływy z Kijowszczyzny, Wołynia i Podola były mniejsze niż z ziem zachodniej Korony. Na przykład w 1629 r. województwo krakowskie zapłaciło 23 tys. zł podatku łanowego, sandomierskie – 20, poznańskie – 15, kijowskie – 4,7, braclawskie – 2,5, podolskie – 5, a tylko wołyńskie – 15 tys. zł. Dodajmy, że nie było też prób narzucania ceł, embarga na niektóre towary ani barier utrudniających handel na Ukrainie, jakie stosowała np. Wielka Brytania w stosunku do amerykańskich kolonii. Przeciwnie, stałym elementem wojen z Moskwą była wojskowa pomoc dla Litwy, która – co wykazał Henryk Wisner – nie była w stanie utrzymać armii wystarczającej dla obrony księstwa. Aż dziw, że w warunkach „kolonialnego wyzysku” Wielkopolski, Małopolski i Prus unia lubelska przetrwała ponad 200 lat, będąc najdłużej funkcjonującą federacją na terenie nowożytnej Europy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Raport „Doktora S.”

Drugi tom ważnej serii wydawniczej IPN przedstawiającej tragiczne losy Polaków w latach II wojny. Zawarte w nim artykuły i szkice dotyczą głównie okupacji niemieckiej – zarówno ziem wcielonych do Rzeszy, jak i GG.

Możemy przeczytać o zapomnianych miejscach martyrologii narodu polskiego – obozach w Karolewie i Działdowie czy miejscach straceń w Nowej Słupi i Świętej Katarzynie. Bardzo ciekawy jest również tekst Sebastiana Piątkowskiego o Polakach ratujących Żydów na Lubelszczyźnie.

Mnie jednak najbardziej zaciekał dokument opublikowany przez Karola Sacewicza – „Raport Komórki Bezpieczeństwa Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj na temat podziemia komunistycznego z 11 lipca 1943 r.”.

Wspomnianą komórką kierował Tadeusz Myśliński „Dr S.”, niezwykle barwna postać Polski Podziemnej, o której pisałem obszernie w książce „Opcja niemiecka”.

Myśliński był zdeklarowanym antykomunistą, który uważał, że podziemie powinno zawrzeć nieformalne zawieszenie broni z Niemcami i skupić się na walce ze znacznie groźniejszym wrogiem – bolszewi-

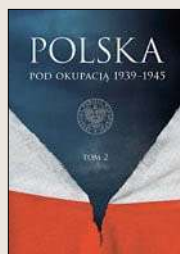
zmem. W tym celu nawiązał kontakt z asem gestapo działającym w Warszawie – Albertem Spilkerem.

To antysowieckie nastawienie Myślińskiego jest wyraźnie widoczne w raporcie. Sugerowane przez niego metody walki z komuną były zdecydowanie bardziej radykalne niż nastawienie większości polskiego podziemia. Oto co m.in. postulował Myśliński:

- „Ujednolicenie kontrpropagandy komunistycznej i przerzucenie jej na cały polski ruch podziemny.
- Dezorganizowanie szeregów PPR za pomocą działań wręcz, lecz bez uciekania się do pomocy Niemców. To ostatnie zagadnienie stwarza nowy zespół argumentów, przemawiających za koniecznością uruchomienia kadry bojowej.
- Wzmożenie akcji plakatowej i »malarskiej«.
- Powołanie do życia organu komunistycznego (np. trockistowskiego) dla rozsadzenia spistości komuny.

- Skoordinowanie wywiadu antykomunistycznego i nastawienie go na tor dokładnego rozpracowywania PPR i jej siatki organizacyjnej”.

Jak widać, był to program konfrontacji z komuną. Szkoda, że polskie podziemie poszło inną drogą. ©©



★★★★★
„POLSKA POD OKUPACJĄ 1939-1945”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Fabryczka obrazów

Rodzina Kossaków uchodzi za najważniejszą „dynastię artystyczną” w naszym kraju.

W linii męskiej – malarze, w żeńskiej – pisarki. Postacie, które na zawsze zapisały się w dziejach polskiej kultury.

Za najwybitniejszego jej przedstawiciela uważany jest Wojciech Kossak. Ten urodzony 31 grudnia 1856 r. artysta

przeniesienie z kalki rysunku na świeże płótno i namalowanie motywu z właściwą dla Kossaków kolorystyką. Następnie do dzieła przystępował Jerzy, przygotowując półprodukt dla ojca, do którego należało dokończenie malowidła i naniesienie podpisu.

Kossakowie malowali „napcie” (obrazy o treści napoleońskiej), „piłsudy” (portrety Marszałka) w hurtowych ilościach. Nie czekano na ich wyschnięcie, jeszcze wilgotne umieszczano na specjalnych korkach (tak aby farba się nie rozmazywała) i pakowano w paczki po kilkanaście sztuk. Oczywiście każda przesyłka zawierała obrazy w jednokowym formacie – z reguły najbardziej komercyjnym.

Nawet przemysłowa produkcja obrazów jednak nie wystarczała i w latach 30. ubiegłego stulecia rodzina Kossaków stanęła przed widmem bankructwa. Wojciech do końca zachował jednak klasę, już podczas okupacji niemieckiej nie przyjął zaproszenia na Wawel, gdzie za solidne honorarium miał namalować portret generalnego gubernatora, Hansa Franka. Nie zgodził się również na pozowanie Franka w rodzinnej „Kossakówce”, tłumacząc się stanem zdrowia i sędziwym wiekiem. Oświadczył, że już nie maluje, a zdziwionemu oficerowi niemieckiemu wyjaśnił, iż mokre jeszcze od farb obrazy w pracowni poddaje wyłącznie renowacji. „Fabryczka” nadal funkcjonowała, ale Kossak nie chciał mieć nic wspólnego z hitlerowcami. Zmarł w samym środku wojny, latem 1942 r. ©©

Nie przyjął zaproszenia na Wawel, gdzie miał namalować portret Hansa Franka

był prawdziwym „królem życia”, namiętnym kobieciarzem, który lubił błyszczeć w wielkim świecie, ale nigdy nie zaniedbał rodziny. Przeciwnie, z ogromną energią zabiegał o jej pomyślność finansową, uwielbiał dzieci i żonę, a dom rodzinny uznawał za jedyne szczęśliwe miejsce na ziemi. Wydatki rosły jednak nieproporcjonalnie do dochodów (koszty utrzymania domów w Krakowie i Juracie, pracowni w Zakopanem i warszawskim „Bristolu”, rozwodów dzieci i kosztownych podróży zagranicznych), w efekcie artysta nie mógł nadążyć z malowaniem kolejnych obrazów, aby pokryć zobowiązania. Zapotrzebowanie było jednak duże i wobec tego wraz z synem, Jerzym (też malarzem), zorganizował w Krakowie „fabryczkę obrazów”. Zatrudniono kilku przeciętnych malarzy i studentów malarstwa, których rolą było



Tomasz P. Terlikowski

Objawienia Matki Bożej trojgu pastuszków są zaskakująco współczesne i otwarte na nowe interpretacje



Zatrważająco aktualna

Gdy kilkanaście lat temu św. Jan Paweł II ujawnił po wielu latach skrywania trzecią tajemnicę fatimską, a wcześniej wypełnił (według samej wizjonerki siostry Łucji) prośbę Matki Bożej o zawierzenie Rosji i całego świata Jej Niepokalanemu Sercu, wydawało się, że – po wielu debatach, dyskusjach, sporach – będzie można zamknąć objawienia fatimskie w bezpiecznej szafeczce z napisem: „Historia Kościoła”. Wielu chętnie by to zrobiło, bo w objawieniach zbyt wiele jest tradycyjnej pobożności, umartwienia, ostrzeżeń przed piekłem i wezwań do pokuty, by mogły się one podobać nowoczesnym, otwartym i postępowym

katolikom, którzy już dawno utracili wiarę nie tylko w piekło (chyba że jest to piekło kobiet), w wartość pokuty i umartwienia, lecz także w Matkę Bożą. Tyle że objawienia wymykają się tym pragnieniom, wciąż ujawniają nowe tajemnice, a zawarte w nich obrazy stają się szokująco aktualne.

TRZECIA TAJEMNICA UJAWNIANA

Zapewne najlepiej widać to w przypadku słynnej trzeciej tajemnicy fatimskiej. Najpierw przez wiele lat ukrywano ją (również po czasie, który został zastrzeżony), później, już po jej ujawnieniu – w znakomitym zresztą komentarzu kard. Josepha Ratzingera – próbowano

przekonywać wszystkich, że w istocie cała jej treść została wypełniona i nie ma już na co czekać ani nad czym się zastanawiać. I chociaż część komentatorów uznała, że Kościół nie ujawnił całej tajemnicy, lecz jedynie jej część, to najwyżsi urzędnicy watykańscy zawsze mocno temu zaprzeczali i zapewniali, że wszystko jest już jasne. Benedykt XVI zastrzegając, że jest błędem uznanie, iż „prorocka misja Fatimy się skończyła”, ale jego słowa przykrywane były politycznie poprawnym i przystrojonym w teologiczne szaty bełkotem, w którym dowodzono, że właśnie nastał czas wiecznego pokoju, Rosja się nawróciła i nie ma się co przejmować wypełnionymi wizjami.



FOT. SPLASH NEWS/EAST NEWS

Fatima

I nagle, ledwie kilka lat temu, na ekranach naszych telewizorów i table-
tów zaczęły się pojawiać obrazy jakby
żywemc przeniesione z wizji siostry
Łucji. „Po dwóch częściach, które już
przedstawiłam, zobaczyliśmy po lewej
stronie Naszej Pani nieco wyżej Anio-
ła trzymającego w lewej ręce ognisty
miecz; iskrząc się, wyrzucał języki ognia,
które zdawało się, że podpalą świat; ale
gaśły one w zetknięciu z blaskiem, jaki
promieniował z prawej ręki Naszej Pani
w jego kierunku; Anioł, wskazując prawą
ręką ziemię, powiedział mocnym głosem:
»Pokuta, Pokuta, Pokuta!«. I zobaczyli-
śmy w nieogarnionym świetle, którym
jest Bóg: »coś podobnego do tego, jak

widzi się osoby w zwierciadle, kiedy
przechodzą przed nim«, Biskupa odzia-
nego w Biel, »mieliśmy przeczucie, że to
jest Ojciec Święty«. Wielu innych Bisku-
pów, Kapłanów, zakonników i zakonnic
wchodzących na stromą górę, na której
szczytce znajdował się wielki Krzyż
zbity z nieociosanych belek, jak gdyby
z drzewa korkowego pokrytego korą;
Ojciec Święty, zanim tam dotarł, prze-
szedł przez wielkie miasto w połowie
zrujnowane i na poły drżący, chwiejnym
krokiem, udręczony bólem i cierpieniem,
szedł, modląc się za dusze martwych
ludzi, których ciała napotykał na swojej
drodze; doszedłszy do szczytu góry,
klęcząc u stóp wielkiego Krzyża, został
zabity przez grupę żołnierzy, którzy kilka
razy ugodzili go pociskami z broni palnej
i strzałami z łuku i w ten sam sposób
zginęli jeden po drugim inni Biskupi,
Kapłani, zakonnicy i zakonnice oraz
wiele osób świeckich, mężczyzn i kobiet
różnych klas i pozycji. Pod dwoma ra-
mionami Krzyża były dwa Anioły, każdy
trzymający w ręce konewkę z kryształu,
do których zbierali krew Męczenników
i nią skrapiali dusze zbliżające się do
Boga” – napisała siostra Łucja.

Aż trudno nie zadać pytania: Czy nie
oglądamy, niemal na żywo, realizacji tego
obrazu, gdy muzułmańscy terroryści (do
spółki z Rosjanami i wojskami reżimu
Al-Asada) niszczą Aleppo, mordując przy
okazji chrześcijan? Czy nie widzimy tych
obrazów, gdy PI w okrutny i niezmiernie
spektakularny sposób morduje chře-
ścijan? 21 Koptów zamordowano nad
Morzem Śródziemnym, podrzynając im
gardła i filmując, jak krew męczenników
spływa do morza (wstrząsający obraz,
którego trudno nie zestawić z obrazem
aniołów zbierających krew męczenników
do konewek). Inny film, także zaprezen-
towany przez islamistów, przedstawia
kilkunastu chrześcijan, którzy po odmow-
ie konwersji na islam zostali wsadzeni
do klatki, a potem zatopieni w wodzie.
I modlili się, oczekując na okrutną
śmierć. Kilkanaście dni temu zamacho-
wiec muzułmanin wysadził się w kaplicy
obok katedry św. Marka w Kairze. I zno-
wu zginęli chrześcijanie.

ISLAM I FATIMA

Kilka filmów nie wyczerpuje jednak
ogromu męczeństwa, z jakim zmagają się
obecnie chrześcijanie na Bliskim Wcho-
dzie i w Afryce. Ogromna rzesza z nich
została już pozbawiona domów, ich żony

i dzieci – w tym także synowie – zostali
często sprzedani do burdeli w Turcji,
a oni sami pozbawieni resztek godności.
Niekórzy – nie ma co ukrywać – nieliczni,
ulegają przemocy i tak jak pewna kobieta,
o której opowiadał mi duchowny często
goszczący na Bliskim Wschodzie, doko-
nują konwersji na islam, by potem gorąco
pokutować. – Ona przepraszała, błagała
o rozgrzeszenie i przekonywała, że nie
miała innego wyjścia, bo wiedziała, że jeśli
nie wypowie słów konwersji, to oni będą
gwałcić jej nieletnie córki na jej oczach tak
długo, aż one umrą – opowiadał mi ten
kapłan. Prześladowania objęły także du-
chownych, których porywa się dla okupu,
ale których – wbrew logice – często się
zwyczajnie morduje, nawet jeśli pieniądze
zostaną przelane na konta porwawczy.

Ta, jak się zdaje, nieprzypadkowa
zbieżność obrazów nie wyczerpuje jednak
związków między Fatimą a islamem, mię-
dzy objawieniami Matki Bożej a tym, co
obserwujemy obecnie w Europie. I mają
tego świadomość również muzułmanie,
z których część przyjmuje kompletnie od-
mienną od katolickiej interpretację obja-
wień w Fatimie. Ich zdaniem to wcale nie
Matka Boża, ale ukochana córka proroka,
nosząca właśnie imię Fatima, ukazała się
w 1917 r. pastuszkom, aby przekazać im
wiadomość o tym, że sto lat później islam
zwyćwie Europę. 13 maja 2017 r. nastąpić
ma decydujący atak islamu na Europę.

Oczywiście dla chrześcijan ta wizja jest
kompletnie nie do przyjęcia, ale uświa-
damia ona, że w przestrzeni duchowej
Fatima jest odbierana jako mająca co
nieco wspólnego z islamem. A powód jest
niezmiernie prosty. Jest faktem, że nazwa
wioski odsyła do imienia córki Maho-
meta, a także do historii walk z islamem.
„Cokolwiek dzieje się ze zrządzenia Nieba,
dba ono o to, aby wszystkie szczegóły
zostały dopracowane z najwyższą finezją.
Wierzę, że Najświętsza Dziewica wybrała
sobie miano »Matki Boskiej z Fatimy«
jako obietnicę i znak nadziei dla ludów
muzułmańskich i jako zapewnienie, że
ci, którzy okazują jej tak wiele szacun-
ku, pewnego dnia przyjmą również Jej
Boskiego Syna” – pisał abp Fulton Sheen.
Ten wybitny katolicki apologeta przy-
pominął także, jakie są źródła nazwy
malutkiej miejscowości. Otóż takie imię
nosiła córka ostatniego muzułmańskie-
go władcy wioski. „Zakochał się w niej
katolicki chłopak, ona odwzajemniła jego
miłość i nie tylko pozostała w Portugalii,
gdy muzułmanie odeszli, lecz także

■ przyjęła wiarę katolicką. Jej młody mąż był w niej tak zakochany, że przemianował miasto, w którym mieszkali; odtąd nosiło ono nazwę Fatima – wskazywał arcybiskup. A nie jest on jedyną osobą, która coraz częściej wskazuje, że między Fatimą a islamem jest bardzo ścisły związek. Oraz że być może na naszych oczach realizuje się jedyna z tajemnic-obrazów, która nie została opatrzona komentarzem ani wyjaśnieniem.

MISTYCZNY WYMIAR HISTORII

Ta otwarta na teraźniejszość i przyszłość interpretacja trzeciej tajemnicy fatimskiej nie powinna jednak przesłaniać samej Fatimy, której treść teologiczna też jest bardzo głęboka. Trudno np. nie dostrzec, że Maryja ujawnia pastuszkom, iż historia ma także wymiar duchowy, mistyczny. Jej budowniczymi są zatem nie tylko wielcy politycy, przywódcy, wojskowi, lecz także modlący się w swoich izdebkach najprostszy nawet chrześcijanin. Już 13 maja – podczas pierwszego objawienia – Maryja prosi dzieci, by te codziennie odmawiały Różaniec, „aby uzyskać pokój dla świata i koniec wojny”. Tak, o to właśnie prosi dzieci Matka Boża, jakby uzależniając koniec wojny i trwały pokój od modlitwy dzieci (a z czasem wielu innych chrześcijan).

Dwa miesiące później, podczas objawienia 13 lipca, Maryja idzie jeszcze dalej i choć podkreśliła, że I wojna światowa już dobiega końca, to jednocześnie ostrzegła, że „jeżeli ludzie nie przestaną obrażać Boga, to w czasie pontyfikatu Piusa XI rozpocznie się druga wojna, gorsza”. A zanim to się stanie, na niebie pojawi się szczególny znak, „nieznane światło”, które będzie „wielkim znakiem od Boga, że zbliża się kara na świat za liczne jego zbrodnie”. Maryja mówiła również, że jeśli Rosja zostanie poświęcona Jej Niepokalanemu Sercu i nie upowszechni się nabożeństwo pierwszych sobót, to... „Rosja nawróci się i zapanuje pokój, jeżeli nie, bezbożna propaganda rozszerzy swoje błędne nauki po świecie, wywołując wojny i prześladowanie Kościoła”. Do tego objawienia Maryja zresztą jeszcze powróci, uszczegóławiając je kilka lat później i wyjaśniając, w jaki sposób Ojciec Święty ma zawierzyć Rosję i jak powinno wyglądać nabożeństwo pierwszych sobót miesiąca.

Mistyczny wymiar historii pisanej także przez Matkę Bożą i wiernych objawieniom fatimskim ujawnił się w roku 1960. 12 października Nikita Chruszcz-

czow w przemówieniu wygłoszonym w ONZ zagroził zachodnim politykom, że ich zniszczy. I miał ku temu podstawy, bo sowieccy uczeni kończyli właśnie testy potężnego międzykontynentalnego pocisku balistycznego R-16. Żaden inny kraj nie miał broni o takim zasięgu ani o takiej mocy. Kilka dni przed przemówieniem przywódca Związku Sowieckiego portugalski biskup Leri João Pereira Venâncio wystosował do wszystkich biskupów świata list z prośbą o modlitwę i pokutę w akcie zadośćuczynienia za zniewagi Serc Jezusa i Maryi oraz w intencji nawrócenia Rosji. Hierarcha zwrócił się także do Portugalczyków z prośbą, aby 12 i 13 października przybyli do Fatimy i modlili się w tych intencjach. Do sanktuarium na to wezwanie przybyło ponad 50 tys. wiernych, którzy trwali na modlitwie. 11 dni później odbyć się miał najważniejszy test nowej rakiety na kosmodromie Bajkonur. Coś jednak

Ostatecznym potwierdzeniem prawdziwości tego, co powiedziała Matka Boża, był cud słońca. W jego efekcie wielu się nawróciło

poszło nie tak, doszło do eksplozji, która pozbawiła życia ponad stu inżynierów i wojskowych. Do prac nad tym pociskiem nigdy już nie powrócono. I chociaż dla człowieka niewierzącego to zapewne tylko przypadkowa koincydencja zdarzeń, dla ludzi wierzących jest to dowód na skuteczność zawierzenia historii Matce Bożej. Podobnym dowodem jest to, że komunizm upadł dopiero, gdy św. Jan Paweł II zawierzył świat i Rosję Niepokalanemu Sercu Maryi.

PAN OBJAWIA SIĘ MALUCZKIM

Mocnym argumentem za prawdziwością objawień w Fatimie są także... sami wizjonerzy. Troje dzieci (Hiacynta, Łucja i Franciszek), gdy po raz pierwszy objawił się im Anioł, a później Maryja, nie umiały nawet pisać. Rosja nie kojarzyła im się z niczym, więc trudno, by same wymyśliły przesłanie jej dotyczące. Wojna, z ich perspektywy, też toczyła się daleko, więc i tego nie były w stanie wymyślić. Łucja, w imię wierności objawieniom, musiała zaś znosić wielomiesięczne prześlado-

wania własnej matki, która długo nie była w stanie uwierzyć w to, że jej córka rzeczywiście spotkała się z Maryją.

Trudno też uznać, że dzieci – bez najmniejszej przyczyny – tak bardzo się zmieniły. Franciszek w momencie objawień Anioła miał osiem lat, a gdy objawiła się im Matka Boża dziewięć, jego siostra Hiacynta była o dwa lata młodsza, a Łucja o rok starsza. Maryja objawiła się więc dzieciom, i to właśnie one jako pierwsze zaczęły wprowadzać w życie Jej prośby. A robiły to z dynamizmem. Maryja prosiła je o umartwienia, więc one – w gorących dniach – odmawiały sobie, przy pasaniu owiec, picia. Nie jadły też obiadów, ale dzieliły się nimi z ubogimi. A wreszcie, gdy znalazły sznur, opasały się nim, aby odczuwać ból. Umartwienia ich były tak mocne, że aż Maryja poprosiła, by zdejmowały na noc sznur. Franciszek, który tylko widział Matkę Bożą, ale nie słyszał Jej słów (jego siostra Hiacynta widziała i słyszała Maryję, ale z nią nie rozmawiała, a Łucja widziała, słyszała i rozmawiała), po objawieniu smutnego Jezusa i płaczącej Maryi całkowicie poświęcił się pocieszaniu Boga, a jego siostra po wizji piekła zaczęła się umartwiać, byle tylko ratować grzeszników, którzy do niego zdążają. Oboje robili to aż do śmierci (która także została przepowiedziana przez Maryję). Łucja zaś, na wyraźne polecenie Matki Bożej, nauczyła się czytać i pisać, by dalej głosić orędzie fatimskie. Cała trójka przeżyła jednak ogromną zmianę i nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Cała trójka z odwagą znosiła też cierpienia (choćby zatrzymanie przez masońską władzę), byle tylko zachować wierność Maryi.

Ostatecznym potwierdzeniem prawdziwości tego, co powiedziała im Matka Boża, był jednak cud słońca. 13 października, zgodnie z zapowiedzią, Maryja uczyniła wielki cud. Tego dnia w Fatimie było kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Dziennikarze, masoni, sceptycy i wielu wierzących. I wszyscy oni zobaczyli to samo. W pewnym momencie słońce zaczęło „tańczyć” na niebie, wirować, zbliżać się do ziemi, a także wysyłać różnokolorowe promienie. Widzieli to wszyscy, i nawet liberalnie nastawione gazety musiały przyznać, że tak było. Wielu się w efekcie tego cudu nawróciło. Inni nawrócili się, gdy się okazało, że zapowiedzi Maryi się spełniają. Niestety, wiele wskazuje na to, że nie nawrócił się świat, a to oznacza, że ostrzeżenia Matki Bożej są nadal aktualne.

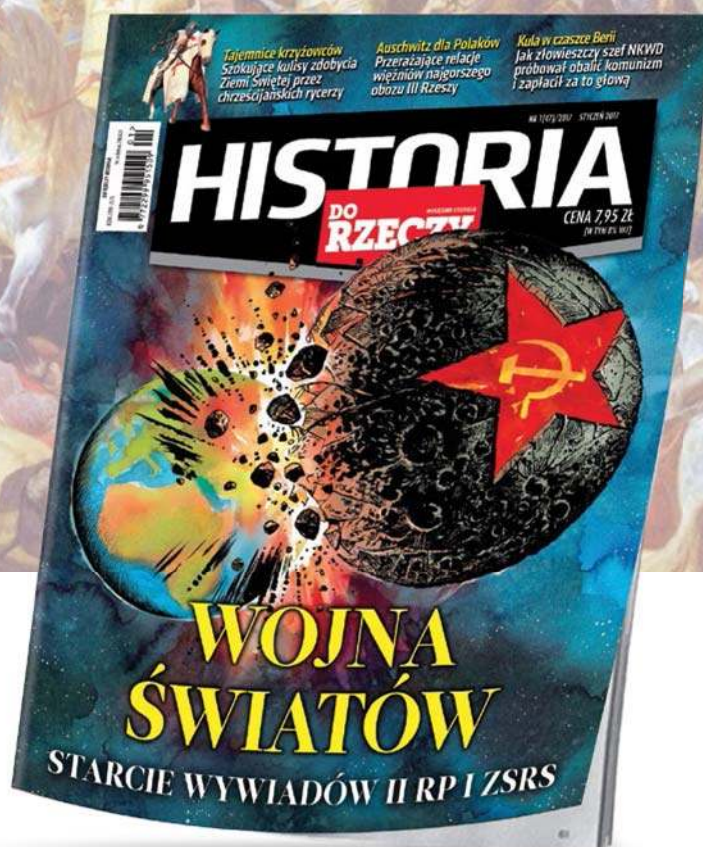
© Wszelkie prawa zastrzeżone



TYLKO U NAS!
NAJWIĘKSZE TAJEMNICE KRZYŻOWCÓW!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Piotr Zychowicz – Wojna wywiadów II RP i ZSRS / **Maciej Rosalak**
– **Szpiedzy-renegaci w Wojsku Polskim** / Marek Gałęzowski – Auschwitz:
obóz dla Polaków / **Andrew Nagorski** – **Kłęsa łowców nazistów**
/ **Françoise Thom** – Sowietka kula w czaszce Berii / **Sławomir Koper**
– **Przedwojenni gangsterzy**

i wiele, wiele więcej



Krzysztof Mastoń

Brytyjczycy o wygranej z Napoleonem mają wiele do powiedzenia. I po latach stać ich na obiektywizm

Wiedzę o tej jednej z najślawniejszych bitew w dziejach zaczerpnąłem z „Nędzników” Wiktora Hugo, których – co prawda – czytałem we fragmentach, ale akurat opis zmagania armii Napoleona z połączonymi siłami angielsko-pruskimi tak mnie zaciekawił, że całe jego ustępy wryły mi się w pamięć, jak miało się okazać, na zawsze. A że do wielkiej powieści Hugo wracałem potem po wielokroć, za pewnik przyjąłem sady francuskiego romantyka. Takie jak ten:

„Gdyby nie spadł deszcz w nocy z 17 na 18 czerwca 1815 roku, inna byłaby przyszłość Europy. Kilka kropel wody rozstrzygnęło o sprawie Napoleona. Opatrzność potrzebowała tylko trochę deszczu na to, aby Waterloo zakończyło Austerlitz, i dość było chmury, wbrew przewidywaniu pojawiającej się na niebie o tej porze roku, żeby zawałił się cały jeden świat.

Bitwa pod Waterloo mogła się rozpocząć dopiero o wpół do dwunastej i to dozwoliło Blucherowi zdążyć na czas na plac boju. Dlaczego? Bo ziemia była wilgotna. Należało czekać, aż obeschnie nieco, aby artyleria mogła działać. [...]

Gdyby ziemia była sucha, można by było przetaczać armaty i działania rozpoczęłyby się o szóstej rano. Bitwa byłaby wygrana i skończona o drugiej, na trzy godziny przed nagłym powikłaniem, wywołanym przybyciem Prusaków.

Ile było winy Napoleona w przegraniu tej bitwy? Czy sternikowi można przypisać odpowiedzialność za rozbitcie okrętu?”.

NA PŁASZCZYŹNIE MITYCZNEJ

Z wydanej właśnie nakładem Fabryki Słów książki brytyjskiego (choć mieszkającego w USA) historyka i powieściopisarza Bernarda Cornwella pt. „Waterloo. Historia czterech dni, trzech armii i trzech bitew” wynika jednak, że wprowadzie Hugo o wielkiej bitwie napisał tak żarliwie jak nikt, stworzył jednak przy okazji mity mające zadzi-



wiającą długowieczność, zwłaszcza we Francji. Autor „Nędzników” twierdził np.: „Z trzynastu czworoboków kirasjerzy roznieśli siedem, wzięli lub zagwoździli sześćdziesiąt dział i zdobyli na regimentach angielskich sześć sztandarów, które trzech kirasjerów i trzech strzelców gwardii zaniosło cesarzowi”. „Wcale nie – oponuje Cornwell. – Ani jeden czworobok nie został rozbity, ani jedna armata nie została zagwożdżona przez Francuzów, ani jeden brytyjski sztandar nie został utracony”.

Hugo utrzymywał również, że obrońcy Hougoumont zrzucali żywych więźniów do studni. Archeolodzy nie odkryli jednak w tym miejscu żadnych ludzkich szczątków.

Podobnie jak większość moich rodaków legendę Waterloo przyswoiłem sobie za Hugo czy Stendhalem, którego Julien Sorel, bohater słynnej powieści „Czerwone i czarne”, był przecież bonapartystą. Że pocziwego Ignacego Rzeckiego z „Lalki” Bolesława Prusa tylko wspomnę. Co tu dużo mówić, miłość do Napoleona wyssałszy z matczynym mlekiem, co nie znaczy, że mamy nie przeczytać z zainteresowaniem tego, co o – n i e s t e t y – wygranej przez jego wrogów bitwie pod Waterloo mają do powiedzenia Angole. Zwłaszcza że mijają

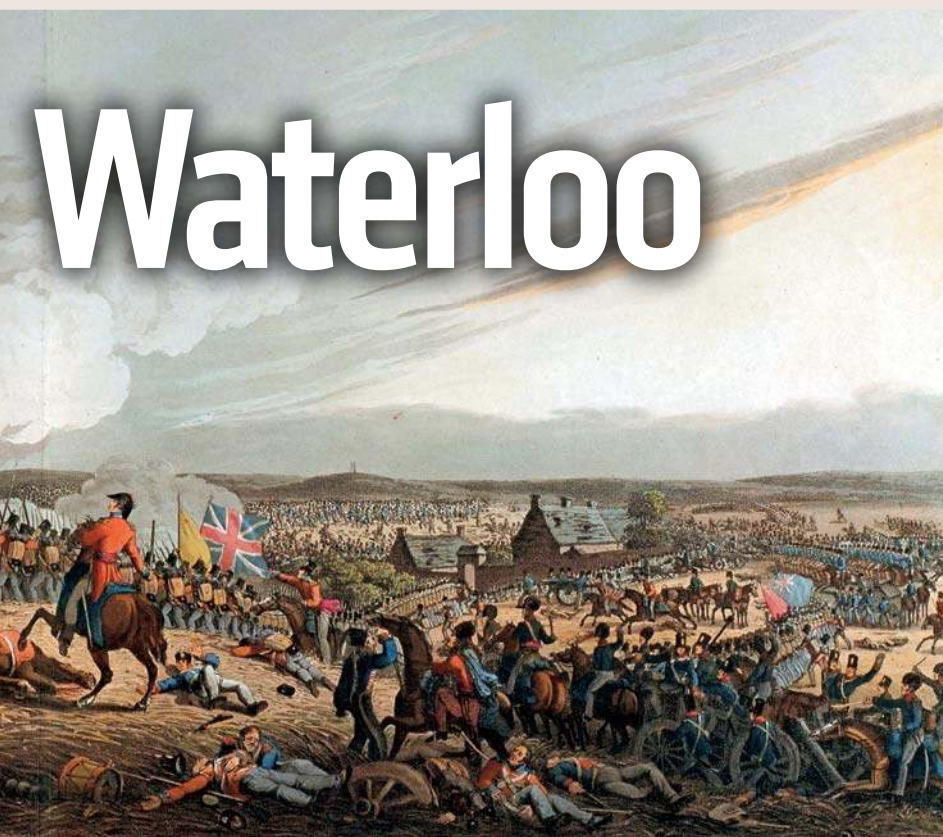
lata i – co widzimy po książce Cornwella – stać ich na obiektywizm. Oczywiście względny.

RAMIĘ KSIĘCIA ORANI

Autor „Waterloo” nie szczędi krytyki nie tylko francuskim dowódcom. Ze szczególnym upodobaniem niszczy dowodzącego centrum angielskich wojsk młodego (miał wtedy 23 lata) księcia Orańskiego zwanego przez niego Szczupłym Bilym. Ten przyszły król Holandii i wielki książę Luksemburga, który do historii przeszedł jako Wilhelm II Holenderski, odbywając wojenną praktykę u boku Wellingtona, wielokrotnie dawał dowody swojej nieudolności. Także pod Waterloo.

Zdanie Napoleona o księciu Wellingtonie (już przed Waterloo uważanym za największego brytyjskiego dowódcę od czasów księcia Marlborough), że był on jedynie – po kampanii w Indiach – „sipajskim generałem”, budzić może litość. Jednak autor „Waterloo” jest dla Bonaparte’go wyrozumiały, powtarzając za Andrew Robertsem i jego książką „Napoleon i Wellington” pytanie: A co innego cesarz mógł powiedzieć w poranek przed bitwą? Przecież nie mógł wychwalać zalet przeciwnika. Jeśli zaś chodzi o cesarskie schorzenia, na których karb niektórzy miłośnicy Bonaparte’go składają jego

Waterloo



w swym pochodzie został pod Waterloo zatrzymany i już 22 czerwca abdykował. Resztę życia spędził na Wyspie Świętej Heleny. I z tego punktu widzenia bitwa, w której przegrał, jest bardzo ważna. „Stanowi punkt zwrotny w historii – czytamy – i twierdzenie, że bez niej koło dziejów i tak by się obróciło, wcale nie pomniejsza jej znaczenia. Niektóre bitwy nie zmieniają nic. Waterloo zmieniło niemal wszystko”.

NA BOGA, SIR!

Ile osób zginęło pod Waterloo? Ilu było rannych? Bernard Cornwell nie sili się na ustalenie tej upiornej statystyki. Podaje te dane, o których jest przeświadczony, że są prawdziwe: Napoleon rozpoczął bitwę z 77 tys. żołnierzy, po tygodniu przeglądy stwierdziły brak 46 tys. (pamiętać trzeba o dezercerach); siły brytyjsko-niderlandzkie Wellingtona nie doliczyły się 17 tys.; Prusacy w sumie, podczas odwrotu do Wavre i pod Waterloo, stracili 31 tys. ludzi; pod Quatre Bras walczyło 840 oficerów brytyjskiej piechoty, z których poszkodowana została połowa; jedna trzecia brytyjskiej konnicy została zabita lub zraniona. „Gdy 18 czerwca zapadła noc – czytamy – na polu bitwy leżało zapewne około 12 tysięcy trupów i od 30 do 40 tysięcy rannych, a wszystko to na obszarze 8 kilometrów kwadratowych”.

Wiele epizodów bitwy pod Waterloo zapisało się trwale w annałach, wielu dowódców i żołnierzy przeszło do historii. A walczone do końca. Kanonierzy z Wielkiej Baterii strzelali, choć francuskiej armii już nie było. I właśnie jedna z takich ostatnich kul przemknęła obok Wellingtona, minimalnie go chybiając, i urwała nogę jego zastępcy. „Na Boga, sir – powiedział podobno lord Uxbridge – straciłem nogę!”. „Na Boga, sir – odrzekł książę – istotnie”.

Z kolei francuski generał Pierre Cambronne w beznadziejnej sytuacji dowodził brygadą gwardii. Wezwany do kapitulacji, odpowiedział – jak głosi legenda – „La Garde meurt, mais ne se rend pas!” (Gwardia umiera, ale się nie poddaje!). Według innej wersji generał wykrzyknął tylko jedno słowo: „Merde!” (Gówno!). On sam utrzymywał zaś, i to jest najbardziej prawdopodobne, że powiedział: „Tacy łajdacy jak my się nie poddają”. I następnie się poddał.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

kłeskę, to Cornwell przyznaje jedynie, że apatyczne zachowanie Napoleona w dniu bitwy mogło wynikać z jego zmęczenia.

To Napoleon przegrał bitwę – z naciskiem podkreśla pisarz. Pozostawił dowodzenie marszałkowi Neyowi, którego uważał wprawdzie za odważnego, ale „zbyt głupiego, by mogło mu się powieść”. Skoro tak, to dlaczego na nim polegał? Ney zrobił to, czego można się było po nim spodziewać: ciskał kolejne oddziały przeciw – czytamy – „najbiegłszemu dowódcy swojej epoki”. A to było o wiele za mało.

OBROTY KOŁA ZIEMI

Już w przedmowie do książki stawia Bernard Cornwell zasadnicze pytanie: Po co kolejna książka o Waterloo? „Napoleon atakuje prawe skrzydło Wellingtona, starając się zwabić rezerwy księcia na tę część pola bitwy, po czym rozpoczyna zmasowany atak na lewą flankę brytyjskiego dowódcy. Owo natarcie nie powodzi się. W akcie drugim następuje potężny szturm kawalerii po prawej stronie centrum księcia, natomiast akt trzeci, w którym z lewej strony na scenę wchodzi Prusacy, to desperacka ostatnia ofensywa niepokonanej Gwardii Cesarskiej. Można do tego dodać wątki poboczne w postaci szturmów na Hougomont oraz upadek

La Haie Sainte. Taki szkielec ramowy posiada pewną wartość, lecz bitwa była znacznie bardziej skomplikowana, niż sugeruje ten uproszczony szkic fabularny. Dla tych, którzy brali w niej udział, nie wydawała się prosta czy wytłumaczalna, tak więc jednym z powodów stojących za napisaniem tej książki jest próba pokazania, jak to było znaleźć się tego niespokojnego dnia na polu walki”.

Waterloo to bitwa pod wieloma względami wyjątkowa. Także dlatego, że ma swoją niezwykle bogatą wewnętrzną fabułę, no i bohaterów takich jak Wellington i Bonaparte. Cornwell przyznaje, że pisząc powieść „Waterloo Sharpe’a” (część wielotomowego cyklu o przygodach angielskiego żołnierza Richarda Sharpe’a), musiał pilnować, by jego własna fabuła w ogóle zmieściła się w książce, tak bardzo zdominowanej przez dramaturgię bitwy.

Pisarz przychylił się do hipotezy, że w istocie wynik zmagania pod Waterloo o niczym nie przesądził, bo nawet gdyby Napoleon zwyciężył i tak wskutek połączonych przeważających sił wrogów w końcu poniósłby klęskę. Może tak, może nie. W każdym razie Bonaparte



BERNARD CORNWELL
„WATERLOO”
FABRYKA SŁÓW,
LUBLIN 2016



FOT. SAN FRANCISCO INTERNATIONAL AIRPORT

ŚWINKA DLA PODRÓŻNYCH

Podróż bywa stresująca. Wie to każdy, zwłaszcza teraz, gdy wyjeżdżał i wracał na święta lub gdy przygotowuje się do wyjazdu na sylwestrowe szaleństwo. Niektórzy najbardziej boją się latania samolotami. I o ich dobre samopoczucie postanowiło zadbać lotnisko w San Francisco. Do zespołu obsługującego podróżnych włączono tam właśnie małą łaciatą świnkę o imieniu LiLou. Jest pierwszą świnką w historii, która ma certyfikat przydatności w terapii poświadczony przez miejscowe towarzystwo opieki nad zwierzętami. Do tej pory takie certyfikaty wystawiano głównie psom. Świnka jest wyjątkowa, ale same programy terapii rozładowującej podróżny stres już nie – ponad 30 amerykańskich lotnisk pomaga zestresowanym podróżnym, głównie przy pomocy psów. Chociaż jest już jedno lotnisko, na którym wykorzystuje się się miniaturowego konika.

MĘSKI STRES

Ta wiadomość powinna być opublikowana jeszcze przed zmuszaniem mężczyzn do świątecznych porządków (można ją wyciąć i zachować do sezonu wielkanocnego). Niejaka Maria Elizarraras pozwała jeden ze sklepów w Orlando. Domaga się pół miliona dolarów za to, że sklep miał się przyczynić do śmierci jej 69-letniego męża. Zdaniem Marii jej mąż zniknął ze sklepowej toalety i gdy wychodził, obsługa zwróciła mu uwagę, że zostawił po sobie bałagan. Nakazano mu go posprzątać. Zdaniem wdowy w ten sposób mężczyzna został upokorzony, jego uczucia zranione, a stres, którego w tej sytuacji doznał, spowodował śmierć. Media nie ujawniają, ile czasu upłynęło od incydentu w sklepie do zgonu.

GRATULACJE OD PILOTA

Pasażerowie amerykańskich tanich linii lotniczych Southwest Airlines usłyszeli nietypowy komunikat od pilota. Zwykle kapitan informuje o pogodzie, wysokości przelotowej oraz o temperaturze i przewidywanym czasie lotu. Tym razem pogratulował pasażerom, że udało

im się wypić cały dostępny na pokładzie zapas alkoholu. Samolot leciał z Oakland do Kansas i wioził na pokładzie wielu fanów drużyny futbolu amerykańskiego Oakland Raiders.

UCHO ACHILLESOWE

W noworocznym okresie będzie kilka chwil na wytchnienie i spędzenie czasu z bliskimi. Ci, którzy zasiądą do planszowych gier, powinni zapoznać się z wynikami niedawnego badania Imperial College London i Royal College of Music. Brytyjczycy obnażyli bowiem słaby punkt mężczyzn – to muzyka rockowa. Okazało się, że muzyka ma istotny wpływ na możliwość koncentracji podczas grania w gry planszowe. Gracze popełniali więcej błędów, słuchając AC/DC, niż wówczas, gdy puszczano im muzykę klasyczną. I najciekawsze – na grę kobiet muzyka nie miała zupełnie wpływu.

KOLEJNY SKOK SŁAWNEJ ŻŁODZIEJKI

Doris Payne ma 86 lat i w ubiegłym roku opowiedziała prasie historię swojego życia. O historii tej

wiele mówi tytuł wywiadu – „Byłam złodziejką”. Doris relacjonowała, jak od 1970 r. była postrachem jubilerów, bo okradała ich sklepy z błyskotek. Jej złodziejska legenda fascynowała ludzi mediów także wcześniej – w 2013 r. powstał nawet film dokumentalny „Życie i przestępstwa Doris Payne”. Okazało się jednak, że medialne podsumowanie 60-letniej „kariery” było przedwczesne. Policja poinformowała, że Payne została niedawno zatrzymana za kradzież w sklepie w Atlancie. Połasiła się na warty 2 tys. dol. diamentowy naszyjnik i schowała go do kieszeni.

MIODOWY ODJAZD

Jeszcze nie wszyscy otrząsnęli się z mody na terapię trującą zabą (niedawno w Polsce zmarła jedna osoba), a już jest nowa moda. Hipsterzy zainteresowali się nepalskimi pszczołami, które robią miód z takich kwiatów, że niewielka dawka otumania. Ma to być lecznicze i oczyszczające, choć spożycie większej ilości może zabić. Nic tylko czekać na strony internetowe szamanów, którzy będą oferować nową terapię nad Wisłą. ©©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI

Mieszkanie Plus – sukces możliwy bez publicznych pieniędzy

Wokół programu Mieszkanie Plus narosło wiele mitów. Warto więc skupić się na rzeczywistych rozwiązaniach, jakie ten program oferuje.

W Polsce budowanych jest około 120–140 tys. mieszkań rocznie. To niemal połowę za mało w stosunku do potrzeb. Ponad milion rodzin nie ma szans na wynajem lub kupno własnego mieszkania. Poziom przeludnienia w mieszkaniach przekracza 44 proc., (średnia UE to ok. 17 proc.).

To wynik zaniechań ostatniego ćwierćwiecza w życiu społecznym i gospodarczym. A bez zmiany tego stanu nie ma co marzyć o poprawie demografii.

PAŃSTWOWY IMPULS

Niezbędny jest impuls ze strony państwa. Stąd fundamentem programu Mieszkanie Plus – w ramach filaru dedykowanego budowie mieszkań na wynajem – jest komercyjny charakter inwestycji na każdym etapie realizacji.

O ile poszczególne filary Narodowego Programu Mieszkaniowego mogą się opierać na finansowaniu z budżetu państwa, o tyle do budowy mieszkań na wynajem z opcją dojścia do własności ani budżet państwa, ani samorządy nie dołożą złotówki. Instytucje publiczne będą wprowadzić finansować część nakładów inwestycyjnych niezbędnych do realizacji programu, ale będzie się to odbywać na zasadach komercyjnych, z założeniem wypracowania zysków zapewniających rynkowy zwrot z inwestycji.

Od strony technicznej, inwestycje będą realizowane



w oparciu o finansowanie z funduszu zarządzanego przez BGK Nieruchomości – dziś spółkę zależną Banku Gospodarstwa Krajowego, a już wkrótce Polskiego Funduszu Rozwoju.

Kluczową przesłanką decyzji inwestycyjnych ma być interes samego funduszu i jego uczestników, rozumiany jako wzrost wartości aktywów. Głównym komponentem stopy zwrotu będzie bieżący dochód z portfela nieruchomości, uzyskiwany w postaci przychodów z najmu.

Co szczególnie ważne, komercyjną przesłanką programu Mieszkanie Plus jest zasada pełnej ekwiwalentności świadczeń przy zbywaniu nieruchomości gruntowych do funduszu. Nie ma mowy o jakiegokolwiek pomocy publicznej ze strony instytucji państwowych czy samorządowych, a tym bardziej o pozbawianiu spółek z udziałem Skarbu Państwa potencjalnych korzyści. W każdym przypadku zbycie gruntu na rzecz funduszu będzie objęte świadczeniem ekwiwalentnym. Grunty będą wyceniane, a ich wartość uwzględniana w koszcie przedsięwzięcia. W zamian za aport nieruchomości do funduszu wydawane będą jego certyfikaty

inwestycyjne. Do zapewnienia inwestorom płynności planowane jest notowanie funduszu na GPW w Warszawie.

W ostatecznym rachunku wartość gruntów, podobnie jak innych nakładów, zostanie spłacona czynszami i wróci do inwestorów funduszu, powiększona o dodatkowy zwrot z kapitału. Można zatem mówić raczej o inwestowaniu środków publicznych, a nie wydawaniu.

Zarzuca się też programowi Mieszkanie Plus rzekome bonifikaty dla przyszłych najemców, zawarte czy to w wysokości czynszów, czy też w mechanizmie długoterminowego wykupu mieszkań. W rzeczywistości stawkę czynszu podstawowego determinować będzie wielkość nakładów inwestycyjnych i rynkowa stopa zwrotu oczekiwana przez inwestorów funduszu, przy założeniu pokrycia wszystkich kosztów operacyjnych, finansowych i zarządzania. W przypadku dochodzenia przez najemcę do własności lokalu całkowity kapitał spłacany w ratach czynszu będzie równy nakładowi inwestycyjnym.

SZANSA

Model funkcjonowania funduszu i mechanizm kalkulacji czynszów to nie jedyne przesłanki komercyjnego charakteru programu Mieszkanie Plus – w obszarze dedykowanym budowie mieszkań na wynajem. Zasady komercyjne to także konkurencyjne postępowania przy wyborze wykonawców robót budowlanych i usług związanych z realizacją poszczególnych projektów inwestycyjnych.

Nie zapominajmy też o roli rynków finansowych i kapitało-

wych. O ile w początkowej fazie będzie się ona głównie ograniczać do zapewnienia finansowania dłużnego do realizowanych inwestycji, o tyle wkrótce rola ta może istotnie wzrosnąć. Zakłada się, że zarządzany przez BGK Nieruchomości fundusz będzie w niedalekiej przyszłości notowany na warszawskiej giełdzie, docelowo jako podmiot typu REIT, czyli Real Estate Investment Trust. Mieszkanie Plus to potencjalnie nowa pozycja na mapie inwestycji niskiego ryzyka w naszej części Europy oraz wiarygodny mechanizm stabilnego generowania zysków – zarówno dla inwestorów instytucjonalnych, jak i indywidualnych.

W przypadku komercyjnego filaru Mieszkania Plus zasady rynkowe nie wykluczają, a wręcz są komplementarne z osiąganiem celów społecznych określonych w Narodowym Programie Mieszkaniowym. Szeroki dostęp do mieszkań na wynajem wiąże się ze zwiększeniem poczucia bezpieczeństwa i poprawą warunków życia polskich rodzin. A ograniczenie konieczności zadłużania się w celu zapewnienia rodzinie dachu nad głową to umożliwienie tysiącom Polaków inwestowania we własną przedsiębiorczość. Możemy to osiągnąć, nie podważając fundamentów rynku mieszkaniowego. Przeciwnie, we współpracy z partnerami z rynku – i na komercyjnych zasadach – możemy animować ważne społecznie obszary gospodarki.

Włodzimierz Stasiak
Wiceprezes Zarządu
BGK Nieruchomości S.A.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Co Niemcy za to dostały?

To naprawdę ciekawe, co Niemcy dostały od Rosji w zamian za niedawne oddanie jej kontroli nad gazociągami OPAL, czyli nad główną lądową odnogą zagrożającego bezpieczeństwu Polski niemiecko-rosyjskiego gazociągu Nord Stream, która biegnie przez Niemcy wzdłuż całej zachodniej granicy z naszym państwem. No, oczywiście można sobie wyobrazić, że Niemcy za to symboliczne oddanie znacznej części Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski, od Europy Zachodniej nie dostały od Moskwy absolutnie niczego, ale naprawdę trzeba bardzo, ale to bardzo dużo dobrej woli, żeby w to uwierzyć.

Warto przy tym dobrze zapamiętać, ile wysiłku włożyli – i wciąż wkładają – Niemcy w umożliwienie Rosjanom przejęcia gazociągu OPAL, przy okazji bez pardonu łamiąc najróżniejsze, podobno święte, a na pewno rudymen tarne zasady rządzące Unią Europejską, choćby zasadę zakazującą monopolizowania eksploatacji gazociągów. W końcu jednak kto Niemcom czegokolwiek zabroni w UE, skoro to jest przecież ich UE? Oczywiście nikt, więc i Komisja Europejska bez ociągania się wydała stosowną zgodę na złamanie przez Berlin także tej reguły.

A to oznacza, że od tej pory Rosjanie będą mogli tłoczyć do Europy Zachodniej jeszcze więcej gazu za pośrednictwem gazociągu Nord Stream, czyli jednocześnie będą mogli tłoczyć jeszcze mniej gazu przez gazociągi biegnące przez Polskę i Ukrainę. I o to przecież

w tej brutalnej, wymierzonej w Polskę, państwa bałtyckie i Ukrainę, rosyjsko-niemieckiej grze chodzi.

A zatem: Co Niemcy dostały od Rosji w zamian za oddanie Kremlowi kontroli nad gazociągami OPAL? A co dostały za wzięcie udziału w konsorcjum budowy gazociągu Nord Stream 1, uznanego przed laty nawet przez Radosława Sikorskiego za współczesny odpowiednik paktu Ribbentrop-Mołotow? I wreszcie: Co dostały za wspieranie budowy Nord Stream 2, czyli kolejnej rury gazowej, mającej biec po dnie Bałtyku z Rosji do Niemiec, z ominięciem państw Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski? Cóż, tego na razie z całą pewnością nie wiemy, jak przez pewien czas nie mieliśmy pewności, czego dotyczył pakt Ribbentrop-Mołotow. Jak jednak sądzę, pakiet korzyści nie ogranicza się do kupowania przez niemieckich odbiorców rosyjskiego gazu po odpowiednio niższej cenie, za co – to chyba rzecz oczywista – płać m.in. Polacy, którzy muszą kupować ten sam gaz po odpowiednio wyższej cenie. A dokładnie rzecz ujmując – jednej z najwyższych, jeśli nie wręcz najwyższej.

Czyli Polacy fundują Niemcom tani gaz z Rosji, a w zamian Niemcy raz za razem uderzają w bezpieczeństwo energetyczne, a więc w bezpieczeństwo w ogóle Polski – swego podobno sojusznika z NATO i Unii Europejskiej. To się dopiero nazywa zrobić dobry, na wskroś unijny interes. Przez Niemcy i Rosję, rzecz jasna. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

2017: inflacja i innowacja

Najbliższe kilka lat będzie pod znakiem dwóch silnych trendów, które wpłyną na większość z nas. To powrót inflacji i wdrożenie przełomowych innowacji. Początek tych wieloletnich trendów nastąpi w przyszłym roku.

W minionej dekadzie ilość pieniądza wydrukowanego przez banki centralne w relacji do wytworzonych dóbr i usług gwałtownie wzrosła. Te potoki pieniądza znalazły ujście na rynkach aktywów, ceny akcji, obligacji, nieruchomości oraz innych aktywów i gwałtownie wzrosły, osiągając

stopniu kierowany na rynek dóbr i usług, a w mniejszym na aktywa. Siła gospodarki USA i dominacja technologiczna firm amerykańskich doprowadzą do dalszego umacniania dolara, który przebijie parytet wobec euro. To doprowadzi do osłabienia walut mniej rozwiniętych krajów, w tym Polski, szczególnie do dolara.

Przełomowe innowacje radykalnie wpłyną na nasze życie. Inżynieria genetyczna pokona nieuleczalne choroby i doprowadzi do powstania nowych gatunków roślin i, być może, zwierząt. Roboty i sztuczna inteligencja zaczną pojawiać się w życiu codziennym i będą uczyć się od siebie nawzajem. Będzie to dotyczyło komunikacji, ochrony zdrowia, wojska, finansów, edukacji i wielu innych dziedzin. Doświadczymy przełomu w rozwoju niekonwencjonalnych źródeł energii, co doprowadzi do dalszych spadków cen surowców energetycznych i pomoże w walce ze smogiem w wielkich miastach. Technologie, które pozwalają transmitować energię bez przewodów, zrewolucjonizują działanie urządzeń powszechnego użytku, chociaż na smartfony działające bez baterii trzeba będzie jeszcze poczekać. Prawdopodobnie dojdzie też do pierwszych niepokojących zdarzeń, które uświadomią nam ryzyko dla ludzkości związane z niekontrolowanym wdrażaniem przełomowych technologii. ©©

Innowacje radykalnie wpłyną na nasze życie

rekordowe poziomy. Inflacja była jednak ograniczona do rynku aktywów, nie ujawniła się na powszechną skalę z powodu czterech czynników: niskiego wzrostu gospodarczego, globalizacji, postępu technologicznego i akumulacji bogactwa przez banksterów kosztem reszty.

Trzy z tych czynników przestaną działać: światowy wzrost gospodarczy przyspieszy, trendy globalizacji ulegną odwróceniu, procesy polityczne doprowadzą do zwiększenia dochodów klasy średniej. Pozostanie tylko jeden proces powstrzymujący inflację, czyli innowacje i postęp technologiczny. Tylko dlatego wzrost inflacji będzie umiarkowany, ale dostrzegalny. Strumień pieniądza będzie w większym

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ DOSTĘP DO WERSJI ELEKTRONICZNEJ
+ **TABLET MANTA QUAD POWER MID721, 7”**



239 zł

oszczędzasz 269 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl/c4c8484f4d

Leczenie chorych z nowotworami hematologicznymi w Polsce często kończy się na drugiej linii, gdy na świecie jest jeszcze trzecia, czwarta, piąta – mówi Wojciech Wiśniewski z Fundacji Onkologicznej Osób Młodych „Alivia”. Podobnego zdania jest prof. Jan Walewski, hematolog i dyrektor Centrum Onkologii. Wspomina, jak niedawno przez cztery lata w Polsce zwlekano z refundacją przełomowego leku na chłoniaka Hodgkina – rzadki typ nowotworu hematologicznego, na który dość często chorują młodzi ludzie. Nowy lek był ostatnią deską ratunku, gdy nie pomagały wcześniejsze opcje leczenia, ale aż u 20 proc. osób powodował trwałe wyleczenie. – Tego leku potrzebowało w Polsce 100 osób rocznie. Co roku dzięki niemu można było trwale wyleczyć 20 osób, a wielu przedłużyć życie. Przez te cztery lata wiele osób zmarło, zanim Ministerstwo Zdrowia w końcu zdecydowało się włączyć lek do refundacji – przypomina prof. Walewski.

Lek na ten typ chłoniaka od niedawna jest dostępny, ale w kolejce czekają kolejne nowatorskie terapie – często będące ostatnią szasną dla wybranych grup chorych. Niektóre z nich, ponieważ są pomocne w sytuacjach uznawanych do tej pory za beznadziejne, zyskały w USA status terapii przełomowych. Taki lek firma może zarejestrować w tzw. szybkiej ścieżce, żeby pacjenci mogli z niego korzystać. – Pojawia się on na rynku szybko nie dlatego, że tak chce firma, tylko dlatego, iż jest tak skuteczny – mówi prof. Krzysztof Giannopoulos, hematolog z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Jedną z terapii, która zyskała w ostatnich latach status przełomowej, jest lek stosowany w przewlekłej białaczce limfocytowej (PBL) – najczęstszym nowotworze osób dorosłych. Ta choroba czasem nie wymaga leczenia, a w wielu przypadkach dobrze się jemu poddaje, jednak u pacjentów z tzw. delecją krótkiego ramienia chromosomu 17p (co można sprawdzić dzięki badaniom cytogenetycznym) standardowe leczenie nie pomaga i choroba szybko postępuje. Pojawienie się nowego leku z grupy drobnocząsteczkowych terapii celowanych całkowicie zmieniło sytuację chorych. – U 84 proc. osób, które go otrzymały w badaniu klinicznym, doszło do zmniejszenia ryzyka rozwoju choroby. To były wręcz miażdżące wyniki – dodaje prof. Giannopoulos.

Chociaż nowa terapia na świecie została uznana za przełomową, to dla chorych



Katarzyna Pinkosz

Trudno porównywać nasze standardy leczenia do tych obowiązujących w krajach zachodnich, a dostęp do nowych leków w Polsce też jest często gorszy niż w innych krajach Grupy Wyszehradzkiej. Czy da się to zmienić?

FOT. HOUTERSTOCK

Kiedy lepsze

w Polsce pozostaje niedostępna. Podobnie jak wiele innych przełomowych terapii, z których mogą korzystać chorzy w innych krajach.

RÓŻNICA W FINANSACH I OCENACH

Dlaczego leki, które są dostępne nie tylko w krajach Europy Zachodniej, lecz także w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, pozostają poza zasięgiem polskich pacjentów? – zastanawiali się eksperci podczas debaty „Przyszłość zdrowotna obywateli państw Grupy Wyszehradzkiej”.

Podstawowy powód, na który zwrócili uwagę eksperci spotkania, to niskie finansowanie opieki zdrowotnej. – Polska wydaje na ochronę zdrowia 4,3 proc. PKB, to znacznie mniej niż kraje zachodnie, w dodatku nasz PKB jest niższy. W ciągu ostatnich pięciu lat wydatki na refundację leków w Polsce nie wzrosły, dlatego nowe

leki z takim trudem przechodzą do refundacji – podkreślił Robert Plisko, ekonomista i prezes Health Technology Assessment Consulting. Innym problemem są bardzo restrykcyjne oceny Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT), która często nie rekomenduje ministrowi zdrowia objęcia nowego leku refundacją. – Według moich analiz w ostatnich latach zwiększył się odsetek wydawanych przez AOTMiT negatywnych rekomendacji – dodaje Plisko. Dużym problemem są też bariery cenowe. Jeśli roczny koszt leczenia nowatorskim lekiem przekracza trzykrotną wysokość PKB na osobę w Polsce (to ok. 104 tys. zł), to ma on mniejszą szansę na refundację.

– Na Węgrzech, podobnie jak w innych krajach Grupy Wyszehradzkiej, proces wejścia nowego leku do refundacji jest mniej sformalizowany niż w Polsce. Ponieważ jednak nasze wydatki na ochronę zdrowia



leczenie Polaków?

są na poziomie podobnym jak w Polsce, chorzy też często mają problem z dostępem do nowych terapii – mówił dr Mark Molnar, przewodniczący Węgierskiego Stowarzyszenia Komunikacji w Ochronie Zdrowia. Lepiej pod tym względem wyglądają pozostałe państwa Grupy Wyszehradzkiej (Czechy, Słowacja), które przeznaczają większy procent PKB na ochronę zdrowia oraz na nowe leki.

– Polska nie jest potentatem, jeśli chodzi o PKB i odsetek PKB przeznaczany na ochronę zdrowia. A skoro tak, to ocena technologii medycznych powinna być bardziej szczegółowa i rzetelna – tłumaczył wydawane rekomendacje dr Wojciech Matusewicz, prezes przez AOTMiT.

CO NA TO HEMATOLOGI

Nowotworów hematologicznych krwi, w odróżnieniu od innych, nie da się usunąć chirurgicznie, dlatego

podstawą i szansą na zdrowie jest stosowanie leków. Dzięki postępowi badań genetycznych i molekularnych można je coraz lepiej dobrać do typu molekularnego nowotworu.

– Jako eksperci bierzemy udział w tworzeniu międzynarodowych wytycznych leczenia, a jednocześnie musimy je dopasować do sytuacji w Polsce, gdy mamy mniej pieniędzy na leczenie. Dlatego zależy nam na zapewnieniu leków przede wszystkim tym grupom chorych, którzy są najbardziej poszkodowani przez los, ponieważ dotychczasowe terapie na nich nie działają, a na nowych mogliby najbardziej skorzystać – przekonywał prof. Wiesław Jędrzejczak, krajowy konsultant ds. hematologii.

Taką podgrupą najbardziej poszkodowaną przez los w przypadku przewlekłej białaczki limfocytowej są osoby

z delecją ramienia chromosomu 17p, u których choroba się rozwija.

– Terapie innowacyjne w hematologii przynoszą ogromne korzyści: znacznie wydłużają czas życia pacjentów, poprawiają jego jakość – mówiła dr Erika Szaleczky z Narodowego Instytutu Onkologii Węgier, zastanawiając się, jak kraje Grupy Wyszehradzkiej mogą wzajemnie czerpać ze swoich doświadczeń, by poprawić sytuację chorych.

NADZIEJA NA ZMIANY

Eksperti mają nadzieję, że dostęp polskich pacjentów do nowych terapii poprawi się dzięki nowelizacji ustawy refundacyjnej zapowiadanej na przyszły rok. W przypadku nowatorskich leków na choroby rzadkie ma ona zlikwidować barierę kosztów rocznej terapii w wysokości trzykrotności PKB na osobę. Zamiast tego firma będzie musiała uzasadnić cenę leku.

– Pacjenci w Polsce chcą mieć nadzieję, że będą mieli możliwość stosowania leków, które są dostępne w innych krajach Europy. Panuje jednak przekonanie, że jesteśmy w ogonie Europy, a jak widać, nawet w ogonie Grupy Wyszehradzkiej. Chciałoby się zmienić tę sytuację, żeby Polska nie zamykała peletonu – mówił poseł Krzysztof Ostrowski, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Pacjentów. Przypomniał, że rząd zapowiedział duże zmiany organizacji leczenia oraz stopniowe zwiększenie finansowania ochrony zdrowia do 6 proc. PKB w 2025 r.

– W ostatnich miesiącach dostrzegamy pewne pozytywne zmiany, system jest coraz bardziej zorientowany na „tak” i staje się bardziej przyjazny dla pacjenta. Kilka nowych leków weszło do refundacji, jednak nadal wiele trzeba zmienić – podkreślił Wojciech Wiśniewski z fundacji Alivia.

Hematolodzy mają nadzieję, że nowelizacja ustawy refundacyjnej oraz zmiana podejścia do nowych terapii poprawią też sytuację chorych na PBL z delecją chromosomu 17p. Nowatorskiego leczenia potrzebowałoby w Polsce – jak szacują eksperci – ok. 600 osób rocznie. Bez tej terapii na razie nie mają szans na zatrzymanie choroby. Inicjatorem debaty „Przyszłość zdrowotna obywateli państw Grupy Wyszehradzkiej – z perspektywy chorób hematologicznych” była Fundacja Instytut Studiów Wschodnich przy wsparciu firmy Janssen.



Małgorzata Wołczyk

Chrześcijaństwo, znając naszą naturę i niedojrzałą część naszej osobowości, pozwoliło już w „ciemnych wiekach średniowiecza” zafundować swoim wiernym mocno kontrowersyjne z dzisiejszego punktu widzenia Święto Głupców

Uroczystość przyjęła się głównie w Kościele francuskim jako „la Fête des Fous” (Święto Głupców), choć echa tego ludycznego karnawału dotarły też do innych katolickich krajów. Święto przypadające na 28 grudnia i dedykowane betlejemskiej rzezi niewiniatek osobiście zamieniło się w rodzaj obrazoburczej liturgii na opak „sprawowanej” w katedrach, a nawet męskich i żeńskich zakonach aż do połowy XVI w.

Spośród maskarady przebranych nieobyčajnie uczestników wybierało tego dnia biskupów, czasem nawet papieża. A ponieważ były to wybryki w rodzaju „parodia sacra”, kandydaci na purpuratów-wariatów musieli orientować się w sprawowaniu liturgii. Stąd też werbowano głównie diakonów, kleryków, pomniejszych wikariuszy, którzy z dowcipem, ale i znawstwem mogliby odprawić mszę à rebours. Tymczasowi papieża (a Paryż miał takowych w każdej dzielnicy) mieli okazję wygłosić swoje groteskowe mowy, pełne sprośnych, aluzyjnych i satyrycznych wątków. Folgowali sobie przy okazji w puszczaniu wstydliwych odgłosów cielesnych, co akuratnie uzupełniało poziom prezentowanych „kazań”. Przy dźwiękach „Te Deum” otrzymywali relikwie i insygnia władzy. Przebierańcy udający kanoników i biskupów wkładali ornaty na lewą stronę lub przygotowane wcześniej dziwaczne ubranie typowe raczej dla kobiet wątpliwej proveniencji. Na ołtarzu trwały uczty z mięsiwem, kaszanką, piwem i winem w roli głównej. Śpiewano sprośne piosenki, trwały pokazy obscenicznych pów i grymasów. Każdy zabawiał się, jak chciał, nie wyłączając grania w kości i karty u stóp tabernakulum. Zamiast kadzideł palono śmierdzące łachy i buty.



Za komunikanty służyła kiełbasa w plastrach. Publiczność popatrywała na to wszystko w ekstazie, w końcu możliwość obserwowania, jak to, co sakralne, zmienia się nagle w perwersyjne profanum, nie zdarzała się często. Rozbawiona tłuszcza nie szczędziła sobie beczek z winem, bo w miarę trwania tych szalonych bachanaliów rosły apetyty i szczodrość przypadkowych sponsorów wina.

UPUST SWAWOLI RAZ W ROKU

Na ołtarz wprowadzano przystrojonego osła, któremu oddawano część i śpiewano psalmy. Wielu uczestników miało na sobie nakrycia głowy skrojone na podobieństwo jego łba, stąd często Święto Głupców zwane też było Świętem Osła. W nabożeństwie na opak stawał się on „królem królów”, a osłe pobekiwanie zastępowały słowo „Amen”.

Zanim jednak uruchomi się w nas receptor odpowiedzialny za obrazę uczuć religijnych, warto pamiętać o specyfice tego czasu. Życie upływało między skrajnościami postu i karnawału. Między wymogami surowego obyczaju, długich modlitw i nabożeństw a ludyczną zabawą dającą upust temu, co w człowieku pierwotne, głupie i trudne do okiełznania. Kościół, który przez cały rok namawiał do pobożności, karmił i napominał, oddawał 28 grudnia wewnątrz katedr na użytek festiwalu głupoty. Jeśli się dobrze zastanowić, to może była to najlepsza strategia przerabiania ludzi w aniołów: raz w roku pozwolić im się solidnie wyszumieć? Może zawody w sikaniu z dzwonnicy miały swój katartyczny urok? W końcu wśród błaznującej gawiedzi zabawiali się też księża, diakoni, wikariusze. Akceptacja tego nieobyčajnego „festum fatuorum”



Quasimodo jako król głupców – ilustracja powieści Wiktora Hugo „Dzwonnik z Notre Dame”, rok 1878 FOT. WIKIPEDIA

to osłabiało i tak nadwreżony autorytet Kościoła. Jednocześnie nikt lub mało kto z gawiedzi zabawiającej się w ten sposób nie śmiałyby serio podważyć credo lub zasad wiary. Wiadomo było, że chodzi jedynie o jeden dzień – 28 grudnia (lub zależnie od regionu – 10 dni zabaw), kiedy pokazuje się język tradycji, powadze, napuszeniu, patosowi, jakie trwały przez cały rok i nasilały się zwłaszcza w okresie Wielkiego Postu i Adwentu. Co ciekawe, w tym świętowaniu anarchii nigdy nie brali udziału duchowni wyższej rangi, rycerze, arystokraci. Rozrywka „mas” dotyczyła przede wszystkim mieszczan, rzemieślników, żaków i różnej maści rzezimieszków, włóczęg oraz miejskich lumpów. Nawet chłopci rzadko brali udział w tych bachanaliach, bo przynależały one do sfery folkloru miejskiego. Trudno zgadnąć, jak radzili sobie spowiednicy, gdy orgie Święta Głupców chyliły się ku nieuchronnym kacom i końcom. Patent tych niezwykłych bachanaliów musiał mieć pewnie swoje regulacje i konsekwencje w konfesjonale.

ŚWIĘTO CO DNIA

Dzisiaj, wbrew pozorom, wcale nie zaniechano świętowania głupoty w katedrach, choć obrzędy zdają się czasem wydarzać bezwiednie i w oderwaniu nie tylko od kalendarza liturgicznego, lecz także zdrowego rozsądku. Oto pierwsza katedra Zachodu, w której wreszcie po wielu latach marzeń udało mi się zainaugurować mój szlak zwiedzania europejskich świątyń – katedra św. Jana w Besançon – stała się dwa lata temu miejscem fikuśnych cyrkowych pokazów. Tamtejszy abp Jean-Luc Bouilleret, mianowany przez papieża Franciszka, uznał, że z okazji tzw. Nocy Katedr ciekawie będzie wypromować kościół za pomocą cyrku. Linoskoczki, woltżerka, akrobacje pod kopułą i tętent koni miały z jakichś oczywistych dla kanoników katedry powodów przyciągnąć uwagę ludzi do Chrystusa. Monumentalna katedra, której fundamenty powstawały już w III w., by dźwigać się przez następne stulecia i czerpać z każdego stylu architektonicznego, w naszych czasach przeobraziła się na moment w namiot cyrkowy. Można z niemałym ryzykiem wysunąć zatem tezę, że Święto Głupców w sposób niezamierzony wciąż jest kulturowane. Niekiedy samemu można poczuć się wystrychniętym na dudka, gdy uchylając drzwi starego, zdawałoby się, kościoła, odkrywamy zupełnie inne

światy. Tak jak to wydarzyło się parę miesięcy temu, gdy święcie przekonana, że wchodzę do pięknej świątyni na starówce w Montpellier, zobaczyłam w środku galerię sztuki współczesnej. Przepiękna przestrzeń migocąca światłem witraży została akurat zamieniona w ekspozycję kameruńskiego artysty. „Potop” – tak brzmiał tytuł jego zaangażowanej wystawy, która sprawiła, że piękna architektura i pełne subtelnej gracji kolumny zamieniły się w tło dla „poliwalentnych”, „transgresyjnych” dzieł jego sztuki. Posadzkę kościoła gęsto zastawiono 54 trumnami, a ze ścian zwisały ponure bohomyzy pomalowane jakby nieporadną dziecięcą ręką. Na ekranie oglądałam zafrasowaną twarz Kameruńczyka, gdy cedzi słowa o swoich twórczych zamysłach. Potop to nie tylko „kaskady przemocy”, jakiej doświadczamy jego zdaniem w życiu, lecz także katastrofa, jaką szykujemy naszej matce Ziemi. A więc Święto Głupców w rozkwicie, bo



Popisy cyrkowe w katedrze św. Jana w Besançon

musiała być powodowana zrozumieniem i pobłażliwością dla kalekiej ludzkiej natury, która szuka ujęcia dla swych rozpustnych i destrukcyjnych stron. Jednakże, jak to zapisano na kartach kronik, rozmiary tego szaleństwa i bluźniercze zabawy bez granic spowodowały stopniowe oraz systematyczne wycofywanie zgody na kontynuowanie tych praktyk, w czasie których jawnie celebrowano wszystkie grzechy główne. Synod w Bazylei już w 1435 r. zabronił sprawowania „nabożeństw na opak” w kościołach i zwrócił uwagę na przekraczanie dopuszczalnych norm w zabawie. Nie bez znaczenia w utrwalaniu tego prześmiewczego i sprośnego widowiska były zapewne turbulencje na szczytach władzy kościelnej – dwóch, a w porywach nawet trzech papieży urzędujących jednocześnie: w Rzymie, Awinionie i Bolonii. Wszystko

wystarczyło obejrzyć jego performance, gdy z niewzruszoną miną przyjmuje na siebie kubły zimnej wody, a następnie wypija całą butelkę wody mineralnej. No i rzecz jasna kłania się zachwyconej, choć tu już dla odmiany przejętej powagą publiczności.

Wszyscy wiemy, że w naszych uroczych czasach szaleńcy nie potrzebują swoich wyjątkowych odświętnych dni, bo mają je nie tylko w grudniu, lecz także przez cały rok, i to z całą pewnością nie tylko we Francji. Anarchia i odwrócenie naturalnego ładu są tak powszechne we wszystkich dziedzinach życia społecznego, obyczajowego, a nawet religijnego, że aż trudno nam dostrzec, ile razy oddajemy pokłon przebranym w szaty mędrców i kapłanów osłom oraz kuglarzom. Oby tylko jak najdalej od stopni ołtarza...

TEST „DO RZECZY”: STADLER FORM ROBERT

W tym tygodniu gadżet przydatny szczególnie w okresie zimowym, gdy dokucza nam suche powietrze w domu lub mieszkaniu (zbyt suche powietrze może powodować trudności w oddychaniu, wysuszenie śluzówki nosa i oczu, a także większą podatność na różne infekcje). Oczywiście najtańszym i najprostszym sposobem na jego nawilżenie jest powieszenie na kaloryferach mokrych ręczników lub wypełnionych wodą pojemników. Naturalnymi nawilżaczami powietrza są też rośliny doniczkowe takie jak aloes, paproć i fikus. Sporo droższym, ale też o wiele wygodniejszym rozwiązaniem jest zakup nawilżacza powietrza.

Testowany model Robert szwajcarskiej firmy Stadler Form jest nawilżaczem ewaporacyjnym (na rynku dostępne są jeszcze nawilżacze ultradźwiękowe oraz termiczne) typu dwa w jednym. Nie tylko nawilża więc powietrze, lecz także za pomocą obracającego się w wodzie dysku oczyszcza je z kurzu i różnego rodzaju pyłków (co docenią zwłaszcza alergicy). Kostka Ionic Silver Cube uwalnia zaś jony srebra, przez co eliminuje różnego rodzaju bakterie i zarazki.

Ważące ponad 8 kg urządzenie jest dość duże (jego wymiary to 32,1 x 47,1 x 23,5 cm). Trudno je zatem ukryć, ale na szczęście nie trzeba tego robić. Model jest bowiem wykonany z dobrych materiałów (m.in. z aluminium). Prosty, klasyczny design sprawia zaś, że powinien pasować do wy-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

stroju różnych wnętrz. Duże rozmiary przekładają się na wygodę użytkowania. Pojemnik na wodę o pojemności 6,3 l sprawia, że nie trzeba jej często uzupełniać. Nie trzeba się też martwić, jeśli mimo wszystko wyczerpią się zapasy wody – w takiej sytuacji urządzenie automatycznie się wyłączy.

Trzeba za to uważać, przenosząc nawilżacz. Jego konstrukcja sprawia bowiem, że jeśli nagle postanowimy umieścić go w innym miejscu – nie zdejmując najpierw pojemnika na wodę – to błyskawicznie „nawilżymy” nie tylko powietrze, lecz także meble i podłogę.

Stadler Form Robert o mocy 30 W i wydajności do 550 g/godz. jest przy tym stosunkowo cichy (27–56 dB) i intuicyjny w obsłudze. Za pomocą dotykowego wyświetlacza można ustawić jeden z czterech poziomów szybkości nawilżania (przy największej prędkości urządzenie jest już mocno słyszalne). A także tryb auto, który wykorzystując wbudowany higrostat, na bieżąco kontroluje stopień nawilżenia i włącza się tylko w razie potrzeby (to ważne, bo nawilżenie powyżej 60 proc. może zmniejszyć komfort życia alergików), tryb nocny (w którym urządzenie generuje mniej hałasu), a także tryb oczyszczania powietrza.

Według producenta z urządzenia może parować do 13,2 l wody dziennie, co sprawia, że można nim nawilżać pomieszczenia o powierzchni do 80 mkw. Przydatną funkcją jest też dozownik zapachu. Wystarczy wlać kilka kropli wybranego olejku aromatycznego, a wentylator rozprowadzi go po całym pokoju.

Minusem urządzenia jest jego wysoka cena, która wynosi 1990 zł. ©

Jacek Przybylski



ZIOŁO SAMO ROŚNIE

Zdarza się wam konstatować ze zgrozą, że ulubiona pelargonia żony, mamy lub teściowej uschła, bo choć zobowiązaliście się regularnie ją podlewać, to

jakoś wypadło wam to z głowy? Jest rada. To doniczka przypominająca o obowiązku podlania kwiatów albo czegośkolwiek innego, co akurat zechcecie sobie w niej zasadzić, o nazwie The Natural Balance – Ultimate Self-Watering Flowerpot. Jego największą zaletą jest to, że nie wymaga połączenia z Internetem, nie wysyła nam setek wkurzających powiadomień na smartfon ani nie wrzeszczy w środku nocy przenikliwym alarmem. Cały bajer skrywa się w konstrukcji doniczki. Jej misa została podzielona na części oddzielone warstwą, przez którą woda bez problemu przenika, ale tylko wtedy, gdy roślina naprawdę jej potrzebuje. Gdy w „magazynku” zaczyna brakować wody, doniczka przechyla się mocno, by wskazać, że trzeba uzupełnić wodę. Konstruktorzy zebrali już wystarczającą ilość środków na Kickstarterze, więc zapewne na początku 2017 r. ruszą z produkcją. Cena wynosić będzie ok. 150 zł.

BRANSOLETKI CORAZ LEPSZE

Dwie wiadomości: zła i dobra. Zła – nie gaśnie popyt na mobilne, inteligentne bransoletki, co oznacza, że kreatywność twórców naręcznych urządzeń została w wielu firmach przystopowana, przynajmniej do czasu, gdy rynek się nasyci. Dobra wiadomość – Pearls Band

wypada nieźle w kategorii „opasek wszystko mających”. Gadżet tradycyjnie zajmuje się analizą stanu zdrowia i naszej aktywności fizycznej, a zebrane dane dzięki aplikacji smartfonowej przesyła w formie stosownych powiadomień. Pearls Band robi to wyjątkowo kompleksowo, monitorując ciśnienie krwi, pracę serca, natlenienie krwi, mierząc poziom stresu, zmęczenia i przeprowadzając analizę snu. Hinduski producent zapowiada, że urządzenie wejdzie na rynek w lutym i będzie kosztować poniżej 360 zł. ©

Wojciech Wybranowski



10 życzeń na Nowy Rok

Żeby wszystkim udało się wprowadzić w życie zasady higieny życia proponowane przez medycynę estetyczną, dzięki czemu nie tylko będziemy zdrowsi, lecz także uchronimy się przed przedwczesnym starzeniem i będziemy lepiej, bardziej estetycznie wyglądać.

Żeby pacjenci korzystający z usług medycyny estetycznej mieli absolutną pewność, że są w rękach lekarzy, a nie osób, które nie mają medycznego wykształcenia (należy sprawdzać, kim jest osoba, z której pomocy korzystamy, ale powinny to także kontrolować powołane do tego instytucje).

Żeby lekarzy praktykujących medycynę estetyczną charakteryzował jak najwyższy poziom kompetencji zawodowych oraz żeby zawsze pamiętali o naczelnym przesłaniu lekarzy: *Primum non nocere* (z łac. „po pierwsze nie szkodzić”).

Żeby medycyna estetyczna nadal dynamicznie się rozwijała, proponowa-

ła bezpieczne oraz skuteczne terapie i metody korekcyjne służące nie tylko estetyce, lecz także zdrowiu.

Żeby pacjenci medycyny estetycznej, zalewani masą informacji dotyczących tej dziedziny, umieli – kierując się logiką i zdrowym rozsądkiem – odróżnić te, które są wartościowe i prawdziwe, od tych, które nie mają wiele wspólnego z prawdą i wiedzą medyczną.

Żeby media współpracujące z medycyną estetyczną czyniły to w zgodzie z etyką dziennikarską, unikały łatwych uogólnień, nie szafowały obietnicami, były krytyczne wobec niepotwierdzonych informacji oraz żeby z ostrożnością kreowały „celebryckich” ekspertów.

Żeby firmy pracujące dla szeroko rozumianej medycyny estetycznej opierały swoje propozycje komercyjne na rzetelnych, potwierdzonych i sprawdzalnych podstawach i oby współpraca z lekarzami bazowała na obustronnym szacunku i zaufaniu.

Żeby pacjenci korzystający z usług medycyny estetycznej zawsze byli nie tylko z nich zadowoleni, lecz także mieli też poczucie, że to, co zostało im zaproponowane, stało na wysokim poziomie fachowości i odbyło się z poszanowaniem godności osobistej.

Żeby lekarze zajmujący się medycyną estetyczną, przez swoją postawę, tworzyli taki obraz tej dziedziny, który wzbudzałby nie tylko zaufanie wśród pacjentów, lecz także szacunek wśród kolegów, oraz oby unikali zachowania, które „buduje ich popularność”, jednocześnie ewidentnie szkodząc medycynie estetycznej.

Żeby Polskie Towarzystwo Medycyny Estetycznej i Anti-Aging umiało jak najlepiej działać dla mądrego rozwoju tej dziedziny.

Wszelkiej pomyślności w 2017 roku.



dr Andrzej Ignaciuk

– prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging PTL

Porcja czystych witamin dla Twojej skóry

MonoDermā

M5
ochrona
regeneracja
elastyczność
skóry

C10
synteza kolagenu
rozświetlanie
elastyczność skóry

A15
odmładzanie
odnowa
do skóry
dojrzałej

E5
nawilżanie
regeneracja
równowaga

Do kupienia w najlepszych gabinetach medycyny i kosmetologii estetycznej

Generalny Dystrybutor na Polskę:
www.AntiAging.com.pl





JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Grzanki – z Francji do Polski

Dobrze nam dziś znane, aczkolwiek głównie w postaci tostów, grzanki pojawiają się już w najstarszych przepisach kulinarnych, np. w dziele „O sztuce kulinarnej” Apicjusza z czasów starożytnego Rzymu. Wszędzie bowiem, gdzie istniał problem czerstwego pieczywa, które szkoda było wyrzucić, ludzie tworzyli przepisy na wykorzystanie resztek jako dodatków lub nawet podstawy dania głównego. W zależności od kraju wymyślano różne sposoby. W średniowiecznej Francji używano kromek starego chleba jako talerzy pod główne dania mięsne (kromki zwane *tailoir* i oddawane po uczcie biedakom), później zaś zaczęto je dodawać do innych potraw. W północnych Włoszech i Austrii dorzucano je do zupy *pavese* z bulionu lub rosołu i sera. W Hiszpanii znane były desery *torrija* z kromek chleba maczanych w jajku, cukrze i mleku, smażonych i podawanych z cynamonem, miodem lub winem. W Niemczech jadano je jako *arme ritter*, czyli po prostu kawałki chleba z różnymi

dodatkami. Ten sam przepis przeszedł także na Węgry – jako *bundás kenyér* (słodkie grzanki), a we Francji znany jest dzisiaj po prostu jako „francuskie tosty”.

Do Polski grzanki przyszły już w XVII w., wraz z modą na kuchnię z kraju Ludwika XIV. Stanisław Czerniecki w „Compendium ferculorum” poleca ich użycie np. do rosołu węgierskiego, przy czym nie do końca wyjaśnia, czy są to po prostu zwykłe miękkie lub opiekane kromki czerstwego białego chleba. Jako dodatek wykorzystywane są też do potraw mięsnych, np. do duszonego w rosolu kapłona, którego pokrojone części należy przełożyć grzankami. Tak samo używa się ich do flaków cielecych i oczywiście do potażów, czyli rosołów, układając na dnie misy zalewanej potem mięsnym wywarem. Dobre są także do tretowanych, czyli smażonych na maśle, raków i oczywiście do przygotowywanego z ryb postnego rosołu. A także do polewki migdałowej podawanej na zimno. Na uwagę zasługuje to, że Czerniecki każe grzanki

„suszyć”, czyli zapewne podpiekać na blasze na małym ogniu.

„Moda bardzo dobra smażenia konfektów” pochodząca także z końca XVII w. podaje, żeby je smażyć „w tłustości”, aż staną się rumiane. Każe także polewać kromki winem i przecierać je przez sito, aby uzyskać sos, np. do ryb. Grzanki według autorów powinno kłaść się na dno pasztetów (np. takiego z ptaków – kosów) albo pasztetu rybnego ze szczupaka. W „Modzie...” wreszcie pojawiają się autentyczne przepisy na dania z samych grzanek, choćby grzanki z białego chleba ze śmietaną i z migdałami.

Wreszcie w „Kucharzu doskonałym”, wydanym sto lat później, bo w roku 1783, mamy już prosto z francuskiej kuchni przepisy na dania z czerstwego chleba, które bez trudu dopasujemy do dzisiejszej kuchni. W księdze jest cały dział „Pieczyste, czyli grzanki pieczone”, w którym znajdziemy podpiekane kawałki chleba z szynką, ze słoniną, z serdelami i fasolą, a nawet z ogórkami, ze szpinakiem i z serem. To już jednak prawie współczesność. ©©



Karp na czarno na grzankach

Bierzemy dwie duże grzanki z chleba żytniego, suszymy je na blasze i podsmażamy w tłustości (czyli na maśle). Bierzemy dwa kwaśne jabłka i siekamy drobno, kawałek piernika rozcieramy w moździerz. Następnie bierzemy pół litra wina i pół wody (albo więcej), warzymy to wszystko razem, aby wyszła nam „podlewa albo jucha”. Osobno gotujemy karpia, następnie odlewamy wodę, zalewamy wspomnianą juchą rybę i podgotowujemy wszystko.

Grzanki z szynką od króla Stasia

Kroimy sześć albo siedem kawałków pszennej bułki szeroko na palec. Smażymy na patelni na maśle, kroimy tyle samo plasterków surowej szynki, moczymy godzinę w wodzie, jeśli nie jest świeża, potem kładziemy do rondla i gotujemy przez godzinę na małym ogniu. Następnie wyjmujemy, wylewamy wodę, wysypujemy trochę mąki, podgrzewamy ją i zaraz zalewamy przygotowanym wcześniej bulionem z kilkoma kroplami rozcieńzonego octu winnego. Gotujemy kwadrans, zbieramy sos, przepuszczamy przez sito. Następnie układamy szynkę na grzankach, polewamy tym wywarem po wierzchu i przyprawiamy pieprzem. Podajemy na ciepło.

Czym kuchnia z plebanii może zainteresować współczesnego czytelnika zarzuconego najbardziej egzotycznymi książkami kucharskimi, bombardowanego programami kulinarnymi, w których wojny nad patelnią wygrywają najwięksi tupeciarze? Może, jeśli jej autorem jest tak wytrawny dziennikarz i badacz kulinarnego obyczaju jak Łukasz Modelski, historyk sztuki, autor cotygodniowych audycji „Droga przez mękę” w programie II Polskiego Radia.

Największą zaletą książki „Kuchnia na plebanii” jest to, że daje nam to, czego nie znajdziemy w żadnym z licznych dzieł literatury kulinarnych i u żadnego z gwiazdorskich kucharzy. Seria wywiadów z gospodyniami na plebaniach całej Polski rozwija przed nami wachlarz regionalnej kuchni polskiej. Kujawy, Małopolska, Śląsk, Podlasie. 200 przepisów. Te – zdawałoby się – proste



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na stołach plebanii

i znane: domowe kiszone ogórki, ozór w szarym sosie, pierogi z kurkami, placek ze śliwkami. Jednak także regionalia, które dopiero odkopujemy z zapomnienia: sójki, moczka, parzybroda, zarzutka, popierduchy (kluski ziemniaczane z tartych surowych oraz rozgniecionych ziemniaków), faszerowane szczupaki...

– Zdawałoby się, że pozaczierały się różnice regionalne, bo przecież dyskonty w coraz mniejszych miastach wymuszają najprostsze rozwiązania – mówi Łukasz Modelski. – Regionalny charakter kuchni wciąż jednak się ujawnia, co można zaobserwować także w zwykłych

domach przy okazji dań wigilijnych – dodaje.

Jednak jest w tej książce coś więcej. Pokazuje nam ona kuchnię w jej aspekcie dziś ginącym. Na plebaniach nie gotuje się na efekt ani po to, żeby olśnić gości wyszukanymi przepisami. Tu mamy robotę solidną, uczciwą i skromną. Czasami jedzenie „konserwatywno-pierwotne”, jak określa je sam autor. Nic na skróty, bez poprawiaczy



ŁUKASZ MODELSKI
„KUCHNIA
NA PLEBANII”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE

smaku, bez półproduktów, bez pośpiechu. Tak, żeby smakowało, i tak, jak każe tradycja.

Poza sekretami technologii z opowieści gospodyń wyłania się także obraz prowincjonalnego obyczaju. Tryb życia na plebanii przechował go w postaci niejako archaicznej, ziemiańsko-szlacheckiej. – W diecezji pelplińskiej, na Kociewiu, Kujawach wciąż jada się bogato – drugie śniadania, kawy, podwieczorki. No i kuch, czyli ciasto, musi być codzienne. A kolacja na ciepło – zaznacza Modelski.

Książka Modelskiego jest dowodem na to, jak zmienia się nasz stosunek do kuchni i do jedzenia.

Po fascynacji kulinarnymi fajerwerkami powstaje potrzeba powrotu do lokalności. W tak pojętym kuchennym nacjonalizmie nie ma niczego złego. Zrzucą on z siebie PRL-owskie piętno schabowego i wraca do korzeni. ©©

OLEJ RYDZOWY



FOT. WIKIPEDIA

Coraz częściej na kuchennych półkach obok oliwy z oliwek, oleju lnianego i tego z pestek dyni pojawia się olej rydzowy. – Zainteresowanie jest coraz większe, ale w wielu regionach kraju olej rydzowy jest jeszcze zupełnie nieznan. Byliśmy z nim na targach w Toruniu i spotykaliśmy się z dużym zaskoczeniem – mówi Wojciech Misztal, właściciel rodzinnej tłoczni Woj-Len z wielkopolskiej Krobi. Tradycją sięga ona 1900 r. Rodzina zaprzestała produkcji w 1939 r. Działalność na szczęście wznowiła – pięć lat temu.

Olej rydzowy to domena Wielkopolski. – Tłoczy się go głównie od Piły do zachodnich granic województwa wielkopolskiego – opowiada Misztal. Warto dodać, że

wbrew podejrzaniom niektórych olej rydzowy z grzybami cenionymi w kuchni ma niewiele wspólnego. Tłoczy się go z nasion lnianki siewnej, a tę zwano niegdyś także rydzem, rydzykiem, ryżykiem, bo kolor nasion przypomina leśnego rydza.

Chociaż dla wielu olej rydzowy jest kulinarną nowinką, to tradycja tłoczenia oleju z nasion lnianki siewnej jest bardzo stara – sięga wielu wieków wstecz.

Badania pokazały, że nasiona lnianki znane były prąsłowiańskim ludom, ślady uprawy i tłoczenia oleju znaleziono w Biskupinie – osadzie z VIII w. przed Chrystusem. Jeszcze w połowie ubiegłego wieku był często używany w kuchni. Wyparł go jednak olej rzepakowy.

Dzisiaj rzemieślnicze tłocznie przypominają o dawnej recepturze. A olej rydzowy jest jednym z najbogatszych znanych roślinnych źródeł kwasów omega-3, nic więc dziwnego, że poszukują go zwolennicy naprawdę zdrowej diety.

Olej rydzowy tłoczy się na zimno i choć jest przejrzysty, to na dnie butelki pozostawia charakterystyczny osad. Wyróżnia się specyficznym smakiem – wyczuwa się w nim nutkę cebuli, ale także nieco goryczy.

Wojciech Misztal zaznacza, że oleju rydzowego nie należy stosować do pieczenia ani smażenia, za to nadaje się do potraw podawanych na zimno. – Jest doskonały do surówek, sałatek i śledzi – wylicza. ©© (not. anie)

NASZ TEST: NISSAN E-NV200

Liczba całkowicie elektrycznych modeli samochodów oraz hybryd na rynku rośnie jak grzyby po deszczu. Jeśli jednak ktoś szuka elektrycznego vana, aby np. jego pracownicy mogli późną nocą lub bardzo wczesnym rankiem praktycznie bezgłośnie realizować dostawy towarów, to nie ma wielkiego wyboru. Nissan e-NV200 to pierwszy na świecie całkowicie elektryczny wół roboczy, który – w zależności od wersji – może przewieźć nawet siedem osób lub niemal 650 kg ładunku.

I tak jak trudno szczególnie zachwycić się sylwetką wołu, tak w tym modelu próżno szukać jakichś wymyślnych przetłoczeń czy innych stylistycznych rewelacji. Auto, które wygląda jak kanciaste pudełko na czterech kołach, piękne z pewnością nie jest. Na szczęście dla Nissana nabywcy tego pojazdu będą zwracali większą uwagę na jego użyteczność niż urodę.

W KABINIE Przednie drzwi otwierają się szeroko. Również rozsuwane boczne drzwi po obu stronach pojazdu ułatwiają wsiadanie lub załadunek/rozładunek. Jeśli jednak ktoś, wsiadając do pierwszego elektrycznego vana, spodziewa się nowoczesnego wnętrza, to srodze się rozczaruje. Projektanci ewidentnie postawili bowiem na trwałość, a nie piękno użytych materiałów. Większa część wnętrza została więc wykończona po prostu twardymi plastikami. Wygląda to tanio, ale zapewne jest praktyczne.

Kierowca ma za to do dyspozycji nowoczesny wyświetlacz LCD, na którym poza aktualną prędkością widzi m.in. informację o pozostałym zasięgu.

Zarówno w przednim, jak i tylnym rzędzie miejsca jest sporo. Pięćosobową wersją bez trudu może podróżować pięć roslących osób. Niestety, fotele do najbardziej komfortowych nie należą.

JAZDA Jak na samochód elektryczny przystało, największe wrażenie robią cisza, z jaką porusza się auto, a także maksymalna wartość momentu obrotowego (254 Nm), która dostępna jest od razu, gdy tylko nacisniemy pedał gazu. I chociaż van nie porusza się tak zwinnie i bezgłośnie jak jego brat Leaf, to i tak ruszając na światłach, prawdopodobnie zostawimy z tyłu dostawców w samochodach o napędzie spalinowym. Lekcję pokory dostaniemy za to na obwodnicach. Prędkość maksymalna wynosi bowiem nieco 120 km/godz., a i jej raczej długo nie utrzymamy, bo zasięg jest na tyle mały, że po przejechaniu krótkiego odcinka z autostradową prędkością musielibyśmy szybko szukać najbliższej stacji ładowania. Teoretyczny zasięg modelu e-NV200 z akumulatorem 24 kWh wynosi 170 km. Na papierze wygląda to całkiem nieźle. I być może wiosną w ładną pogodę jest nawet do zrobienia. Nasz zimowy test pokazał jednak, że w zależności od stylu jazdy, a zwłaszcza od tego, czy jedziemy z włączoną klimatyzacją, silnym nawiewem na szybę i włączonym ogrzewaniem foteli, zasięg waha się od 80 do 120 km.

Autem łatwo się manewruje. Również na drodze zachowuje się całkiem stabilnie. Trzeba jednak pamiętać, że jedziemy wołem roboczym, a nie koniem wyścigowym. Można więc zapomnieć o dynamicznej jeździe po serpen-

tynach i o komfortowym zawieszeniu, miękkim tłumiącym drogowe nierówności.

CENA Ceny vana przyszłości zaczynają się od 134 tys. zł brutto (wersja Furgon). Pięćosobowa wersja Combi kosztuje 141,8 tys. zł, a siedmioosobowa Evalia – 149 tys. zł.

Eksplatacja całkowicie elektrycznego pojazdu może znacząco zmniejszyć jednak koszty operacyjne (odpadają koszty np. wymiany oleju, auto powinno być mniej awaryjne, o wiele mniej niż w przypadku samochodów z silnikami spalinowymi kosztuje też sama jazda elektrykiem). A do tego przedstawiciele firmy mogą na każdym kroku podkreślać, w jak ekologicznym przedsiębiorstwie pracują.

Zatrudniając kierowców do tego auta, warto jednak głównie sprawdzić, czy są cierpliwi i czy mają stalowe nerwy. Zasięg modelu e-NV200 zimą – przy włączonych wycieraczkach, silnym nawiewie na szyby i klimatyzacji – jest bowiem tak niewielki, iż nawet w Warszawie zdarza się, że do stacji ładowania podjeżdża się z sercem na ramieniu, powtarzając jak mantrę cytaty z Chirruta z najnowszych „Gwiezdných wojen”: „Ja jestem z Mocą i Moc jest ze mną”. Wyjazd tym autem poza miasto na razie w ogóle nie wchodzi w grę.

Warto też dokupić specjalną ładowarkę (pozwoli ona ograniczyć czas ładowania do czterech godzin) lub korzystać z publicznych punktów szybkiego ładowania, w których baterię do 80 proc. można naładować w mniej więcej 30 minut. Za pomocą standardowego gniazdka ładowanie trwać będzie bowiem ok. 12 godzin. © ©

Jacek Przybylski



dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE



PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE.

WEJDŹ ►



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Komunikacja, głupcze!

MARCIN MAKOWSKI: Jeśli zamierzasz się w najbliższym czasie wybrać do Polski, to odradzam. Na ulice wróciły koksowniki, a politycy opozycji mówią o stanie wojennym.

MATTHEW TYRMAND: Wiesz, co mnie najbardziej w tym wszystkim bawi? Relacje na temat protestów, które czytam w zagranicznych mediach. Gdybym nie miał przyjaciół tu, na miejscu, i nie korzystał z Twittera, faktycznie mógłbym pomyśleć, że przy Wiejskiej szykuje się drugi Majdan.

Nie ma się co śmiać. W nocy 16 grudnia przez Internet przemknęła informacja o zamknięciu przestrzeni powietrznej nad Polską. Jeden z dziennikarzy „Gazety Wyborczej” napisał: „Dżizas. To się nie dzieje!”

Słyszałem o tej blokadzie, po kilku minutach uściślono, że doszło do krótkotrwałej awarii radarów, ale zapewne niektórzy myśleli już, że Antoni Macierewicz podrywa F-16 do rozprawy z manifestantami. Jednak mówiąc poważnie, opozycja nie przestaje mnie zadziwiać. Przecież to ona działa niezgodnie z procedurami, okupując mównicę i przerywając głosowanie nad ustawą budżetową. Niestety, pomimo jej małości rząd kolejny raz dał

się zapędzić w kozi róg. Zamiast zostawić ich tam na dzień lub dwa, ogłaszając we wszystkich mediach, że PO i Nowoczesna uniemożliwiają normalne funkcjonowanie państwa, wybrał metodę siłową, głosując oddzielnie w Sali Kolumnowej. Rozumiem, że mają większość i mandat demokratyczny, ale PiS z uporem godnym lepszej sprawy przegrywa kolejne starcia na polu komunikacji. Wystarczy odrobina wyobraźni i cierpliwości, żeby zrozumieć, jak to głosowanie zostanie wykorzystane przeciw nim. Opozycja natychmiast podniosła larum o braku transparentności. Tłum przed Parlamentem dostał pretekst do rozdzierania szat. To samo było przecież z Trybunałem Konstytucyjnym. Trzeba było sędziów zaprzysięgać po nocach? Dzisiejsza polityka to nie tylko kwestia racji czy skuteczności, lecz także stylu.

W Kongresie była niedawno podobna sytuacja. Demokraci siedzieli przy mównicy, opozycjonując kwestie zmian legislacyjnych w dostępie do broni. Jak ten pat rozwiązano w Stanach?

Demokraci w końcu się znużili i zostali po prostu przegłosowani. Polska by się nie zaważyła,

gdyby przetrzymać Petru czy Schetynę przez weekend na proteście, który im dłużej by trwał, tym gorzej by o nich świadczył. Ostatecznie PiS i tak cofnął się częściowo ze zmian dotyczących pracy dziennikarzy w Sejmie, od czego wszystko się zaczęło. Teraz wyobraź sobie: dziennikarze wracają do budynku, a opozycja co? Musiałyby przerwać swoje cyrki, a marszałek zamiast chować się przed kamerami, mógłby później opowiadać w każdej telewizji, że władza uwzględniła postulaty środowiska medialnego, niestety nieodpowiedzialna Platforma i Nowoczesna opóźniły wprowadzenie budżetu. A tak w świat poszły obrazki uciśnionego ludu, który rozgany przez policję cierpi przez prawicowy terror. No i ten śmiech Kaczyńskiego, gdy opuszczał Sejm. Co to dało?

Musisz przyznać, że następnego dnia prezydent Duda i premier Szydło starali się znaleźć wyjście z tego wizerunkowego pata. Były mediacje z przedstawicielami opozycji, orędzie w telewizji publicznej.

To dobrze, ale za mało i za późno. Komunikacja rządu powinna być błyskawiczna, inaczej traci się inicjatywę. W zarządzaniu kryzysowym nie ma reguły, że twój komentarz legitymizuje przeciwników. Dlaczego Duda tego samego dnia nie nagrał nawet krótkiego wideo do mediów społecznościowych? Kto przejmie się pismem na portalu prezydenta? A tak od CNN do ZDF dziennikarze musieliby uwzględnić tłumaczenie władzy. A ta większość argumentów miała po swojej stronie. Tymczasem nastąpił paraliż decyzyjny i resortowe dzieci dostały gwiazdkowy prezent. Prawica ma przed sobą dziejową misję. Świat Zachodu trzeszczy w posadach – przegrać przez zły PR byłoby zbrodnią.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



republika

Dziękujemy, że byliście Państwo z nami.
Życzymy wszelkiej pomyślności
w Nowym 2017 Roku.

Do zobaczenia.



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Minał rok

PREMIER BEATA SZYDŁO: *Polska polityka musi być inna. Pokora, praca, umiar, roztropność w działaniu i odpowiedzialność. A przede wszystkim słuchanie obywateli. To są zasady, którymi będziemy się kierować. Koniec z arogancją władzy i koniec z pychą.*

Przypominam tę obietnicę, bo sama już dawno zapomniałam, jak bardzo miało być inaczej. Tymczasem rząd PiS we wszystkich kwestiach dla mnie ważnych – czyli w tym, o czym mówiła pani premier – okazał się rządem kontynuacji, robiąc dokładnie to samo co PO, tylko szybciej i bardziej.

Przez ćwierć wieku kolejnym rządóm nie udało się zbudować państwa choć trochę poważnego

Najlepszym dowodem jest to, jak często pada argument „bo PO robiła to samo”. Nie umiem wskazać żadnej zmiany na lepsze, jaka przez ostatni rok zaszła w stylu sprawowania władzy lub relacji państwo – obywatel, a to jest dla mnie dużo ważniejsze w budowaniu silnego i przyjaznego obywatelom państwa niż jakakolwiek doraźna ustawa, która może nie przetrwać zmiany władz. Jednak jeśli ktoś dzisiaj

narzeka, że PiS niszczy wspinał się do osiągnięcia III RP, to powinien sobie uświadomić, że to, co mamy dzisiaj, to właśnie jest III RP w pełnej krasie. Państwo bez standardów, zasad, procedur, jasnego prawa, bez żadnego etosu. Wszystkie działania PiS, które tak bardzo nie podobają się dzisiaj opozycji, są możliwe właśnie dzięki temu, że przez ćwierć wieku kolejnym rządóm nie udało się zbudować państwa choć trochę poważnego. PiS więc żadnych mitycznych „zdobyczy III RP” nie niszczy, on je tylko umiejętnie wykorzystuje do własnych celów, pełnymi garściami czerpiąc z tego, że – jak słusznie zauważył Bartłomiej Sienkiewicz – „państwo istnieje tylko teoretycznie”.

Najbardziej teoretycznym organem państwa jest niestety urząd prezydenta, wyposażony całkiem bez sensu w liczne polityczne prerogatywy, których nie da się dobrze wypełniać, gdy prezydent jest z innej partii niż rząd, a gdy prezydent jest z tej samej partii, wypełniać nie trzeba, bo decyzje zapadają gdzie indziej, a prezydentowi zostaje dość upokarzająca rola notariusza swojej partii, przed północą podpisującego kontrowersyjną ustawę o Trybunale Konstytucyjnym po to, żeby po północy – a może już nad ranem – na jej podstawie powołać na prezesa

Trybunału sędzię, która nie poradziła sobie w sądzie okręgowym. Powaga państwa tylko by zyskała, gdyby prezydent już nie musiał robić takich rzeczy, ograniczając się do pełnienia funkcji wyłącznie reprezentacyjnej, w której się świetnie sprawdza. Gdyby okroić urząd prezydenta ze wszystkich politycznych prerogatyw, które wymagają od niego partyjnej lojalności, a tym samym tylko przeszkadzają w odgrywaniu roli „prezydenta wszystkich Polaków”, to mógłby więcej uwagi poświęcić przywracaniu godności państwa. Bo trochę wstyd, że w 40. rocznicę KOR i 35. rocznicę stanu wojennego teoretycznie postsolidarnościowa władza nie umiała zorganizować godnych obchodów.

Dla kogoś, kto wiązał ze zmianą władzy nadzieje wykraczające poza wymianę władzy, nie był to szczególnie dobry rok. Jeśli w stylu sprawowania władzy nic się nie zmieni, to za trzy lata obecna opozycja będzie mogła iść do wyborów z tą samą obietnicą, od której Beata Szydło rozpoczęła swoje urzędowanie: „Pokora, praca, umiar, roztropność w działaniu i odpowiedzialność. A przede wszystkim słuchanie obywateli. Koniec z arogancją władzy i koniec z pychą”. Obietnica atrakcyjna, nowotka sztuka, nieużywana. ©

PODSŁUCHANE

Selfik na styropianie

Ale tu jest niewygodnie... Kamila, mnie już tyłek boli od tego fotela. I w nogi mi zimno.

Kinga, musimy wytrzymać. Mnie też jest ciężko, a jeszcze zakupy na święta muszę zrobić. Ale za godzinkę ma mnie zmienić Asia.

Słuchaj, my tu robimy taki jakby strajk, co nie? Taki jak w... Kiedy to było?

W 1980 chyba.

No. To ja coś kojarzę, że oni wtedy na eternicie spali. Może by tak tu sobie przynieść eternit? Wygodniej by było.

Nie, to nie był eternit. Zaraz...

O, już wiem, to styropian był!

A to nie to samo? No może, ja się nie upieram.

Ale po co w ogóle styropian? Możemy przecież przynieść materace,

ja mam nawet taką elektryczną pompkę do nadmuchiwania, albo karimaty.

Nie, Kamila, nie rozumiesz. Żeby było właśnie jak na strajku. Tylko bym musiała Grzesia spytać, on był w opozycji, to chyba się zna. No wiesz, jak to dokładnie zrobić. Jaki gruby ten styropian, jak go wyciąć i takie tam.

Dobra, to zadzwoni do Grzesia, a potem sobie zrobimy selfika na styropianie i wrzucimy na fejsjka. Ale czad! © Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Szانونni Państwo, uprzejmie zawiadamiam, że 19 grudnia skończyła się w Polsce demokracja. Chciałbym, żeby to była histeria, ale nie jest”.

TOMASZ LIS,
publicysta, na Twitterze



fot. Jerzy Gumowski

PiStolet

Lecz teraz nihilistyczne rozpieprzenie wartości (religijnych, kulturowych, obyczajowych i wszelkich tradycyjnych/konserwatywnych) musiało dla Salonu priwiślańskiego zejść na plan drugi, ergo: ustąpić wobec konieczności doraźnej (czyli palącej „bieżączki”), jaką jest rozpieprzenie uwierającej ich władzy znienawidzonego dyktatora „Kaczora”. Będą brnąć ku temu po wszelkich trupach, trupa ojczyzny nie wyłączając. Gwoli obrony demokracji, rzecz prosta.

Każdy kij ma dwa końce, ten również: PiS nie jest tu bez winy — na tzw. „własne życzenie” zalicza ów bolesny łomot. Starodawni Polacy mówili, że kompletny idiota to człek, który „opił się szaleju”; my mawiamy: „Jeśli Pan Bóg chce kogoś pokarać, to mu rozum odbiera”. Trzeba było ciężko upaść na głowę, by dokładnie w tym samym czasie (!) zaatakować legislacyjnie przywileje dwóch mocarnych grup: środowiska byłych funkcjonariuszy czerwonych „służb” (mających liczne „hakowe” instrumenty nacisku/wpływu) i środowiska salonowych dziennikarzy (dysponujących dominującym forum medialnym). Rozpalone pręty wetk-

∞
*Biskup Ignacy Krasicki:
„Przestańcie, bo źle
się bawicie!”*
∞

nięte równocześnie w termitiere postesbecką i w rój os żurnalistycznych dały cichą antypisowską kampanię „chłopców” i głośną estradową hucpę salonowców, demolującą przedsięwziętym klimat symbolizowany zawsze kołędą „Cicha Noc”. A przecież nie są to pierwsze straszliwie głupie i budzące powszechny sprzeciw „niezręczności” pisowców — precedensami wpadki obecnej było m.in. uczynienie peerelowskiego prokuratora (dekorowanego w „stanie wojennym”!) frontmanem walki przeciw zawłaszczaniu Trybunału Konstytucyjnego mackami rzeplińskimi, czy też siłowe pakowanie „apelu smołęńskiego” do każdych obchodów bitewnych i martyrologicznych, stanowiące rażący przejaw budowania „kultu bliźniaka” (co zresztą naraża „Prezesa” na duże nieprzyjemności pozalokalne, międzynarodowe, jak choćby papieska odmowa wizytowania grobu w krypcie wawelskiej).

Pytanie: czy gdyby kontresbecka inicjatywa PiS-u, obniżająca „chłopców” renty i emerytury, była słuszną nie tylko generalnie (oprawcy nie powinni brać kilka razy więcej niż katowani robotnicy czy prześladowani wówczas urzędnicy), lecz również detalicznie (na jaką cholerę strażaków i pograniczników zrównano z esbekami!), to reakcja bezpieczniejskiego „deep state” byłaby mniej spiskowa? Wątpię, jednak dalej uważam tę pisowską inicjatywę za bardzo koślawą, choćby dlatego, że nie objęto nią

peerelowskich sędziów i prokuratorów, którzy w tamtym ustroju nękali patriotów barbarzyńsko, często łamiąc nawet „literę prawa Polski Ludowej”. Skąd taka łaskawość? Ja rozumiem, że „kaczystowska” RP jest „merciful” (miłosierna, wybacząca), konfidenci peerelowskiej bezpieki (jak Wołoszański czy Sznuć) dalej mają duże programy w TVP, ale skąd ten relatywizm? Albo odpuszczamy wszystkim łotrom i gnidom, albo nikomu. Selektywna „wybiórczość” zawsze będzie budzić wątpliwości, kwasy, protesty i turbulencje.

Tymczasem grabienie ludzi zawsze będzie wkurzać grabionych, czyniąc przeciwnikami grabiącej władzy nawet jej wcześniejszych zwolenników/popleczników. Niewątpliwie PiS lepiej szasta gotówką niż PO, rozdaje ją bowiem dziecięciemu familiom, gdy Platforma finansowała m.in. horoskopy dla psów (sic!), jednak sposoby jej pozyskiwania dla łatania budżetowej dziury ma takie, jakie prezydent Ronald Reagan określił kpiną: „Gdy rząd chce twoje dobro, musisz to dobro szybko schować”. Z jednym wyjątkiem: uszczelnienie systemu podatkowego przed wyłudzeniami VAT-u to był doskonały chwyt, dający państwu wiele miliardów złotych. Lecz cała reszta jest do luzu. Ta reszta to durny (agresywny) fiskalizm:

Kretyństwa podatkowe, które chce wdrożyć PiS, są, niestety, silnym argumentem na to, że polityczni przeciwnicy tej partii mają rację twierdząc, iż PiS nie posiada dobrych fachowców od gospodarki. Pisowcy chcą po prostu „na rympal” zasypać wilczy dół finansowy (który wykopali pod sobą werbowaniem elektoratu szczodrym rozdawnictwem grosza) miast stosować metody rumuńskie (w Rumunii podatki wynoszą już tylko kilka procent, dzięki czemu gospodarka rozkwita) lub przynajmniej węgierskie. Jest czymś niepojętym, że ta formacja, ciągle odwołująca się do Victora Orbána, wysławiająca go, bratająca się z nim — w grach finansowych robi rzeczy wobec węgierskich różne, czasami wręcz rażące. Upichcony przez pisowców sposób opodatkowania wielkich sieci handlowych został wyśmiany i zaklinczowany przez Brukselę, gdy węgierski został tam (po znolizowaniu) przełknięty — czy nie mogliśmy skopiować aktualnego węgierskiego? Orbán, jak tylko zdobył władzę, wprowadził podatek liniowy (teraz 15%), dzięki któremu rosła węgierska gospodarka i węgierska klasa średnia, a PiS na odwrót: chce znieść „liniówkę” i dokręcić morderczo śrubę podatkową (a to ewidentnie uderzy w gospodarkę, gdyż wbrew pisowskim oczekiwaniom zmniejszy wpływy). Co — notabene — do wodzi wyborczego oszustwa (w kampanii przedwyborczej 2015 PiS kokietał elektorat zmniejszaniem podatków), nie jedyne zresztą (vide Zbiór Zastrzeżony IPN, który obiecywali rychło odtajnić). Słowem: źle się bawią (ponieważ sami sobie przystawiają pistolet do głowy), i mogą zapłacić za to gorzką cenę. ©

Waldemar Łysiak

Zycie jest jak wieśniacza trylogia filmowa Sylwestra Chęcińskiego: przed starością trzeba godzić się z faktem, że „nie ma mocnych” na „smych swoich”, kiedy zaś przyjdzie ta nieunikniona starość — można już tylko „kochać albo żuć”. PiS właśnie się przekonuje o sile „smych swoich” z postbezpiecznickiego „deep state”, które wielokrotnie w ciągu minionego ćwierć wieku wskazywałem jako czołową siłę kryptomotoryczną III RP. Ci „chłopcy” (dawne SB oraz WSI) mają na koncie dużo fundamentalnych rozwiązań systemowych Trzeciej Rzeczypospolitej, które wręcz brawurowe (rząd Jana Olszewskiego zmiotł w jedną noc), i ciągle bardzo mocno wspierają Salon (według internautów: „Sralon”) dążący do wystania „Kaczora” na definitywną emeryturę, gdzie będzie mógł już tylko żuć (przeżuwać swą klęskę) i kochać (Polskę oraz swego brata, lub vice versa). Wojna polsko-polska eksplodowała z nowym impetem tuż przed Świętami, kilkudniową gwałtowną „zadymą” sejmowo-uliczną, co nie wróży dobrze III RP.

Obecna wulkaniczna sytuacja przypomina rodakom, że można wygrać bitwę i przegrać będący rezultatem zwycięstwa pokój. Bitwą była kampania wyborcza 2015. PiS wygrało dzięki urnom i myślało, że porządzi sobie przez co najmniej cztery lata, aczkolwiek wiedziało, że nie bez kłopotów, bo Salon nie podkuli ogona i będzie warczał tudzież gryzł. Jednak nie sądziło, że Salon — wspierany przez Brukselę i całe lewactwo globu — wywoła między Tatrami a Bałtykiem piekło płonące bez przerwy i noszące kpiarski sztyl obrony demokracji, której elekcyjnego werdyktu salonowcy postanowili nie uznawać, bo uznają tylko demokrację im dogadującą. Nie ma takiego argumentu (choćby najbardziej kuriozalnego), którego nie używają w trakcie tej rekonkwisty — oskarżyli PiS m.in. o to, że słaby wynik sarmackich sportowców na brazylijskiej olimpiadzie to efekt „kaczystowskiej «dobrej zmiany»” (sic! — vide „Angora” 37/2016). Nie ma też takich cnót z tradycyjnego (tożsamościowego) repertuaru cywilizacji/kultury europejskiej, których Salon nie deprecjonuje brutalnie (lub przynajmniej nie podważa) równoległe ze zwalczaniem PiS-u, czyli „reżimu faszystowskiego”. Kulturoznawca Jacek Kowalski, autor dzieła „Sarmacja” (2016), nazwał polski Salon (michnikowszczyznę, Platformę, Nowoczesną, KOD, Razem, itp.) „towarzystwem wzajemnej adoracji do spraw rozpieprzania wartości”, i miał zupełną słuszość.



**GRUPA
azoty**

**INTEGRUJEMY
PRZYSZŁOŚĆ
POLSKIEJ CHEMII**



DOTKNIJ HISTORII
POLSKIEJ CHEMII

WWW.CHEMIAPOKOLEN.PL

